MAGAZYN *razem z dodatkami*

Rafał Maszewski: Wyż rosyjsko-skandynawski może nas jeszcze zmrozić

● Liliana Sonik: „Niedziele" – film, który zachwyca ● Prof. Tadeusiewicz: Czego nauczyć uczniów ze smarfonami

PLUS TELEMAGAZYN **z programem TV**

Nr 12 (24 789)

DZIENNIK POLSKI

Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Piątek, 16.01.2026 r.

www.dziennikpolski24.pl

Jak polskie klocki Cobi nie dały się duńskiemu Lego i zawojowały świat **str. 18-19**

FOT. NAC

Boimy się, bo ich nie znamy. Zaglądamy za mury Szpitala Psychiatrycznego w Kobierzynie **str. 22**

Tomasz Włosok i jego „Dziki": Kiedy odkryłem aktorstwo, odnalazłem sens życia **str. 24-25**

FOT. ANNA WŁOCH

FOT. WOJCIECH MATUSIK

„ANTYGONA" CZASU WOJNY

Ta historia mogła się wydarzyć w Ukrainie czy w Gazie STR. 6

Nr ISSN 0137-9089 Nr Indeksu 350052

Basia Giewont z Tatr na Eurowizji?! Trzymajmy kciuki **str. 4**

ZIMA WRÓCIŁY DAWNO ZAPOMNIANE KULIGI I PRZEJAŻDŻKI SANIAMI

Mroźno i biało. Takiej zimy dawno nie było

Zima na całego. Nie tylko w Polsce - prawie 80 proc. Europy pokryte jest białym puchem. Meteorolodzy z serwisu Ventusky przygotowali specjalne mapy, które pokazują, jak zmieniał się śnieżny krajobraz w Europie od 2009 do 2026 roku. Wybrano jedną datę: 8 stycznia. „Pokrywa śnieżna była znacznie większa tylko w 2010 i 2009 roku, natomiast podobny zasięg odnotowano w 2017 roku. W kontekście ostatnich 20 lat obecna pokrywa śnieżna plasuje się na czwartym miejscu" - wyjaśniono.

Skąd ten zimowy armagedon? Jak tłumaczą eksperci, powodów jest przynajmniej kilka.

Czytaj str. 12-13

FOT. WOJCIECH MATUSIK

REKLAMA 0011457943

eprasa.pl 7b340cc89a

TYDZIEŃ Z DZIENNIKIEM POLSKIM

SOBOTA
● MAGAZYN PRZY SOBOCIE
PONIEDZIAŁEK
● DODATEK SPORTOWY
WTOREK
● PULS BIZNESU
ŚRODA
● MAGAZYN ZDROWIE
CZWARTEK
● POD PARAGRAFEM
PIĄTEK
● PULS POLSKI

MAGAZYN PRZY SOBOCIE

● HANNA REK PRZEŻYŁA NIEBYWAŁĄ TRAGEDIĘ ● NAJWIĘKSZĄ PASJĄ ADAMA SZTABY JEST MUZYKA ● RUCH I ZDROWY STYL ŻYCIA DOBRY DLA KRĘGOSŁUPA

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 12 312 53 88, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.dziennikpolski24.pl

Janusz Michalczyk

MAJDAN I SZERYF NA ROWERZE

Nic tak nie poprawia ludziom nastroju jak obśmianie celebryty. Ostatnio była ku temu okazja, gdy obywatel prowadzący na You Tube kanał Samochodoza zaprezentował filmik z Radosławem Majdanem, byłym piłkarzem, a obecnie komentatorem, biznesmenem i mężem znanej z telewizji Małgorzaty Rozenek-Majdan. Trzeba zaznaczyć, że - jak sama nazwa wskazuje - Samochodoza powstała po to, by piętnować niewłaściwe zachowania kierowców, np. parkowanie gdzie popadnie. I o to właśnie chodzi w filmiku, na którym wspiera Majdana przewyższająca go agresją anonimowa pani, przy czym w powietrzu gęsto lata niecenzuralne słowo na „k". A poszło o to, że jadący na rowerze autor filmiku pozaginał lusterka boczne aut stojących na ścieżce przeznaczonej dla jednośladów. Tak kierowcom pasowało, bo tuż obok mieści się szkoła, do której rano odwożą, a skąd po południu zabierają dzieci.

W całej awanturze chodzi zatem o to, że samozwańczy szeryf na rowerze ośmielił się naruszyć w sposób nieszkodliwy substancję pojazdów. Jego zdaniem w celach edukacyjnych, by łamiący przepisy zreflektowali się i zmienili zachowanie. Niestety, nic nie wskazuje na to, by osiągnął swój cel. Napiętnowany w przestrzeni publicznej Majdan wydał oświadczenie, z którego wynika, że podjął wrzaskliwą interwencję, by chronić dzieci i kobiety przed rzekomą agresją ze strony zamaskowanego osobnika na rowerze. Jak widać, zastosował starą piłkarską zasadę, że najlepszą obroną jest atak.

Dla równowagi wypada dodać, że twórca Samochodozy swobodnie rewanżuje się adwersarzom słowem na „k" w spontanicznej wymianie zdań. Obie strony konfliktu krzyczą wulgarnie do siebie, dając upust emocjom, ale pozostają głusi na przeciwne argumenty. Nasuwa się pytanie, czy zamiast zaginania lusterek nie lepiej byłoby zawiadomić straż miejską, która mogłaby rzeczowo pouczyć kierowców, zaś niesfornym wręczyć mandaty?

Sfilmowana pyskówka świetnie wpisuje się w obecną atmosferę społeczną, w której wielu ludzi czuje się upoważnionych do bezkompromisowego krytykowania innych, jakby sami nigdy nie splamili się żadnym wykroczeniem. Chyba coś to o nas mówi...

TELEFONY

- Numer alarmowy 112
- Pogotowie ratunkowe 999
- Całodobowa Informacja Medyczna 12 661-22-40
- Telefon zaufania 12 413 71 33
- Pogotowie energetyczne - 991, gazowe 992, ciepłownicze 993, wod-kan. 994
- Ośrodek Interwencji Kryzysowej 12 421 92 82
- Całodobowa Informacja Pacjenta 800 190 590
- Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży 116 111
- Straż Miejska Kraków 986
- Całodobowa linia wsparcia 800 702 222
- Biuro numerów 118 913

POGODA

DZIŚ
MAX **2°C** MIN **-5°C**
Wiatr ENE. 11 km/h
Uwaga: Szykujcie się na piękną pogodę i słońce. Idealne na spacery

JUTRO
MAX **0°C** MIN **-9°C**
Wiatr ENE. 13 km/h
Uwaga: Sobota z chmurami, ale ma wyjść słońce

ZDJĘCIE DNIA

Słynny food truck z Nowej Huty uratowany! To miejsce pracy dla osób z niepełnosprawnościami.

Sukcesem zakończyła się zbiórka pieniędzy na wymagający remontu food truck przy Zalewie Nowohuckim. Lokal z frytkami belgijskimi to miejsce, w którym można schrupać coś ciepłego, ale także miejsce pracy i integracji dla osób z niepełnosprawnościami. Determinacja, praca, pozytywne nastawienie i wielkie serca - to wszystko sprawiło, że popularny nowohucki food truck został uratowany.

FOT. FUNDACJA „ZRÓBMY SOBIE KRAKÓW".

TEMAT DNIA

CO WYROK SĄDU W SPRAWIE STREFY CZYSTEGO TRANSPORTU OZNACZA DLA KRAKOWIAN I INNYCH OSÓB WJEŻDŻAJĄCYCH DO SCT

Piotr Tymczak
miejscowość

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie stwierdził nieważność trzech paragrafów uchwały dotyczącej strefy czystego transportu (SCT). Co to w praktyce oznacza dla krakowskich i małopolskich kierowców?

FOT. WOJCIECH MATUSIK

Czy strefa czystego transportu w Krakowie nadal obowiązuje? Wojewódzki Sąd Administracyjny rozpatrzył w środę 14 stycznia skargi na uchwałę Rady Miasta Krakowa z 12 czerwca 2025 r. w sprawie ustanowienia Strefy Czystego Transportu w Krakowie. Trzy z nich zostały odrzucone, częściowo (w trzech paragrafach) uwzględniona została tylko skarga wojewody małopolskiego.

Jakie to ma konsekwencje? Wprowadzona od 1 stycznia 2026 roku SCT nadal obowiązuje i obejmuje obszar w granicach IV obwodnicy Krakowa. W przypadku mieszkańców Krakowa nie zmienia się nic, jeśli chodzi o prawo do zwolnienia z wymogów SCT. Zasady SCT nie dotyczą krakowian, pod warunkiem, że pojazd jest w ich posiadaniu przed dniem wejścia w życie uchwały, czyli przed 26 czerwca 2025 r., ale jeżeli mają samochód, który nie spełnia norm, muszą to zgłosić do systemu weryfikacji.

Do czasu uprawomocnienia wyroku nie zmienia się też na razie nic w przypadku osób spoza Krakowa.

Sąd zakwestionował zapis w uchwale o SCT dotyczący definicji mieszkańca w zakresie zameldowania na pobyt czasowy i stały. Sąd uznał, że wyłączenia z SCT, które przysługują mieszkańcom nie mogą być warunkowane posiadaniem meldunku w Krakowie.- Jeżeli taki zapis by się uprawomocnił, to zwolnienie z zasad SCT miałaby osoby mieszkające i rozliczające podatki w Krakowie - interpretuje Miłosz Jakubowski, radca prawny Fundacji Frank Bold, która występuje jako uczestnik postępowania ws. SCT.

Tylko jak miasto miałoby weryfikować osoby mieszkające w Krakowie?- Zameldowanie jest rzeczą wtórną, a tak naprawdę istotne jest miejsce zamieszkania. Rozumiemy przez nie miejsce, w którym dana osoba przebywa z zamiarem stałego pobytu. W związku z tak określoną definicją miejsca zamieszkania pojawia się szereg wątpliwości, dotyczących tego jak to weryfikować w przypadku chociażby SCT. To może być problem natury praktycznej dla miasta, bo jak to sprawdzać, jakie byłyby tego koszty - komentuje Mirosław Chrapusta, dyrektor Wydziału Prawnego i Nadzoru w Małopolskim Urzędzie Wojewódzkim.

Kolejną kwestią podważoną przez sąd jest zwolnienie z zasad SCT dla osób udających się tylko do placówek medycznych NFZ. Zdaniem sądu takim zwolnieniem powinny być objęte wszystkie placówki medyczne, w tym prywatne. W tym przypadku sprawa jest prostsza. Jeżeli ten zapis uzyska status prawomocnego, to zwolnienie z zasad SCT będzie dotyczyć także pacjentów prywatnych placówek medycznych. Jeżeli więc będą przyjeżdżać autem do lekarza na umówioną, prywatną wizytę, to również mogą być na ten czas zwolnieni z zasad SCT.

Kiedy wyrok może się uprawomocnić? - Najwcześniej za dwa, trzy miesiące. Sąd musi też sporządzić i opublikować pisemne uzasadnienie. Wiele zależy od tego, czy będą i kiedy wpłyną ewentualne skargi kasacyjne. Jeżeli wojewoda jeszcze raz zaskarży całość przepisów to do ostatecznego rozstrzygnięcia może dojść nawet do około dwóch lat - ocenia Jakubowski.

PRZYRODA

Leming

Lemingi są dobrze znanym symbolem nieokiełznanego rozrodu zakończonego masowym samobójstwem. Słynna przypadłość okazała się prymitywnym fałszerstwem sprokurowanym na potrzeby filmu, ale jak to zwykle bywa kłamstwo powtórzone setki razy staje się uznaną prawdą. W rzeczywistości owe samobójstwa były efektem źle ukierunkowanej migracji. Owszem zwierzaki przy obfitości pokarmu szybko zwiększają swoją liczebność, ale co trzy cztery lata powodowało to wędrówki w poszukiwaniu nowych terenów. Jeśli po drodze trafiły na większe rozlewisko, to słabo pływające lemingi szły na dno. Do tego dochodził brak zdolności do oceny odległości. Leming to ważący dziesięć dekagramów chomikopodobny gryzoń. Doskonale daje sobie radę w arktycznej tundrze. Nawet z kontrastowej barwy futerkiem, czym rzuca się w oczy drapieżcom. Na pierwszy rzut oka wydaje się to być niepotrzebnym ryzykiem, ale po dokładniejszych obserwacjach okazało się, iż mały gryzoń bynajmniej nie prowadzi skrytego, zalatującego tchórzostwem żywota. Przy niekończącym, podbiegunowym dniu żeruje w blasku słońca widoczny jak na dłoni. Jeśli wejść mu w drogę dostaje furii. Szczerzy zęby, wysoko skacze, wydaje głośne piski ze zjeżoną sierścią. Drapieżca poczuje się skonfundowany i ... oto właśnie chodzi. O sekundy zwłoki, które pozwolą na ucieczkę. To cała prawda o twardzielach, którym zbiorowe samobójstwo ani w głowie. **Grzegorz Tabasz**

eprasa.pl 7b340cc89a

Kronika Krakowska

50

tyle lokali wystawi ZBK w Krakowie na aukcji. Do wynajęcia pomieszczenia w ścisłym sercu Krakowa, na Kazimierzu, w Podgórzu i w Nowej Hucie.

MAŁOPOLSKA

Travelist.pl przygotował listę 10 najlepszych ośrodków narciarskich.
Ruszyła trzecia edycja ogólnopolskiego plebiscytu „Zimowe Gwiazdy Travelist" pod patronatem Polskiej Organizacji Turystycznej, w którym internauci wybierają najciekawsze miejsca i atrakcje na zimowy wypoczynek. Głosowanie potrwa do 23 stycznia. Wśród ośrodków narciarskich są cztery z Małopolski: Jaworzyna Krynicka, PKL Plenica, Kasprowy Wierch oraz Kotelnica Białczańska.

KRAKÓW

TELEFON
dziennikarza dyżurnego
697 730 318

E-MAIL
redakcja@gk.pl

PORZĄDEK POGRZEBÓW

Dziś żegnamy

Cmentarz Rakowicki
9:00 - Irena Urbanik (lat 85)
9:40 - Anna Stejer -Ciechanowska (lat 97)
10:20 - Aleksandra Piotrowska (lat 91)
11:00 - Krystyna Lewandowska (lat 86)
11:40 - Józef Polak (lat 89)
12:20 - Ewa Mulek (lat 76)
13:00 - Janina Moser (lat 89)
13:00 - Wojciech Polcyn (lat 36)
13:40 - Stefan Koński (lat 89)
14:20 - Celina Juda (lat 74)

Cmentarz Podgórski
9:00 - Ewa Łanowska (lat 84)
10:00 - Andrzej Krzyżak (lat 63)
11:00 - Andrzej Dubiel (lat 85)

Cmentarz Prokocim
14:00 - Stanisława Chomicka -Bindas (lat 89)

Cmentarz Prądnik Czerwony
9:00 - Helena Wołek (lat 91)
10:20 - Maria Wilkosz (lat 86)
11:00 - Antoni Popławski (lat 89)
11:00 - Lucyna Sysło (lat 73)
11:40 - Maria Wróbel (lat 95)
11:40 - Helena Heine (lat 96)
12:20 - Iuliia Agarkova (lat 42)
12:20 - Adam Podskalny (lat 76)
13:00 - Maria Gnela (lat 79)
13:00 - Zofia Zabiegaj (lat 80)
13:40 - Jadwiga Małusecka -Musiałowicz (lat 94)
13:40 - Marek Orwiński (lat 70)

Cmentarz Grębałów
10:20 - Piotr Gruszka (lat 60)
11:00 - Barbara Skulimowska (lat 69)
11:40 - Marianna Pazik (lat 93)
12:20 - Zbigniew Jamrozik (lat 61)
13:00 - Marcin Wojdyło (lat 48)
13:40 - Jadwiga Ciastoń (lat 97)

Cmentarz Komunalny w Podgórkach Tynieckich
9:00 - Marian Guśtak (lat 77)
9:15 - Piotr Barański (lat 60)
12:00 - Alina Puchalska (lat 81)

KRAKÓW

Kapsuły ciszy dla studentów

FOT. URK / S. SZAREK

Uniwersytet Rolniczy w Krakowie zainstalował siedem nowoczesnych kabin akustycznych w kluczowych lokalizacjach na terenie uczelni. Rozwiązanie zostało wdrożone z myślą o studentach ze szczególnymi potrzebami, którzy na co dzień mogą doświadczać trudności wynikających z nadmiernego hałasu, intensywnych bodźców lub problemów z koncentracją.

Wyciszone kabiny zostały kupione i zamontowane w ramach projektu „Edukacja bez barier - nowoczesne rozwiązania na rzecz dostępności w Uniwersytecie Rolniczym im. Hugona Kołłątaja w Krakowie". Wcześniej na terenie tej uczelni była już dostępna jedna kabina akustyczna, zlokalizowana w czytelni Biblioteki Głównej URK przy al. Mickiewicza. Kabiny stanęły głównie w holach głównych oraz przestrzeniach wspólnych na parterach budynków, w pobliżu szatni, portierni, dziekanatów czy stref rekreacyjnych.

„Kabiny akustyczne stanowią istotny element działań uczelni na rzecz zwiększania dostępności procesu kształcenia oraz poprawy komfortu studiowania. Rozwiązanie to zostało wdrożone z myślą o studentach ze szczególnymi potrzebami, którzy na co dzień mogą doświadczać trudności wynikających z nadmiernego hałasu, intensywnych bodźców lub problemów z koncentracją" - wyjaśnia uczelnia.

Małgorzata Mrowiec

Zamiast giełdowego debiutu dokapitalizowanie PKL?

Łukasz Bobek
Zakopane

Samorządy z Podhala podejmują ofensywę przeciw planom wprowadzenia spółki Polskie Koleje Linowe na giełdę papierów wartościowych. Proponują alternatywę.

FOT. MARCIN SZKODZIŃSKI

Kolej na Kasprowy Wierch należy do PKL. To jedna z ważniejszych atrakcji spółki

Jest nią dokapitalizowanie PKL z udziałem samorządów oraz akcjonariat obywatelski, który pozwoliłby mieszkańcom regionu realnie uczestniczyć w przyszłości spółki.

Sprzeciw wobec planów Polskiego Funduszu Rozwoju – właściciela PKL, który analizuje możliwość giełdowego debiutu PKL, wybrzmiał (po raz kolejny) jednoznacznie podczas ostatniego konwentu samorządowego powiatu tatrzańskiego. Władze gmin i powiatu przypominają doświadczenia sprzed 12 lat, gdy sprzedaż spółki zagranicznemu funduszowi inwestycyjnemu wywołała na Podhalu falę protestów i poczucie utraty wpływu na kluczową infrastrukturę regionu. – Nie jesteśmy przeciwni rozwojowi spółki PKL – podkreśla burmistrz Zakopanego Łukasz Filipowicz. – Natomiast sprzeciwiamy się rozwiązaniu zaproponowanemu, czyli debiutowi giełdowemu. Z perspektywy Podhala ta decyzja budzi ogromne obawy społeczne i historyczne skojarzenia z tym, co wydarzyło się dwanaście lat temu.

Jak zaznacza problemem nie jest samo dokapitalizowanie spółki, lecz forma, w jakiej miałoby się ono odbyć. Wejście na giełdę oznacza bowiem rozproszenie akcjonariatu i ryzyko pojawienia się nieznanych dziś inwestorów.– Do PKL należą grunty o znaczeniu strategicznym, w tym tereny przygraniczne i ziemie, które w przeszłości były wywłaszczane od lokalnych rodzin. Dla mieszkańców to wciąż żywa historia. Nie wiemy, kto po debiucie giełdowym mógłby przejąć realną kontrolę nad spółką – ostrzega Filipowicz.

Samorządowcy podkreślają, że znaczenie PKL może być zupełnie inaczej postrzegane w stolicy niż na południu kraju.– Dla państwa to być może jedna z wielu spółek, dla nas to fundament lokalnej gospodarki i symbol regionu – mówi burmistrz Zakopanego, zapraszając premiera do bezpośredniej rozmowy na Podhalu. – Chcemy przedstawić alternatywne rozwiązania, a nie tylko blokować propozycje rządu.

Jednym z głównych autorów samorządowej propozycji jest wójt gminy Kościelisko Roman Krupa. Zapowiada on skierowanie pisma do marszałka województwa małopolskiego oraz sejmiku małopolskiego, w którym samorządy nie tylko ponowią sprzeciw wobec giełdy, ale też zaproponują wspólne wypracowanie innego modelu finansowania PKL.

- Tak dobrze prosperująca spółka nie powinna być dokapitalizowana w ten sposób - ocenia Krupa. - Chcemy zbudować przeciwwagę dla obecnej koncepcji i przygotować propozycję, która zyska akceptację rządu, a jednocześnie będzie zgodna z oczekiwaniami mieszkańców.

Wśród rozwiązań pojawia się akcjonariat obywatelski. - Docierają do nas głosy, że mieszkańcy byliby zainteresowani - przyznaje wójt Kościeliska. - To wymaga analiz prawnych, ale dopuszczamy taką możliwość.

Starosta tatrzański Andrzej Skupień podkreśla, że udział samorządów mógłby w pełni wystarczyć do dokapitalizowania PKL, bez sięgania po rynek kapitałowy.

Autobusem z Oświęcimia jedynie do Alwerni

Jerzy Zaborski
jerzy.zaborski@polskapress.pl

Nastąpiła korekta rozkładu jazdy Małopolskich Linii Dowozowych Kolei Małopolskich. Modyfikacji uległa linia A44. Z Oświęcimia pasażerowie nie dojadą już bezpośrednio autobusem do Krakowa.

Przed zmianą rozkładu jazdy, linią A44 można było dojechać z Oświęcimia do Krakowa przez Alwernię i Liszki. Jednak oświęcimianie, mając w perspektywie wyjazd do stolicy Małopolski, wybierali raczej pociąg. Linia A44 została wprawdzie utrzymana, ale utworzono nową linię, a 66, z Oświęcimia do Alwerni. - Podróż z Oświęcimia do Krakowa zajmuje pociągiem niewiele ponad godzinę. Poza lokalnymi przewoźnikami, są jeszcze połączenia PKP Intercity, a więc wybór jest naprawdę spory. Tymczasem podróż autobusem wiąże się z korkami, zwłaszcza już w samym Krakowie. Zatem chyba bardzo nie odczujemy braku tej linii – uważa Bartłomiej Kierzkowski, miłośnik kolei z Oświęcimia.

Linia A44 będzie obsługiwała trasę z Krakowa do Alwerni, i jest przeznaczona dla mieszkańców powiatu chrzanowskiego i krakowskiego od strony Liszek. Z kolei utworzona linia A66 będzie obsługiwała trasę z Oświęcimia do zakładów chemicznych w Alwerni. - Staramy się wyciągać wnioski i reagować na sygnały ze strony mieszkańców, stąd podział linii pomiędzy Krakowem i Oświęcimiem przez powiat chrzanowski na dwa odcinki – tłumaczy Radosław Włoszek, prezes Kolei Małopolskich i wchodzących w jej skład Małopolskich Linii Dowozowych. – Linia A66, pomiędzy Oświęcimiem i Alwernią, adresowana jest głównie dla osób, które nie mają dostępu do połączeń kolejowych z Krakowem przez Chrzanów i Skawinę.

Zapewne z takiego rozwiązania będą zadowoleni uczniowie, dojeżdżający do szkół powiatu oświęcimskiego. Wiadomo, że sporo młodzieży dojeżdża spod Oświęcimia. Nie tylko najbliższych miejscowości, jak Bobrek, ale także właśnie z Libiąża, Żarek czy Okleśnej.

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

Basia Giewont na Eurowizji? Trzymajcie kciuki za wokalistkę z Tatr

Łukasz Bobek
Zakopane

Basia Giewont, znana z energetycznych występów i muzycznej ekspresji inspirowanej folklorem Podhala, znalazła się wśród uczestników preselekcji do Konkursu Piosenki Eurowizji 2026!

Basia przystępuje do eliminacji z utworem „Zimna woda" - piosenką, która już zdobyła sympatię publiczności po jej występie sylwestrowym w Zakopanem. To wyjątkowa okazja, by muzyka zakopiańska mogła zabrzmieć na jednym z najważniejszych festiwali muzycznych w Europie.

Konkurs Eurowizji 2026 odbędzie się w Wiedniu, a krajowy finał polskich preselekcji zaplanowano na 14 lutego 2026 roku, gdzie o prawo reprezentowania Polski powalczy ośmiu wykonawców wybranych przez Telewizję Polską oraz komisję selekcyjną.

W oficjalnej liście uczestników pojawili się m.in.:Basia Giewont - „Zimna woda", Alicja - „Pray", Anastazja - „Wild Child", Jeremi Sikorski - „Cienie przeszłości", Karolina Szczurowska - „Nie bój się", Ola Antoniak - „Don't You Try", Piotr Pręgowski - „Parawany Tango", Stasiek Kukulski - „This Too Shall Pass"

Dla Basi, której kariera rozwija się dynamicznie, zakwalifikowanie się jest już sporym sukcesem. Jej utwór „Zimna woda" pokazuje, że zakopiańska dusza i muzyczna pasja mogą odnaleźć szerokie grono odbiorców także poza granicami regionu.

FOT. UM ZAKOPANE

Z piosenką „Zimna woda" wokalistka z Zakopanego zakwalifikowała się do polskich preselekcji

To nie koniec kłopotów z parkometrami w Gorlicach

Agnieszka Nigbor-Chmura
Gorlice

Tydzień temu miejskie parkometry „zamarzły". Część z nich nadal nie działa, a pracownicy Miejskiego Zakładu Usług Komunalnych dwoją się wymontowując ze sprzętu baterie, by je naładować.

FOT. AGNIESZKA NIGBOR-CHMURA

Parkometry w Gorlicach „zamarzły" tydzień temu. Mieszkańcy stali w kolejkach, próbując kupić bilet parkingowy w nielicznych czynnych urządzeniach

Firma serwisująca gorlickie parkometry jest przekonana, że trwającej od tygodnia awarii sprzętu winne są warunki atmosferyczne. Taką opinię o nim otrzymał Stanisław Zieliński, dyrektor Miejskiego Zakładu Usług Komunalnych. To zakład od 1 stycznia zajmuje się bowiem obsługą strefy płatnego parkowania w mieście.

Choć nowe 29 parkometrów, zakupionych w Gorlicach w minionym roku, a zamontowanych dokładnie 16 i 17 grudnia kosztowało budżet miasta 667 tys. 890 złotych, to wygląda na to, że wychwalone urządzenia nie były stosownie przygotowane na start pracy w warunkach zimowych, a tym samym ani niezawodne, ani bezawaryjne.

Przecież właśnie przed montażem urządzeń na stronie UM w Gorlicach informowano, że: - Modernizacja ma przede wszystkim zwiększyć komfort mieszkańców oraz poprawić niezawodność działania systemu. Nowe urządzenia mają rozwiązać problem częstych awarii, a jednocześnie dostosować Strefę Płatnego Parkowania do współczesnych standardów technologicznych - czytamy.

Tymczasem modernizacja jak na razie przyniosła straty w budżecie miasta i oszczędności w portfelach kierowców, którzy w ostatnie dni za parkowanie po prostu nie byli w stanie zapłacić. Do rachunku zysków i strat trzeba doliczyć jeszcze czas spędzony w śniegu i mrozie na poszukiwaniu działających parkometrów. A miało być przecież komfortowo.

Dzisiaj pracownicy MZUK nadal zajmują się uruchamianiem tych urządzeń, które jeszcze nie pracują.

Robią to sukcesywnie od tygodnia, ale jak poinformował nas Stanisław Zieliński, każde urządzenie ma wbudowane dwa akumulatory, które trzeba wymontować, przywieźć z różnych lokalizacji w mieście do bazy MZUK przy ulicy Brzechwy, naładować w specjalnych ładowarkach dostarczonych przez serwisanta urządzeń i na nowo zamontować w urządzeniach.

Pracownicy Miejskiego Zakładu Usług Komunalnych ładują akumulatory urządzeń, by na nowo je uruchomić

Równocześnie, z uruchamianiem sprzętu, zmieniane są ustawienia panelu dotykowego, który do tej pory był aktywny całą dobę.

Teraz, by zaoszczędzić energię potrzebną do obsługi urządzeń, ekrany parkometrów wygaszają się, a naciśnięcie żółtego przycisku START wznawia ich gotowość do pracy.

Na początek budowa placu zabaw i siłowni plenerowej

Sławomir Bromboszcz
Libiąż

W Libiążu przybędzie nowych miejsc do zabawy i rekreacji, a wszystko to za sprawą unijnej dotacji. Inwestycja już teraz wzbudza emocje wśród mieszkańców - jedni cieszą się, inni krytykują.

Przeciwnicy pomysłu uznają go za zbędny i wskazują, że środki można było przeznaczyć na inne potrzeby. Zadanie, które ma integrować społeczność na razie ją... dzieli.

Gmina Libiąż rozpoczyna realizację projektu „Kompleksowe działania zwiększania odporności społecznej gminy górniczej Libiąż na wyzwania transformacji energetycznej", w ramach którego na osiedlu Obieżowa powstanie nowoczesny, ogólnodostępny plac zabaw połączony z elementami rekreacyjnymi dla całych rodzin. Inwestycja obejmie budowę placu zabaw dla dzieci, siłowni plenerowej dla dorosłych oraz przestrzeni zaprojektowanej w duchu Nowego Europejskiego Bauhausu, z nawiązaniami do historii osiedla i społecznym ogródkiem.

- To będzie bezpieczna, estetyczna i dostępna dla wszystkich strefa wypoczynku, która ożywi historyczne osiedle i stanie się miejscem spotkań mieszkańców - dzieci, rodziców i seniorów - zapowiada burmistrz Libiąża Jacek Latko.

Przewidziano działania społeczne i edukacyjne, takie jak międzypokoleniowe spotkanie ze „Spektaklem o Skarbniku" oraz inicjatywy z zakresu edukacji klimatycznej, m.in. Mozaikę Klimatyczną, Zieloną Literaturę i program Eko-Dzieciaki.

Sądeczanka i jej konkubent usłyszeli zarzut znęcania się nad 20-miesięcznym dzieckiem

Alicja Fałek
Nowy Sącz

Zarzuty znęcania się nad 20-miesięczną dziewczynką oraz spowodowania u niej licznych obrażeń usłyszała 22-letnia matka dziecka oraz niespełna19-letni partner kobiety.

FOT. ARCHIWUM

Kobiecie odebrano już trójkę dzieci

Sąd zdecydował o tymczasowym aresztowaniu obojga podejrzanych na okres trzech miesięcy. Jak się okazuje, mieszkanka Nowego Sącza ma jeszcze trójkę dzieci, które zostały jej wcześniej odebrane.

Prokurator Prokuratury Rejonowej w Nowym Sączu po przesłuchaniu 22-letniej mieszkanki Nowego Sącza oraz jej niespełna 19-letniego partnera, postawił obojgu zarzuty znęcania się nad 20-miesięcznym dzieckiem oraz spowodowania u niej licznych obrażeń.- U dziecka lekarze stwierdzili m.in. krwiaka mózgu, złamaną kość ramienia, złamane żebra oraz liczne zasinienia na całym ciele - podkreśla Bartosz Gorzula, prokurator rejonowy w Nowym Sączu. - Matka dziecka oraz jej partner, który nie jest biologicznym ojcem dziewczynki, nie przyznali się do postawionych im zarzutów i złożyli wyjaśnienia. Matka nie przedstawiła racjonalnego wyjaśnienia powstania tych obrażeń u dziecka. Natomiast jej partner wyjaśnił potencjalny mechanizm powstania tych obrażeń. Ale ze względu na dobro prowadzonego śledztwa na razie nie będziemy ich ujawniać.

Mieszkanka Nowego Sącza jest matką jeszcze trójki dzieci. Te zostały jej sądownie odebrane. Na obecnym etapie postępowania prokuratura nie chce mówić i okolicznościach oraz przyczynach decyzji sądu. Potwierdza, że rodzina była objęta nadzorem kuratora.- W toku dalszego śledztwa będziemy przesłuchiwać świadków. Zwrócimy się o opinie do biegłych, m.in. lekarzy, którzy ocenią, w jaki sposób mogło dojść do obrażeń dziecka oraz czy mają one charakter jednorazowego zdarzenia, czy też nie - wyjaśnia kolejne kroki postępowania prokurator Gorzula. - Zabezpieczyliśmy nośniki elektroniczne, więc będziemy powoływać biegłych z zakresu informatyki śledczej. Planowane są też konfrontacje.

Prokurator skierował do Sądu Rejonowego w Nowym Sączu dwa wnioski o zastosowanie tymczasowego aresztu na okres trzech miesięcy wobec 22-latki, jak i jej konkubenta. - Sąd rozpatrzył wniosek o tymczasowy areszt na okres trzech miesięcy dotyczący matki dziecka i postanowił zastosować wobec kobiety ten środek zapobiegawczy - informuje nas sędzia Bogdan Kijak, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Nowym Sączu. - Taką samą decyzję podjął względem mężczyzny.

eprasa.pl 7b340cc89a

Strażacy chwytają za łopaty i odśnieżają dojście do domu

Alicja Fałek
Limanowa

Intensywne opady śniegu i utrzymujący się mróz spowodowały, że na terenie gminy Limanowa są domy, których mieszkańcy dosłownie zostali odcięci od świata.

Pomoc osobom starszym, samotnym, chorym, a także rodzinom w trudniej życiowej sytuacji w odśnieżaniu oferują druhowie z Ochotniczej Straży Pożarnej Łososina Górna. - Naszym celem jest dotarcie tam, gdzie brak odśnieżenia zagraża bezpieczeństwu lub uniemożliwia normalne funkcjonowanie - zaznaczają strażacy.

Choć może trudno w to uwierzyć, ale wciąż są miejsca, gdzie pługi nie dojeżdżają. Mieszkańcy domów położonych w wyższych partiach gór, w miejscach trudno dostępnych nawet latem, zimą muszą radzić sobie sami. Ostatnie intensywne opady śniegu i trzymający mróz sprawiły, że do wielu posesji jest utrudniony dostęp. -

FOTO:OSP ŁOSOSINA GÓRNA

Strażacy z OSP Łososina Górna odśnieżają dojście do domu. To oferta wyłącznie dla potrzebujących pomocy

Jadąc z akcji sami zwróciliśmy uwagę na to, że są miejsca, gdzie bez przeszkód dojedziemy, ale też takie, gdzie w razie pożaru, czy potrzebnej interwencji pogotowia, nie da się przejechać. Podczas jednej z takich rozmów wpadliśmy na pomysł, by pomóc w odśnieżaniu osobom potrzebującym - mówi druh Mateusz, który z ramienia OSP Łososina Górna odpowiada za akcję. - To nie jest akcja powszechna ani pomoc przy porządkowaniu dużych posesji. Naszym celem jest dotarcie tam, gdzie brak odśnieżenia zagraża bezpieczeństwu lub uniemożliwia normalne funkcjonowanie jak wyjście z domu, dojazd karetki, dostarczenie opału czy załatwienie podstawowych spraw.

Swoją pomoc w odśnieżaniu oraz udrażnianiu dojść i dojazdów druhowie z OSP Łososina Górna kierują wyłącznie do osób starszych, chorych i samotnych oraz rodzin znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej, mieszkańców gminy Limanowa. Kontaktować należy się z druhem Mateuszem, dzwoniąc na numer telefonu: 500 474 551.

- Nie spodziewaliśmy się, że nasza akcja stanie się tak medialna. Nie chodziło nam o rozgłos, ale szczerą chęć pomocy. Często jest tak, że osoby, które jej naprawdę potrzebują, to wstydzą się poprosić. Dlatego jeżeli ktoś wie, że jego sąsiad lub znajomy ma realny problem z wyjściem z domu lub dostępem do pomocy, może nam to zgłosić - dodaje druh Mateusz.

Choć oferta pomocy pojawiła się na profilu OSP Łososina Górna na Facebooku we wtorek, 13 stycznia, strażacy odebrali już kilka telefonów z prośbą o pomoc. Każde zgłoszenie jest weryfikowane.

Druhowie działają w czynie społecznym i poświęcają swój wolny czas. Dlatego dopiero popołudniami i wieczorem mogą wziąć się za odśnieżanie.

Parafia św. Mikołaja w Bochni musiała zwrócić miastu 100 tys. zł dotacji na remont ogrodzenia

Paweł Michalczyk
pawel.michalczyk@polskapress.pl

Niewywiązanie się z terminu umowy skończyło się koniecznością zwrotu dotacji, jaką parafia św. Mikołaja w Bochni otrzymała od miasta na remont zabytkowego ogrodzenia.

Informacja o tym, że parafia św. Mikołaja w Bochni musi zwrócić miastu 100 tys. zł dotacji padła podczas ostatniej sesji rady miasta 30 grudnia. Na pytanie radnej Luizy Sawickiej-Hofstede burmistrz Magdalena Łacna poinformowała, że parafia nie zdążyła zakończyć remontu zabytkowego ogrodzenia w terminie (do końca września 2025), stąd konieczność zwrotu dotacji.

- Są takie pogłoski, że burmistrz jest przeciwna remontowi muru przy Bazylice św. Mikołaja. Nie, uważam, że jako miasto powinniśmy wspierać nasze zabytki. Jednym z zabytków jest mur przy Bazylice św. Mikołaja - powiedziała burmistrz Magdalena Łacna.

Jak udało nam się ustalić, parafia zwróciła już pieniądze na konto urzędu miasta. Przelew na kwotę 100 tys. zł wpłynął 29 grudnia. Informację tę potwierdziła nam skarbnik miasta Ewa Dudek.

Parafia zwróciła już pieniądze na konto urzędu miasta. Przelew na kwotę 100 tys. zł wpłynął 29 grudnia

O powody zwłoki w realizacji prac objętych dotacją chcieliśmy zapytać proboszcza parafii św. Mikołaja w Bochni. Niestety nie udało nam się z nim skontaktować.

Paweł Putowski, koordynator inwestycji z ramienia parafii, zapowiedział wydanie oświadczenia dla prasy, w którym przestawione mają być informacje na temat powodów opóźnienia. Czekamy na jego przesłanie.

REKLAMA 0011460141

Polska i Europa – czas na nowy porządek. Ważna debata w lutym w Warszawie

Współczesny świat znajduje się w fazie głębokiej przebudowy. Dotychczasowy porządek międzynarodowy ulega erozji, a na jego miejsce nie wyłonił się jeszcze nowy, stabilny układ sił. Gospodarka globalna coraz silniej funkcjonuje w cieniu geopolityki, gdzie wojny, rywalizacja mocarstw, kryzysy migracyjne i narastające turbulencje polityczne wpływają bezpośrednio na decyzje ekonomiczne, łańcuchy dostaw oraz tempo rozwoju poszczególnych państw.

Konflikty zbrojne unaoczniły, jak kruche są fundamenty bezpieczeństwa energetycznego, żywnościowego i technologicznego. W tym nowym, niepewnym otoczeniu Polska i Europa stają wobec fundamentalnych wyzwań. Bezpieczeństwo i niezależność – energetyczna, technologiczna i militarna – przestają być jedynie hasłami, a stają się strategicznymi priorytetami.

To właśnie te przemiany i wyzwania będą głównym tematem debat podczas konferencji **EEC Trends**, która odbędzie się **9 lutego 2026 r.** w hotelu **Sheraton Grand Warsaw**. Tradycyjnie EEC Trends zgromadzi liderów życia gospodarczego, przedstawicieli administracji, inwestorów i analityków, którzy poszukają odpowiedzi na pytania o przyszłość polskiej gospodarki w dynamicznym świecie.

Swój udział potwierdzili już m.in. **Mirosław Czekaj**, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego; **Krzysztof Dresler**, wiceprezes PKO Banku Polskiego; **Agnieszka Kubera**, prezeska Accenture w Polsce; **Katarzyna Lubnauer**, sekretarz stanu Ministerstwa Edukacji Narodowej; **Kamil Majczak**, prezes Grupy Qemetica; **Renata Mroczek**, prezes Urzędu Regulacji Energetyki; **Michał H. Mrożek**, wiceprezes ING Banku Śląskiego; **Bartłomiej Pejo**, poseł na Sejm RP, przewodniczący Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowoczesnych Technologii; **Piotr Wyborski**, prezes PKP Polskich Linii Kolejowych.

W czasie uroczystej gali towarzyszącej EEC Trends wręczone zostaną statuetki **WNP Awards**. Prestiżowe wyróżnienia przyznawane są przez redakcję portalu WNP osobom, instytucjom i firmom, które w szczególny sposób wpływają na rozwój polskiej gospodarki. Nagrody trafiają do tych, którzy poprzez swoją aktywność, odwagę w działaniu i umiejętność przewidywania zmian wyznaczają nowe kierunki rozwoju – dla branż, sektorów i całej gospodarki.

eprasa.pl 7b340cc89a

Chloé Zhao - przegląd filmów chińskiej reżyserki w Kinie Pod Baranami

FOT. MAT PRASOWE

Frances McDormand w filmie „Nomadland". Filmy Chloé Zhao od 19 do 21 stycznia w Kinie Pod Baranami

Paweł Gzyl
pawel.gzyl@polskapress.pl

Jednym z oscarowych pewniaków w tym roku jest „Hamnet". W oczekiwaniu na premierę dzieła Chloé Zhao, Kino Pod Baranami zaprasza na przegląd jej wcześniejszych filmów .

Chloé Zhao jest mistrzynią czułego, intymnego kina, które opowiada o bohaterach w momencie kryzysu. Tworząca w Stanach Zjednoczonych chińska reżyserka z ogromnym wyczuciem ukazuje ludzi żyjących na marginesie amerykańskiego społeczeństwa, którzy z dala od wielkich miast szukają samych siebie i mierzą się z pytaniami o własne miejsce w nieprzyjaznym świecie. Podczas przeglądu „Mistrzynie kina: Chloé Zhao" w Kinie Pod Baranami wyświetlone zostaną trzy filmy reżyserki.

W programie znajdziemy debiutanckie dzieło Zhao - „Pieśń braci moich", które rozgrywa się na terenie rezerwatu zamieszkiwanego przez rdzennych Amerykanów. To historia młodego chłopaka, który w obliczu śmierci ojca i alkoholizmu matki próbuje sam utrzymać rodzinę, mierząc się z brakiem perspektyw. Johnny mieszka w rezerwacie rdzennych Amerykanów i wchodzi właśnie w dorosłość, jego siostra Jashaun ma 11 lat. Niedawno w przypadkowym pożarze stracili ojca alkoholika, podobnie jak bracia i siostry z innych jego związków – w sumie 23 osoby.

Chociaż w rezerwacie obowiązuje prohibicja, od alkoholu uzależniona jest też ich matka. O nielegalny trunek bowiem nietrudno, handlem nim trudni się także Johnny. Chociaż dobrze wie, jakie są konsekwencje procederu, pracuje dalej – bo to dla niego jedyne źródło utrzymania.

Drugi film przeglądu skupia się na postaci młodego bohatera, którego życie zmienia się z dnia na dzień. „Jeździec" opowiada o kowboju, który niespodziewanie musi wrócić w rodzinne strony. Brady (Brady Jandreau) jest wschodzącą gwiazdą rodeo. Pewnego dnia jego karierę przerywa poważny wypadek. Mężczyzna wraca w rodzinne strony i zaczyna się poważnie zastanawiać, co dalej zrobić ze sobą. Zagubiony na nowo próbuje przejąć kontrolę nad swoim życiem i odnaleźć samego siebie.

W Kinie Pod Baranami będzie również można zobaczyć przełomowy film w karierze Chloé Zhao - nagrodzony trzema Oscarami „Nomadland" z 2020 roku. Frances McDormand wciela się w nim w rolę kobiety, która w dobie kryzysu ekonomicznego w USA zostaje zwolniona z pracy i decyduje się na życie w drodze.

Fern przemierza amerykański Zachód camperem, podejmując sezonowe prace i nawiązując relacje z innymi współczesnymi nomadami, dla których wędrówka staje się alternatywnym sposobem na życie. Kontempluje amerykańską przyrodę, poznaje coraz to nowych ludzi i jest nieustannie jest w drodze.

W „Nomadland", obok profesjonalnych aktorów pojawiają się prawdziwi współcześni nomadzi: Linda May, Swankie i Bob Wells stają się mentorami i towarzyszami Fern podczas jej wędrówki przez rozległe przestrzenie amerykańskiego Zachodu.

Najnowszy film Chloé Zhao „Hamnet" wchodzi na polskie ekrany 23 stycznia. To kostiumowy dramat, którego główną bohaterką jest żona Williama Szekspira - Agnes. Można go będzie zobaczyć przedpremierowo w Kinie Pod Baranami 17 i 18 stycznia oraz 22 stycznia na pokazie z udziałem autorki kostiumów - Małgosi Turzańskiej.

„Antygona" czasu wojny. Ta historia mogła się wydarzyć w Ukrainie czy Gazie

Anna Piątkowska
anna. piatkowska@polskapress.pl

Robimy „Antygonę" tylko innymi słowami - mówi Jakub Roszkowski, reżyser spektaklu, który 16 stycznia będzie miał swoją premierę w Teatrze Słowackiego na Scenie MOS. To rapowana „Antygona" Sofoklesa i Bisza opowiadająca o wysiłku odbudowania świata tuż po wojnie, gdy na arenie zostali tylko za młodzi i za starzy. To też kolejny musical na scenie Teatru Słowackiego, tym razem w jedną z ról wciela się głucha aktorka. O pomyśle na Sofoklesa rozmawiamy z Jakubem Roszkowskim.

FOT. WOJCIECH MATUSIK

„Antygona" Sofoklesa i Bisza w reżyserii Jakuba Roszkowskiego na scenie Małopolskiego Ogrodu Sztuki

Jak dużo jest w „Antygonie" Teatru Słowackiego Sofoklesa, ile Bisza?

Jakub Roszkowski: Historia jest Sofoklesa, słowa są Bisza. Bohaterowie i przebieg antycznej tragedii jest taki jak ją wymyślił Sofokles, natomiast jeśli chodzi o warstwę słowną, w pełni są to frazy Bisza.

Przepisywanie klasyki bywa karkołomne. Porwanie się na Sofoklesa wymagało odwagi?

Zderzamy się z archetypicznym tekstem, z naszymi myślami na temat tego tekstu, ale możemy go napełniać nowymi znaczeniami i kontekstami. Ważne, by to dobre teksty – a ten jest wybitny – szły dalej przez kolejne pokolenia i miejsca. Ja rzeczywiście często przepisuję powieści, teraz jestem po raz pierwszy w sytuacji, kiedy to nie ja przepisałem i już wiem, że nie umiałbym tego tak napisać, jak zrobił to Bisz. Ja nakreśliłem pierwszy scenariusz, nad którym pracował Bisz.

Nadaliście spektaklowi bardzo aktualny wymiar, tę „Antygonę" można umiejscowić na Ukrainie i w Palestynie.

Bardzo mi zależało, żebyśmy w tej historii nie mówili o Polsce, to jest opowieść bardziej uniwersalna, a te konteksty same się dokładają. To przerażające, ale otwierają się kolejne pola, gdzie ta opowieść jest aktualna. Kiedy zaczynaliśmy, myśleliśmy o Ukrainie, potem mocno wybrzmiała Gaza, teraz pojawiają się Wenezuela i Iran.

Bardzo współczesny ten wasz Sofokles i w tym, o czym opowiadacie, i jako opowiadacie.

Ponieważ problemy, które Sofokles porusza w „Antygonie" są bardzo współczesne. Na tym zresztą polega wielkość tych najwspanialszych tekstów kultury, że cały czas dostają nową aktualność i nowe konteksty, w których można je opowiadać. Zależało nam na tym, żeby została klasyczna historia. Robimy „Antygonę" tylko innymi słowami. Z jednej strony jest to „Antygona" czasu wojny czy godzinę po wojnie, z drugiej, co wydaje mi się bardzo aktualne, to jest „Antygona", w której młodzi, a właściwie młode buntują się przeciwko staremu pokoleniu. To jest też bardzo silnie zapisane u Sofoklesa, gdzie jest chór starców i młode kobiety. Nie wiem, jak w tak silnie męskim świecie antycznej Grecji kobiety dostały tyle głosu dla siebie. To fenomen.

Rapowana tragedia antyczna to niejedyna nowoczesność w środkach wyrazu.

„Antygona" jest także o młodych więc chcieliśmy o tym opowiadać językiem młodych. Ale opowiada nie tylko o młodych, ponieważ zderzają się tu dwa światy. A przecież ludzie dojrzali też mają swoje problemy i opowieści, muszą się dostosować do współczesności tak jak w naszej rzeczywistości, muszą mieć np. profil zaufany, nauczyć się świata cyfrowego. Młodzi chcieliby na nowo budować świat, ludzie starszego pokolenia przyzwyczajeni są do patriarchalnego myślenia i układania pod siebie świata. Od tego wyszliśmy. Skoro jest to tuż po wojnie to środkowe pokolenie, most łączący starych i młodych, zginęło na wojnie. Zostali za starzy i za młodzi, a także ci, którzy mieli układy i pieniądze. Rzeczywiście jest wyrwa charakterystyczna dla światów powojennych.

W tytułowej roli obsadzona została debiutantka.

Antygonę gra Julia Kazan, studentka III roku AST, ponieważ zależało mi, żeby faktycznie była to przedstawicielka najmłodszego pokolenia. Ale też różnica między najmłodszym członkiem naszej obsady i najstarszym wynosi ponad pół wieku. Najstarsi aktorzy także rapują. Powiększyliśmy rolę Eurydyki, żony Kreona, o której mało kto pamięta, że istnieje w „Antygonie". U nas wciela się w nią Anna Tomaszewska i ma nieco więcej do powiedzenie. Bardzo istotne było, żeby nie zrobić musicalu w klasycznym tego słowa znaczeniu, żeby np. nie było śmieszne, że boomersi rapują dlatego zapraszaliśmy licealistów, żeby się od nich dowiedzieć, co ich teraz porusza w „Antygonie".

Obsadził pan w musicalu osobę głuchą i to w postaci niezwykle istotnej w przedstawieniu.

Nasza aktorka Dominika Kozłowska gra Wróżbitkę. U Sofoklesa to niewidzący wróżbita Terezjasz, który widzi przyszłość, odczytuje znaki boskie, których nikt inny nie widzi. Zależało mi na zaproszeniu do spektaklu osoby głuchej jako tej, która widzi, wie, ale nie jest w stanie tego przekazać. To rzeczywiście było karkołomne w musicalu, zwłaszcza że Wróżbita ma swoją piosenkę. Dziś danie głosu komuś kto nie mówi jest możliwe za pomocą syntezatorów mowy, mamy inne możliwości komunikacyjne. W spektaklu rzeczywiście usłyszymy głos Dominiki. Wydawało mi się to czymś Kasandrycznym, że wszyscy słyszą, ale nikt nie rozumie, choć ona ostrzega.

Na potrzeby spektaklu zmieniony został układ widowni, jakie zamierzenie temu towarzyszyło?

Chcieliśmy zbudować na scenie coś w rodzaju agory, sytuacji kiedy my jako widzowie nie siedzimy bezpiecznie na widowni, a jesteśmy elementem teatru politycznego na scenie. Dzięki takiemu układowi widz zostaje wciągnięty w tę grę, nie patrzymy tylko na aktorów na scenie, ale też na widzów po drugiej stronie. Aktorzy są też bliżej widzów niż zazwyczaj, co wydawało mi się ważne, choć jest to wymagające i nie zdarza się w musicalach. Muzyk, rytm, fraza są takimi samymi wyznacznikami emocjonalności jak słowo.

eprasa.pl 7b340cc89a

POLSKA *i* ŚWIAT

ŚWIADCZENIA

ZUS przekazał, że od stycznia do 31 grudnia 2025 r. do Zakładu wpłynęło przeszło 1 mln 156 tys. wniosków o rentę wdowią. Najwięcej wniosków zostało złożonych w woj. śląskim, mazowieckim i wielkopolskim, a najmniej w podlaskim, lubuskim i opolskim. Dzięki temu połączeniu świadczeń uprawnieni zyskali średnio 350,63 zł miesięcznie. Obsługa tzw. renty wdowiej była jednym z kluczowych zadań, jakie ZUS zrealizował w 2025 roku.

Jeśli problemem jest zagrożenie Grenlandii ze strony Chin czy Rosji, to jako reszta NATO możemy to zagrożenie zredukować

Radosław Sikorski, szef MSZ

KRÓTKO

WARSZAWA

Posiedzenie ws. aresztu dla Ziobry

W czwartek po godz. 10 Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa wznowił posiedzenie w sprawie ewentualnego tymczasowego aresztu dla byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

Posiedzenie sądu było niejawne. Obecni byli obrońcy b. szefa MS adw. Bartosz Lewandowski i adw. Adam Gomoła, a także prok. Piotr Woźniak, który w Prokuraturze Krajowej kieruje śledztwem dotyczącym nieprawidłowości przy wydawaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości.

Przed wejściem do sądu prok. Woźniak poinformował, że sąd dysponuje w tej chwili już wszystkimi dokumentami, o których braku była mowa na posiedzeniu z 22 grudnia. Dodał, że z formalnego punktu widzenia (azyl udzielony Ziobrze) nie ma żadnego znaczenia dla rozpoznania przez sąd kwestii związanych z przesłankami tymczasowego aresztowania, ale wzmacnia przesłankę ukrywania się podejrzanego. Okoliczność ta zapewne została podniesiona na posiedzeniu sądu.

WARSZAWA

Będzie ekstradycja Aleksandra B.?

FOT. MARCIN OBARA/PAP

Aleksander B. doprowadzany na rozprawę w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Wczoraj sąd miał się zająć wnioskiem prokuratury o dopuszczenie ekstradycji obywatela Federacji Rosyjskiej Aleksandra B., którego ukraińska prokuratura podejrzewa o umyślne, częściowe zniszczenie obiektu dziedzictwa kulturowego.

WARSZAWA

Wirus HAV szaleje na UW

Na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego potwierdzono przypadki wirusowego zapalenia wątroby typu A (HAV). Władze tej jednostki uczelni wydały komunikat do pracowników i studentów na temat tego, jak postępować w takiej sytuacji.

W opublikowanej informacji dla pracowników i studentów stołecznej uczelni podkreślono, że wirus HAV „przenosi się głównie drogą pokarmową (fekalno-oralną), przez kontakt seksualny, spożywanie żywności z niepewnego źródła zakażonej wirusem HAV, najczęściej przez brudne ręce lub skażone powierzchnie".

Dodano też informacje o działaniach prowadzonych na uczelni.

Ataki na polską infrastrukturę energetyczną nie powiodły się

Oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

– Polska obroniła się przed próbami destabilizacji infrastruktury energetycznej podczas grudniowych ataków – przekazał w czwartek premier Donald Tusk. Jak dodał, gdyby atak się powiódł, nawet 500 tysięcy ludzi zostałoby pozbawionych ciepła.

Premier Donald Tusk w czwartek spotkał się z szefami instytucji odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo energetyczne, m.in. służbami specjalnymi i ministrami energetyki odpowiedzialnymi za spółki energetyczne. Tematem spotkania były grudniowe ataki na infrastrukturę energetyczną. W ubiegłym tygodniu minister energii Miłosz Motyka poinformował, że w ostatnich dniach 2025 roku doszło do nieudanego ataku cybernetycznego na szereg instalacji produkujących energię elektryczną.

Szef rządu przekazał na konferencji prasowej po spotkaniu, że podczas grudniowych ataków infrastruktura krytyczna nie była zagrożona. – Chcę powiedzieć, że Polska obroniła się przed próbami destabilizacji infrastruktury energetycznej. Ani przez chwilę nie była zagrożona infrastruktura krytyczna, czyli sieci przesyłowe – to, co decyduje o bezpieczeństwie całego systemu – podkreślił premier.

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Donald Tusk: Chcę powiedzieć, że Polska obroniła się przed próbami destabilizacji infrastruktury energetycznej. Ani przez chwilę nie była zagrożona infrastruktura krytyczna, czyli sieci przesyłowe

Dodał, że próby ataków nie groziły „destabilizacją całego systemu czy blackoutem" w Polsce. – To w ogóle nie wchodziło w rachubę – zaznaczył Donald Tusk. Dodał, że zaatakowano punktowo niektóre miejsca, w tym na przykład dwie elektrociepłownie. – Ataki te były wymierzone w system, który umożliwia zarządzanie prądem pochodzącym z OZE – doprecyzował.

– Potraktowaliśmy to oczywiście bardzo poważnie. (...) Systemy, które dzisiaj w Polsce mamy, okazały się skuteczne. Ten atak praktycznie nie doprowadził do żadnych negatywnych konsekwencji – podkreślił premier. – Mogę powiedzieć, że nie zmarnowaliśmy tego czasu i że polski system energetyczny jest – na tyle, na ile to jest możliwe we współczesnym świecie – bezpieczny przeciw tego typu ingerencjom czy atakom. Ale nie możemy lekceważyć sygnałów – dodał.

Premier poinformował również, że nawet 500 tysięcy ludzi byłoby pozbawionych ciepła, gdyby atak się powiódł. – Ataki nie były przesadnie masywne i nie dotyczyły np. systemów przesyłowych, ale mogły zdezorganizować pracę farm wiatrowych i dotknęły także dwóch elektrociepłowni. (...) Ich charakter był lokalny – powiedział szef rządu. Jak dodał, istnieją przypuszczenia, że atak był przygotowywany od „wielu, wielu tygodni".

Tusk podkreślił, że w Sejmie toczą się prace nad ustawą o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa. – Ustaliliśmy, że po rychłym sfinalizowaniu tej pracy w Sejmie będziemy prosili także Senat o niewprowadzanie poprawek – zapowiedział.

Dodał, że zwrócił się do ministra koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka, który w czwartek spotkał się z prezydentem Karolem Nawrockim, żeby wraz z szefem MON „przekazali ten gorący apel do prezydenta (...), żeby nie zwlekał i podpisał ustawę".

Wicepremier, minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski mówił we wtorek w radiu RMF FM, że wszystko wskazuje na to, że grudniowe ataki to rosyjski sabotaż, który miał zdestabilizować sytuację w Polsce. – To był największy od lat atak na infrastrukturę energetyczną z jasnym celem: doprowadzić do blackoutu – zaznaczył Gawkowski. Podkreślił, że „mamy dobrze przygotowane instytucje", w związku z czym „nie należy panikować".

PAP

Ministrowie u prezydenta Nawrockiego. Tematami rozmów akceptacja budżetu i nominacje oficerskie

Marcin Koziestański
Warszawa

W Pałacu Prezydenckim odbyło się wczoraj spotkanie prezydenta Karola Nawrockiego z ministrami odpowiedzialnymi za obronność i służby specjalne.

W czwartek przed godz. 11 w Pałacu Prezydenckim rozpoczęło się spotkanie prezydenta Karola Nawrockiego z wicepremierem i szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, ministrem koordynatorem służb specjalnych Tomaszem Siemoniakiem oraz kierownictwem służb. Rozmowy dotyczyły m.in. nominacji oficerskich.

Budżet na 2026 r.

W spotkaniu wzięli udział szefowie czterech służb specjalnych: cywilnych – Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencji Wywiadu – oraz wojskowych: Służby Kontrwywiadu Wojskowego i Służby Wywiadu Wojskowego.

Wniosek o rozmowę z prezydentem Kosiniak-Kamysz i Siemoniak złożyli pod koniec grudnia. Szef MON zapowiadał w czwartek na antenie Programu Pierwszego Polskiego Radia, że ministrowie oraz szefowie służb przedstawią prezydentowi plany działania służb wojskowych i cywilnych na ten rok. Dodał, że zwróci się także o szybką akceptację budżetu na 2026 r.

Nominacje oficerskie

Jednym z kluczowych tematów spotkania była kwestia opóźniających się nominacji na pierwszy stopień oficerski funkcjonariuszy ABW i SKW. Od początku listopada prezydent Nawrocki nie podpisał tych nominacji, tłumacząc to brakiem przekazania mu istotnych informacji dotyczących bezpieczeństwa państwa oraz odwoływaniem jego spotkań z szefami służb przez przedstawicieli rządu. PAP

eprasa.pl 7b340cc89a

Kolejny dźwig zawalił się na budowie w Tajlandii. Zginęły co najmniej 2 osoby

Adam Kielar
Tajlandia

Ledwo dzień po tragedii na torach kolejowych, w której życie straciły 32 osoby, kolejna maszyna runęła, tym razem przy budowie drogi. Według najnowszych informacji zginęły co najmniej dwie osoby.

Jak podaje katarska telewizja Al-Jazeera, czwartkowa (15 stycznia) katastrofa miała miejsce na przedmieściach stolicy Tajlandii, Bangkoku, w prowincji Samut Sakhon. Tym razem zawalił się dźwig wykorzystywany do budowy autostrady.

Maszyna runęła na drogę biegnącą poniżej. Przedstawiciele lokalnej policji powiedzieli agencji Reutera, że w katastrofie zginęły co najmniej dwie osoby, a pięć kolejnych zostało rannych.

W mediach społecznościowych pojawiły się nagrania tego zdarzenia. Minister transportu Tajlandii Phiphat Ratchakitprakarn powiedział, że związek z tragedią ma ta sama firma budowlana (Italian-Thai Development), co ze środowym zawaleniem się dźwigu na północnym wschodzie kraju.

14 stycznia inny dźwig spadł na linię kolejową, w momencie gdy przejeżdżał tamtędy pociąg pasażerski. W wyniku tego zdarzenia zginęły 32 osoby, a ponad 60 zostało rannych.

Wypadki budowalne nie są rzadkością w Tajlandii. Ich główną przyczyną jest lekceważenie przepisów bezpieczeństwa. PAP

FOT. PAP/EPA/NARONG SANGNAK

Dźwig zawalił się przy budowie drogi w Tajlandii. Zginęły co najmniej dwie osoby

Trump: W Iranie koniec z zabijaniem i egzekucjami

Marcin Koziestański
Iran

Donald Trump powiedział w środę, że został poinformowany, że w Iranie przestano zabijać demonstrantów i że odwołano planowane egzekucje aresztowanych. Nie ujawnił, co zamierza zrobić.

– Zostaliśmy powiadomieni, i to dość stanowczo. Dowiemy się, co to wszystko oznacza, ale powiedziano nam, że w Iranie kończy się zabijanie. Przestali – powiedział Trump. Dodał, że środa miała być „wielkim dniem egzekucji" więźniów, lecz otrzymał informacje z dobrego źródła, że zostały odwołane.

Ministrowie spraw zagranicznych państw grupy G7 oświadczyli w środę, że są gotowi do nałożenia dodatkowych restrykcji na Iran, jeżeli rządzący tam reżim będzie kontynuował brutalne tłumienie antyrządowych demonstracji.

„Jesteśmy głęboko zaniepokojeni wysoką liczbą zabitych i rannych. Potępiamy celowe stosowanie przemocy, zabijanie protestujących, arbitralne zatrzymania i zastraszanie przez siły bezpieczeństwa" – napisali we wspólnym oświadczeniu szefowie dyplomacji Francji, Japonii, Kanady, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Włoch oraz Unii Europejskiej.

Dyplomaci wezwali też rząd w Teheranie do „zachowania najwyższej powściągliwości" oraz przestrzegania praw człowieka. Według różnych szacunków mediów i organizacji pozarządowych podczas tłumienia protestów siły bezpieczeństwa zabiły nawet 20 tysięcy osób. PAP

REKLAMA 0011431775

INFORMATOR MEDYCZNY
Jeżeli chcecie Państwo umieścić ogłoszenie:
Zadzwońcie: 12 688-84-40
Wysyłajcie maile:
reklama.krakow@polskapress.pl

REKLAMA 0011431595

COR-MED
www.cor-med.com
CENTRUM CHORÓB SERCA
PEŁNA DIAGNOSTYKA
KONSULTACJE ORDYNATORÓW, PROFESORÓW I DOCENTÓW
♦ Echo serca i naczyń (Doppler kolor)
♦ EKG ♦ EKG wysiłkowe ♦ Holter ♦ Holter ciśnieniowy
Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 118
Rejestracja tel. (12.00–17.00)
012 636 44 22

USA – Dania bez przełomu. Spór o Grenlandię trwa

Marcin Koziestański
USA

Duńska dyplomacja podkreśla, że spotkanie było szczere i konstruktywne, ale nie doprowadziło do zmiany stanowiska administracji Donalda Trumpa, która wciąż naciska na przejęcie wyspy.

FOT. PAP/EPA

Lars Lokke Rasmussen i Vivian Motzfeldt powiedzieli po spotkaniu, że rozmowa była szczera i konstruktywna, ale nie udało się zmienić stanowiska Stanów Zjednoczonych

Rozmowy w Waszyngtonie dotyczące przyszłości Grenlandii dobiegły końca. Jak poinformowała duńska dyplomacja, spotkanie miało otwarty i merytoryczny charakter, jednak nie przyniosło oczekiwanego przełomu. – Odbyliśmy szczerą, ale też konstruktywną rozmowę – przekazali przedstawiciele strony duńskiej. Minister spraw zagranicznych Danii Lars Lokke Rasmussen przyznał jednocześnie, że nie udało się zmienić stanowiska Stanów Zjednoczonych.

– Nie ma natychmiastowego zagrożenia ze strony Chin czy Rosji – podkreślił Rasmussen, odnosząc się do argumentów amerykańskiej administracji. Donald Trump wielokrotnie twierdził, że Grenlandia, pozostając pod zwierzchnictwem Danii, może zostać przejęta przez jedno z tych państw. – Nie ma potrzeby, żeby USA przejmowały Grenlandię – zaznaczył szef duńskiej i grenlandzkiej delegacji podczas konferencji prasowej po spotkaniu.

– Nie udało się zmienić stanowiska USA. Wciąż mamy fundamentalny spór, dlatego będziemy kontynuować rozmowy – dodał duński minister.

Strona grenlandzka przypomniała, że wyspa objęta jest artykułem 5. Traktatu Północnoatlantyckiego, który gwarantuje jej ochronę ze strony wszystkich państw NATO.

Minister spraw zagranicznych Grenlandii Vivian Motzfeldt poinformowała, że Nuuk (stolica wyspy – przyp. red.) jest zainteresowane dalszym wzmacnianiem współpracy z Waszyngtonem, jednak jednoznacznie sprzeciwia się włączeniu Grenlandii do USA. Przedstawiciele delegacji podkreślili również, że Dania jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo Grenlandczykom, a wszelkie pomysły naruszające integralność terytorialną Grenlandii w ramach królestwa Danii są „całkowicie nie do przyjęcia".

W celu złagodzenia sporu między Danią, Grenlandią i USA zapowiedziano powołanie specjalnej grupy operacyjnej „na wysokim szczeblu", która ma zebrać się w ciągu najbliższych tygodni.

Wyspa objęta jest artykułem 5. Traktatu Północnoatlantyckiego, który gwarantuje jej ochronę ze strony wszystkich państw NATO

W rozmowach w Waszyngtonie uczestniczyli m.in. wiceprezydent USA J. D. Vance oraz sekretarz stanu Marco Rubio. Spotkanie odbyło się w cieniu kolejnych deklaracji Donalda Trumpa dotyczących przejęcia Grenlandii przez Stany Zjednoczone.

Jeszcze przed rozmowami amerykański prezydent ponownie przedstawił swoje żądania na platformie Truth Social.

Europosłowie zdecydują, czy skierować umowę Mercosuru do TSUE. Liczy się każdy głos

Marcin Koziestański
Bruksela

21 stycznia Parlament Europejski zagłosuje nad skierowaniem umowy z krajami Mercosuru do Trybunału Sprawiedliwości UE. Decyzja szefów grup politycznych PE oznacza, że jeśli TSUE uzna wniosek za dopuszczalny, ratyfikacja umowy może zostać opóźniona nawet o dwa lata.

FOT. WIKIPEDIA.ORG

Sala obrad PE w Strasburgu

Głosowanie odbędzie się na sesji plenarnej w Strasburgu, zaledwie kilka dni po tym, jak szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Layen podpisze umowę w Paragwaju. Jeśli wniosek ponad 140 eurodeputowanych uzyska poparcie większości i TSUE uzna go za dopuszczalny, ratyfikacja umowy w PE może zostać opóźniona nawet o dwa lata – tyle zwykle trwa rozpatrywanie tego typu spraw.

Jeden z eurodeputowanych przyznał dziennikarce RMF FM, że kluczowe głosy mogą zaważyć o wyniku, ponieważ decyzja może zależeć od kilkunastu osób. Lider „rebelii" eurodeputowanych z PSL, Krzysztof Hetman, przyznaje jednak, że szanse na skierowanie umowy do TSUE są teraz mniejsze niż w listopadzie ubiegłego roku. Po głosowaniu krajów UE poparcie dla umowy było wyraźne, a europosłowie będą głosować zgodnie z linią swoich rządów.

Autorzy wniosku o skierowanie umowy do TSUE chcieli poddać go pod głosowanie już w listopadzie, ale biuro przewodniczącej PE, Roberty Metsoli, uznało wtedy, że nie można kierować do Trybunału tekstu, który nie został jeszcze zatwierdzony przez kraje UE. Wniosek ma na celu ustalenie, czy umowa, podzielona na część handlową i polityczną, jest zgodna z traktatami unijnymi.

Przypomnijmy. 9 stycznia państwa Unii Europejskiej zgodziły się na umowę z Mercosurem. Przeciw w Radzie UE głosowali przedstawiciele Polski, Francji, Irlandii, Węgier i Austrii. Od głosu wstrzymała się Belgia. Decydujące dla wyniku było poparcie umowy przez Włochy, a szef dyplomacji tego kraju Antonio Tajani stwierdził, że dla Włoch umowa w obecnie przyjętej formie jest korzystna.

Porozumienie handlowe z państwami Mercosuru wprowadzi preferencje celne dla niektórych produktów rolnych, w tym produktów wrażliwych: wołowiny, drobiu, nabiału, cukru i etanolu. W zamian rynki tych państw otworzą się na towary przemysłowe UE, takie jak samochody, maszyny i leki. Jednocześnie przyjęto wzmocnioną wersję klauzuli ochronnej. Chodzi o mechanizm, który będzie mógł prowadzić do wyłączenia preferencji celnych dla producentów z Mercosuru, jeśli dojdzie do spadku cen produktów wrażliwych w UE lub jeśli na rynek trafi nagle zbyt duża ilość tych produktów. PAP

eprasa.pl 7b340cc89a

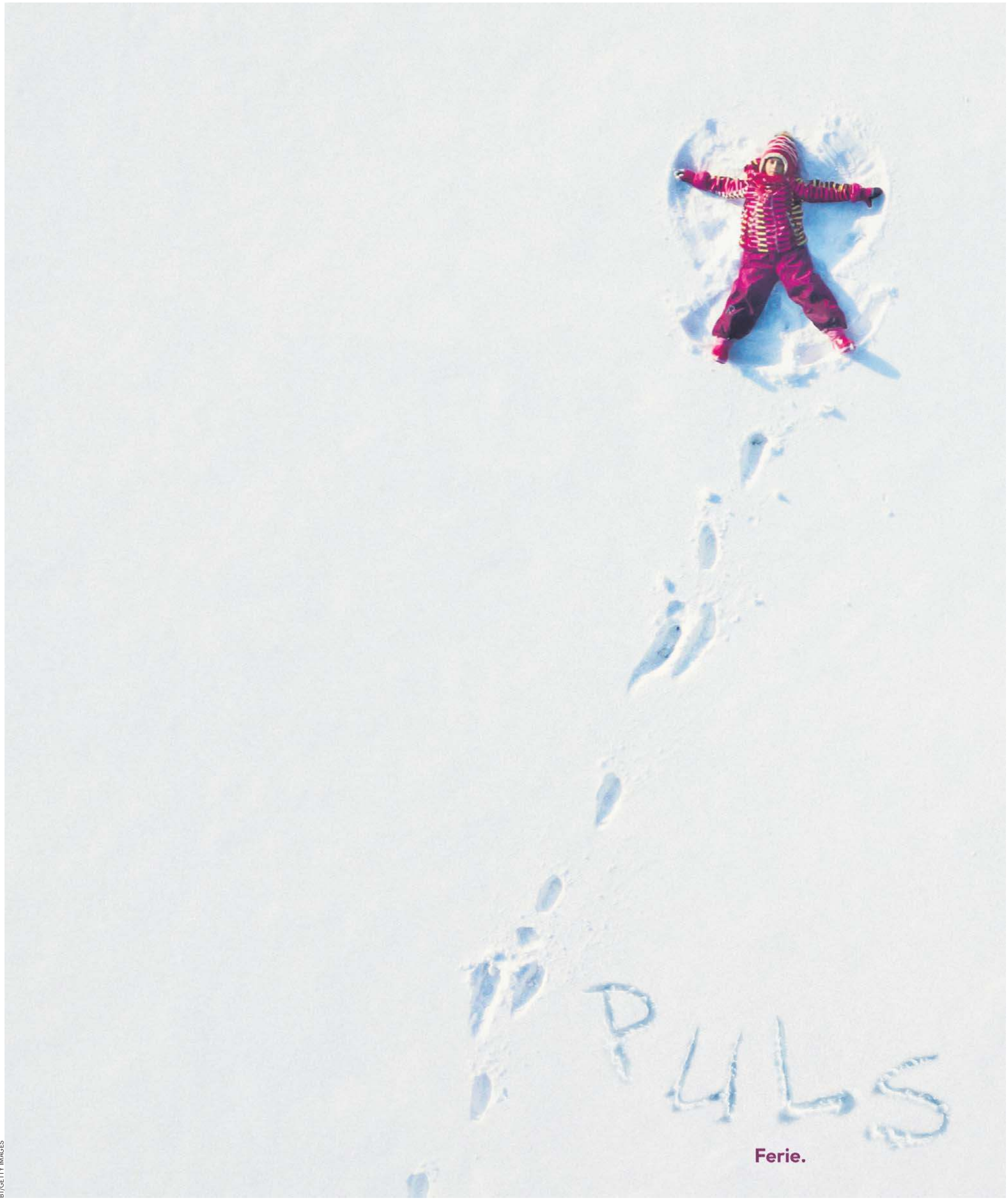

BT/GETTY IMAGES

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

FOTO*komentarz tygodnia*

FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

14 STYCZNIA, POMORZE, **Łącznie pięć lodołamaczy zaczęło kruszyć lód o grubości nawet 10 cm na odcinku Wisły na Pomorzu. To ważne, gdyż zatory lodowe działają jak tama uniemożliwiając wodzie spływanie do morza. Ale walkę z mrozem toczyła w tym tygodniu cała Polska. Występująca na drogach gołoledź skomplikowała komunikację kołową oraz transport pociągami. Zamarzły największe polskie jeziora: Śniardwy, Mamry i Niegocin. W skrócie - zima XXI wieku**

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA

13 STYCZNIA, WARSZAWA. **Jedna z tych dwóch pań miała stanąć na czele Polski 2050, ale drugą turę wyborów w partii anulowano. W polityce droga od powagi do śmieszności potrafi być krótka**

FOT. PAP/EPA/NEIL HALL

12 STYCZNIA, IRAN. **Trwają zamieszki w całym Iranie przeciwko reżimowi ajatollahów. Te największe w tym wieku protesty w tym kraju wspierają USA, Donald Trump niemal otwarcie zapowiada interwencję zbrojną w Teheranie. Ale ajatollah Ali Chamenei nie zamierza się poddawać. Wytrzyma presję?**

FOT. ZHANG TAO/XINHUA NEWS/EAST NEWS

12 STYCZNIA, CHINY. **W Harbinie odbył się 42. Festiwal Śniegu i Lodu. Ponad 4 mln widzów w jego trakcie miało okazję podziwiać spektakularne prace wykonane z typowo zimowych surowców**

DZIENNIK OPINII

Liliana Sonik

„NIEDZIELE" – FILM, KTÓRY ZACHWYCA ANTYSYSTEMOWCÓW I DUSZE SUBTELNE, A TAKŻE KATOLIKÓW

Jakim sposobem ten film dostał nagrodę główną na festiwalu w San Sebastian? Co sprawiło, że zarobił już ponad 4 miliony euro, skoro w kinach jest zaledwie od dwu miesięcy i tylko w Hiszpanii, a teraz w Polsce, natomiast w innych krajach będzie grany od lutego? Dlaczego niewierząca reżyserka i autorka scenariusza podjęła temat powołania zakonnego i jakim cudem wyszła z tego zwycięsko?

Najprostsza będzie odpowiedź na ostatnie pytanie. Alauda Ruiz de Azúa odrzuciła wszelki aktywizm. Nie przekonuje do tezy, nie chce terapeutyzować. Temat traktuje z szacunkiem: nie nawraca ani nie ośmiesza. Próbuje tylko zrozumieć coś, co się logice wymyka.

To miałoby wystarczyć? Owszem, bo to postawa dziś wyjątkowa. Przecież twórcom kina – reżyserom i aktorom – odpowiada postawa wyroczni decydującej, co mądre, a co głupie, albo co dobre, a co złe, także w sprawach, o których pojęcia nie mają.

Konieczny jest jeszcze talent. A tego nie brakuje ani reżyserce, ani aktorom. Obserwujemy wspaniałe, dojrzałe kreacje aktorskie. Nie ma w tym filmie gwiazd plakatowych, napompowanych marketingiem – są gwiazdy realne.

A Ruiz de Azúa po prostu opowiada historię i stara się ją zrozumieć. Poznajemy hiszpańską rodzinę z klasy średniej. Nie nazbyt bogatą, ale też nie biedną. Są dobrze wychowani i kulturalni. Lubią się i wspierają. Główna bohaterka, Ainara (w tej roli świetna Blanca Soroa), ma 17 lat. Jest miłą, bystrą uczennicą klasy maturalnej w katolickim liceum. Mieszka z ojcem, dwiema młodszymi siostrami oraz z babcią w komfortowym, ładnym domu. Matka nie żyje, więc za przyszłość Ainary czuje się odpowiedzialna Maite – siostra ojca.

Łączy je sympatyczna komitywa. Maite chce szczęścia dla bratanicy, chce, by studiowała i miała chłopaka. Czyż nie tego pragną dla swoich dzieci rodzice? Są gotowi pomagać w wyborze zawodowej drogi i cieszyć się, że ich dziecko znalazło miłość. To wydaje się naturalny plan na życie.

Nagle przychodzi trzęsienie ziemi. Bo taki efekt wywołuje Ainara, gdy mówi, że rozważa wstąpienie do klasztoru. Rodzina nie chce w to uwierzyć. Prawdę mówiąc, dziewczyna też nie do końca wierzy w to, co ją spotyka.

I o tym jest ten film.

„Chcesz się zamknąć w klasztorze? Ze staruszkami? Na wszystkie następne niedziele życia?" – pyta ojciec.

Jak to możliwe? W XXI wieku? Czym jest siła, która w najmniej spodziewanym czasie i miejscu potrafi skłonić do porzucenia wszystkich rysujących się na horyzoncie atrakcji przyszłego życia? Także pocałunków, pieszczot i chłopaka, który mógł stać się miłością życia, przez dziewczynę, której nic nie brakuje. Czy naprawdę?

Bo deklaracja Ainary odsłania pulsujące konflikty. Tolerancyjna, wesoła Maite z dnia na dzień zapomina o tolerancji. Nowoczesna menedżerka kultury nie potrafi zrozumieć tajemnicy sacrum, więc próbuje różnych metod, by odwieść bratanicę od popełnienia życiowego błędu. Reaguje agresją, ponieważ uważa, że Ainara skazuje się na nieszczęście. A przy tym nie chce zauważyć, że to jej życie – małżeństwo, a nawet relacja z synkiem są konstrukcją pustą, wydrążoną z sensu i szczęścia.

Bezrobotny mąż Maite, choć bezszmerowo prowadzi dom i zajmuje się synem, ma serdecznie dość wszystkiego, zwłaszcza żony. Ojca Ainary bardziej od córki interesuje bezkolizyjne wprowadzenie do rodziny swojej nowej kobiety. W tym filmie nikt nie jest jednowymiarowy: ani nowoczesny, atrakcyjny katecheta, ani zbyt inteligentna przełożona klasztoru (znakomita rola Nagore Aranburu).

Rodzina Ainary nie jest rodziną Addamsów; to rodzina, jakich wiele, podobna do naszych rodzin.

Film zdaje się mówić, że powołanie zdarza się w dowolnym czasie i miejscu, a my nie znajdujemy odpowiedzi na pytanie, dlaczego. Możemy to tylko uszanować i pogodzić się z bezradnością racjonalnych wyjaśnień. Przecież kiedy nadzieja włoskiej piłki, „złoty chłopak" – Samuel Piermarini – rzucił karierę, by zostać księdzem, niezdarne próby zrozumienia niczego nie wyjaśniły. I tak jest zawsze.

Warto pójść do kina, by zobaczyć „Niedziele" – bo taki tytuł nosi film, o którym piszę. Każdy będzie zaskoczony, choć każdy zapewne innym jego aspektem. Bo – wbrew pozorom – to nie jest film dydaktyczny. Ani moralizatorski. To nawet nie jest film o Bogu, który – jak to Bóg ma w zwyczaju – pozostaje niewidoczny. A jeśli widoczny, to tylko przez krótką chwilę. I tylko dla zrozpaczonej Ainary.

eprasa.pl 7b340cc89a

Marek Twaróg

KRYPTODYKTATURA, STYL ZIOBRY I LISTY Z WIĘZIENIA

Lektura najnowszej odezwy, którą minister sprawiedliwości na uchodźstwie skierował do narodu przypomniała mi, gdy jako naczelny największego tytułu na Górnym Śląsku sporo listów dostawałem z lekkiego dość więzienia w Jastrzębiu-Zdroju. Nie wiem, dlaczego, ale właśnie tamtejsi drobni przestępcy uznali, że naszej redakcji warto poskarżyć się na swój zły los. Nudziło im się, więc pisali – to jasne. Ale czemu akurat do Dziennika? Nie wiem.

Ziobro, który właśnie ostatecznie uciekł pod skrzydła Orbana, kumpla Putina, by uniknąć odpowiedzialności za czyny opisane w 26 zarzutach karnych, używa dokładnie tej samej metody epistolograficznej co tamci drobni na ogół złodzieje, oszuści, pijani kierowcy i przestępcy alimentacyjni.

Otóż najpierw nakreślali sytuacje ogólną: jestem niewinny, nic nie zrobiłem, prokurator się uwziął. Ziobro ubiera to w kwiecisty styl: mamy więc „kryminalne przejęcie Prokuratury Krajowej przez grupę przestępczą Tuska", dlatego „wybiera walkę z politycznym bandytyzmem i bezprawiem" oraz „stawia opór postępującej dyktaturze". Ziobro dodaje, że to „polowanie i nagonka", a w ogóle „odwet" oraz działania „nikczemne i nielicujące z elementarnymi standardami państwa prawnego". Jednym słowem: „kryptodyktatura".

W listach z Jastrzębia po takim wstępie następowała część z szantażem emocjonalnym. Więźniowie pisali, że są potrzebni w domu, bo nie ma kto gwoździa wbić (wcześniej nie płacili alimentów), dzieci potrzebują ojca, albo choroba sąsiada postępuje, więc trzeba mu kolegi. Miało mnie to wzruszyć i zmusić do działania. Ziobro też próbuje majstrować nam w naszych zatwardziałych lewacko-unijnoeurokołchozowych – antypolskich – antychrześcijańskich sercach. Pisze, że ponoć minister sprawiedliwości grozi „porywaniem politycznych oponentów i wywożeniem ich w bagażniku", a równocześnie jakiś niezawisły sędzia stał się celem „brutalnej medialnej nagonki". Jako że są to „metody rodem ze stalinizmu", to „mogą dotknąć każdego obywatela, ponieważ rządzący konsekwentnie likwidują niezależny wymiar sprawiedliwości". I co wtedy, obywatelu? – zdaje się pytać Ziobro – gdy przyjdą też po Ciebie? Dokładnie tak było w listach z więzienia: „Czy pan sobie wyobraża, że i Pana mogliby wsadzić za zaledwie dwa promile alkoholu?". Nie wyobrażałem sobie.

Ziobro wzrusza dalej: „wydarzenia w Polsce pokazują, że ofiarami brutalnej agresji obecnej władzy stają się także kobiety i matki", bo „wobec urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości przetrzymywanych w areszcie wydobywczym stosowano metody nieludzkie". Do tego ponoć „Giertych, uczynił dziecko aresztowanej szefowej sekretariatu premiera Mateusza Morawieckiego zakładnikiem. Zakończenie cierpień chorego dziecka, spowodowanych rozłąką z matką, publicznie uzależniał od złożenia przez nią zeznań zgodnych z oczekiwaniami władzy" – dowodzi Ziobro. I dodaje: „Dziś pojawia się analogiczny scenariusz: próba potraktowania mojej żony jako zakładniczki".

Co za emocje. Kluby GP poruszą na pewno.

Ostatecznie po wyłuszczeniu swojej sprawy więźniowie przechodzili na ogół do zapewnień, że kto jak kto, ale oni są prawymi obywatelami i mogliby się przydać państwu, jak i swojej lokalnej społeczności, a już rodzinie na pewno. „Więcej uczynię, walcząc z postępującym w Polsce bezprawiem" – zapewnia zatem także Ziobro. – „Tak dziś rozumiem swój publiczny obowiązek" (...) „Podjąłem decyzję, że nie pozwolę, aby moje dzieci zostały pozbawione opieki matki, a moja żona – w zastępstwie za mnie – stała się ofiarą psychopatycznej zemsty Donalda Tuska. Dlatego wystąpiłem o objęcie jej międzynarodową ochroną".

Jedyną różnicę w formule listów z Jastrzębia i listu z Budapesztu dostrzegam w zakończeniu. Jakie tam zakończenie. W przypadku Ziobry bujny styl pozwala na nazwanie tego fragmentu finałem, epilogiem lub nawet codą. Więźniowie nigdy na koniec nikomu nie grozili. Raczej uprzejmie się kłaniali werbalnie, „mając nadzieję na odpowiedź miłego redaktora". Ziobro inaczej: „Za stosowanie brutalnych i bezprawnych metod członkowie rządzącego dziś w Polsce reżimu Donalda Tuska poniosą surowe konsekwencje. Do tej walki przyłożę rękę osobiście" – zapowiada.

Nigdy z więźniami nie korespondowałem. Mam nadzieję, że z Ziobrą też nikt nie będzie.

Leszek Waligóra

MIĘKKIE SERCE I TWARDY TYŁEK KONTRA KROPELKI JADU

Nie wspieram Owsiaka - obwieściła Gwiazda. Gwiazda nie jest krową, zdanie może zmienić. Kiedyś wspierała. Może z przekonania, a może dlatego, że całe jej środowisko wspierało, a w jej fachu trzeba dbać o popularność. Gwiazda popularna jest dalej, choć w innym środowisku. Takim, które z niewspierania Owsiaka zrobiło religię. Nie wspiera więc - głośno, żeby inni wiedzieli o niewspieraniu. Nie wiem, może serduszko Gwiazdę boli, ale to cena popularności.

Oczywiście, jeśli Gwiazda kiedyś wychynie ze swojej banieczki, zauważy i innych, którzy ostentacyjnie wspierają. Też, być może, dla popularności. Bo ja, na przykład, wspieram. Choć... nie Owsiaka, ale ciii. Bo się wyda. Ale czegóż się nie robi dla rzesz fanek, dla autografów, zaproszeń na czerwony dywan i uścisków dżentelmena w czerwonych spodniach i pomarańczowych okularach. Ach, zapomniałem dodać: Owsiak tą zarobioną kasą dzieli się ze mną. Miało się nie wydać...

Przyznaję: jestem krową. W sprawie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy zdania nie zmieniam. Od pierwszego finału, gdy wrzucałem jakieś grosze do puszki. Od któregoś tam kolejnego, gdy sam zbierałem do puszki. Od finału, gdy Owsiak, którego mój serdeczny kolega namówił do oddania własnych okularów na aukcję w poznańskim Zamku. I przez dziesiątki kolejnych. Może i zmieniłem zdanie na temat samego Owsiaka, który kiedyś jawił mi się jako bezbrode wcielenia jowialnego Świętego Mikołaja, a potem okazał się eksplozywnym cholerykiem, a na koniec - sprawnym szefem wielkiej organizacji.

Kiedyś byłem naiwny, dawałem mu tę kasę bezinteresownie. Ale teraz daję interesownie. Bo się dzieli. Mniej więcej od 10 lat również ze mną. Jako szczyl biegający na mrozie z puszeczką, liczyłem na to, że do takiej korupcji nie dojdzie. Ale doszło. I gdy to się zdarzyło pierwszy raz, oczy mi się zaszkliły. Tyle dobra i to wszystko dla mnie!

Pierwszy ultrasonograf, dzięki któremu obejrzałem mojego pierworodnego, miał naklejone serduszko Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Pierwsze badanie słuchu - wykonano sprzętem kupionym przez Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Obok widziałem dziesiątki sprzętów kupionych dzięki Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy. I tak, wiem, że za pieniądze NFZ było tych sprzętów kupionych zdecydowanie więcej. Ale to jest bardzo proste. Straż pożarna też ugasi więcej pożarów niż możesz ty, swoją maleńką gaśnicą samochodową. Ale to nie znaczy, że gdy się pali, masz na to patrzeć z założonymi rękami. To nie znaczy, że nie masz podnieść człowieka, gdy upadnie, bo jakieś służby to zrobią. Możesz - to pomagasz. Nie możesz - nie pomagasz. Nie chcesz? Trudno, Twoje sumienie. Ale do cholery - nie przeszkadzaj.

Była Orkiestra naszym dobrem wspólnym. Tym dniem w roku, kiedy nawet łobuzy się do ludzi uśmiechały. Powiedziałbym nawet: zwłaszcza łobuzy, bo to był ruch serdeczny, bez wyrachowania. Podpinali się pod niego celebryci i politycy, ci sami, którzy parę lat temu, dla popularności, wykonali zwrot w drugą stronę i teraz ostentacyjnie „nie dają". Bo jakieś wahadełko populizmu im podpowiedziało, że na tym zyskają. Miejmy to, jak chore dziecko z popularnego memu, w dupie.

Robimy coś dobrego razem. Każdy na tyle, na ile może. Każdy jakąś cegiełkę, mniejszą lub większą. Wychowało się na tym kilka pokoleń. Na sprzętach kupionych z tych pieniędzy uratowano tysiące żyć. Samej idei pomagania, tego, że można to robić nie patrząc na status społeczny, polityczny, finansowy - też się uczyliśmy. Od drani po niemal świętych, przebyliśmy wielką drogę.

Wydawało się nam przez lata, że jako ludzie składamy się z tych samych organów, z przewagą serca. Ale przez to, że niektórzy wykryli u siebie i zaczęli nadużywać organu odpowiedzialnego za wytwarzanie jadu, inni z nas, ci z miękkimi sercami, musieli u siebie wyhodować również twarde dupy.

Państwo wybaczą słowa, ale naprawdę ciężko mi napisać, że systemowych bojowników przeciwko idei pomagania mam w głębokim poważaniu. Bo nie mam.

Nadal utrzymujemy silną dwustronną współpracę wojskową z USA, to nigdy nie zawiodło. Wszystko, co odwraca uwagę od Rosji lub Ukrainy, jest złe. Nasza uwaga powinna być skierowana na wschód – stamtąd pochodzi zagrożenie

GENERAŁ CARL-JOHAN EDSTROEM, SZEF SZTABU OBRONY SZWECJI

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

MROŹNO I BIAŁO. TAKIEJ ZIMY DAWNO NIE BYŁO

Sypnęło śniegiem, ścisnął mróz – mamy prawdziwą zimę. Jedni narzekają, inni wręcz przeciwnie. W niektórych województwach właśnie zaczynają się ferie, więc cieszą się zwłaszcza ci, którzy ruszają na zimowy wypoczynek. Górale już zacierają ręce i liczą dudki, właściciele nadmorskich pensjonatów przygotowują gościnne pokoje, ale też zima 2026 może być jednym z najbardziej intensywnych sezonów od lat

Dorota Kowalska

FOT. ARC. POLSKA PRESS

Za oknem świat jak w bajce. Dzieci się cieszą, ale kierowcom jeździ się trudno

Świat wokół wydaje się bajkowy, wszystko pokrywa biały puch. Kiedy z psiakiem wybieram się rano do lasu, mijają nas zazwyczaj ci sami ludzie z tymi samymi czworonogami. Od kilku tygodni jest inaczej - na leśnych ścieżkach tłum.

- Marszałkowska! - wybucha śmiechem koleżanka, właścicielka owczarka niemieckiego o wdzięcznym imieniu Koks.

W śniegu po kolana po lesie spacerują całe rodziny. Maluchy zjeżdżają z górek na sankach, dorośli szusują na nartach biegowych, psiaki z nosami w zaspach próbują wytropić zapach leśnej zwierzyny. Między drzewami wyrosły śnieżne bałwany z marchewkami zamiast nosa, ziemniakami zamiast guzików i oczu. Zabawa, śmiech.

- Mnie tam do śmiechu nie jest - wzrusza ramionami nasz osiedlowy gospodarz, który od 6.00 rano odśnieża osiedlowe dróżki.

- Robota na okrągło, bo co odgarnę, zasypie znowu - narzeka. Do pomocy ściągnął syna, który przed pracą macha łopatą razem z nim.

To prawda, zima na całego. Nie tylko w Polsce - prawie 80 proc. Europy pokryte jest białym puchem. Meteorolodzy z serwisu Ventusky przygotowali specjalne mapy, które pokazują, jak zmieniał się śnieżny krajobraz w Europie od 2009 do 2026 roku. Wybrano jedną datę - 8 stycznia.

„Pokrywa śnieżna była znacznie większa tylko w 2010 i 2009 roku, natomiast podobny zasięg odnotowano w 2017 roku. W kontekście ostatnich 20 lat obecna pokrywa śnieżna plasuje się na czwartym miejscu" - wyjaśniono.

Skąd ten zimowy armagedon? Jak tłumaczą eksperci, powodów jest przynajmniej kilka. Pierwszy - nad Europą utrzymuje się silny wyż polarny, który sprowadza wyjątkowo zimne masy powietrza znad Arktyki. Drugi - to La Niña (z hiszpańskiego „dziewczynka"). Co to takiego? Obniżenie temperatury powierzchniowych wód Oceanu Spokojnego. Podczas występowania tego zjawiska pasaty przybierają na sile. Zimne prądy morskie przemieszczają się wzdłuż równika i zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Wówczas temperatura powierzchniowych wód oceanicznych zmniejsza się o 4 stopnie poniżej normalnych wartości. La Niña wpływa na globalne prądy atmosferyczne i powoduje nietypowe warunki pogodowe w Europie, w tym zwiększoną liczbę opadów śniegu i silne mrozy. Więc mamy, co mamy. Jedni się cieszą, inni machają łopatami albo stoją uwięzieni w kilometrowych korkach.

Ferie czas zacząć

Cieszą się ci, którzy planują swoje urlopy. W tym roku ferie zimowe po raz pierwszy będą podzielone na trzy tury, rozpoczną się 19 stycznia, a więc już w ten poniedziałek, i potrwają do 1 marca.

Adam razem z rodziną - żona, dwójka dzieci - od lat jeździ w ferie zimowe do Szczyrku. Wszyscy szusują na nartach, więc pierwszy tydzień przerwy zimowej spędzają w górach. Jest drogo, ale mają swój ukochany pensjonat, zaprzyjaźnili się z gospodarzami, u których wynajmują dwa pokoje.

- Płacimy za noclegi może nie po starych cenach, ale stosunkowo mało, a to na pewno obniża nam koszty pobytu. Możemy korzystać z kuchni, więc śniadania, kolacje, a czasami obiady przygotowujemy sami. Nie byłoby nas stać, żeby całą czwórką przez tydzień żywić się na mieście - tłumaczy.

Tym bardziej, że trzeba opłacić wyciągi. Czasami przekąsić coś na trasie.

- Ale nie wyobrażamy sobie, żeby nie pojechać w ferie na narty. Dzieci by tego nie przeżyły - wybucha śmiechem Adam. - Uwielbiają narty. Zresztą nam też zależy, żeby się trochę ruszały, były sprawne fizycznie, nie siedziały godzinami z nosami w smartfonach - dodaje.

Spędzają ten czas intensywnie. Rano śniadanie, potem na wyciąg, wracają do pensjonatu na obiad, który przygotowują razem, po południu znowu narty. Jeśli dzieciaki chcą odpocząć od stoku, robią sobie wycieczki albo idą na basen. Wracają do domu trochę zmęczeni, ale szczęśliwi.

Drugi tydzień ferii syn i córka odpoczywają w mieście. Spotykają się z kolegami, chodzą do kina, zajmują się swoimi sprawami.

Z badań wynika, że zima 2026 może być jednym z najbardziej intensywnych sezonów od lat. Polska Organizacja Turystyczna zapytała na przełomie listopada i grudnia dorosłych Polaków, czy w okresie od 24 grudnia 2025 roku do 1 marca 2026 roku planują wyjechać gdzieś na wypoczynek. 51 procent powiedziało - tak.

Ponad jedna czwarta wszystkich respondentów (27 procent) spędzi zimowy urlop wyłącznie w Polsce, co dziesiąty (11 procent) wyjedzie za granicę, a 7 procent z nas będzie tu i tu.

W Polsce najchętniej wybieramy góry (31 procent badanych), nad polskie morze lub do innego miasta w kraju zamierza wyjechać co piąty badany (19 procent). W kraju najchętniej zimą wypoczywamy w gronie rodzinnym - tak deklaruje 77 procent ankietowanych, 9 procent wybierze się na krajowy wyjazd zimowy samotnie.

Chcemy głównie odpocząć, zrelaksować się, ale też zwiedzać, uprawiać sport „z dala od cywilizacji i tłumów".

Tych, którzy zadeklarowali, że zimą polecą za granicę, POT zapytał, dlaczego nie chcą odpocząć w kraju. Co trzeci pytany wskazał, że „chciał pojechać do tego, konkretnego miejsca", 29 procent „chciało mieć gwarancję dobrej pogody", a 23 procent było zdania, że „wyjazd za granicę w standardzie, jakiego oczekuję, jest tańszy niż w Polsce".

Także według danych portalu rezerwacyjnego Triverna.pl w tym roku liczba rezerwacji jest o 26 procent wyższa niż rok temu. Morze odpowiada już za 49,8 procent z nich, góry, choć tanieją, notują lekki spadek udziału - z 44,9 do 42 procent rezerwacji.

- Widać wyraźnie, że część klientów szuka dziś alternatywy dla zatłoczonych kurortów górskich. Morze zimą przestaje być egzotyką, a coraz częściej jest świadomym wyborem - także dla rodzin - mówi Krzysztof Dębski, Chief Marketing Officer w Triverna.pl.

Choć wciąż dominują wyjazdy krajowe, rośnie znaczenie rezerwacji zagranicznych. W ubiegłym roku stanowiły one zaledwie 2, dziś to już 5 procent wszystkich rezerwacji, a ich udział w wartości sprzedaży jest jeszcze wyższy - zagraniczne ferie są bowiem wyraźnie droższe.

Gdzie jechać?

Tak więc góry i morze. Górale już zacierają ręce i liczą dudki, ale też ferie zimowe to dla nich dobry czas. Śnieg? Jak najbardziej, on przyciąga turystów. W Zakopanem jest go nawet w tym roku za dużo. Zebrany z ulic trafił na specjalnie wyznaczone place składowe, teraz ciężarówki regularnie wywożą go z miasta.

Nie tylko drogowcy mają co robić, ratownicy górscy też szykują się na turystyczny sezon: ruch w górach zaczął się już od świąt Bożego Narodzenia, potem było święto Trzech Króli, teraz zaczynają się ferie.

Tymczasem turyści wciąż nie przestrzegają zasad. Grzech pierwszy: Idą w góry i nie sprawdzają prognozy pogody. Patrzą w niebo, świeci słońce, więc ubierają buty i ruszają przed siebie.

Grzech drugi: Są nieodpowiednio ubrani. Wchodzenie na szlaki w klapkach czy butach na obcasach to skrajne przypadki, chociaż takie też się zdarzają. Tymczasem do górskiej wycieczki w zimie trzeba naprawdę dobrze się przygotować.

Grzech trzeci: Brak racjonalnego myślenia.

„Niestety, nowoczesność ma drugą, ciemną stronę - psuje ludzi, rozleniwia ich i sprawia, że często nie potrafią realnie ocenić sytuacji, a co za tym idzie, mają nierealne wymagania" - pisze Beata Sabała-Zielińska w swojej nowej książce „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć".

Świat idzie naprzód. Czasy telefonów na korbkę w schroniskach górskich i awaryjnych ra-

eprasa.pl 7b340cc89a

dzieckich UAZ-ów, którymi jeździł GOPR, już się na szczęście definitywnie skończyły. Dziś mamy błyskawiczną formę powiadamiania o wypadkach za pomocą telefonów komórkowych, które ma w kieszeni każdy turysta, a polskie ratownictwo górskie jest obecnie jedną z najlepiej wyszkolonych i wyposażonych służb specjalistycznych na świecie. Dysponuje skuterami śnieżnymi, quadami, nowoczesnymi samochodami terenowymi 4x4 i śmigłowcem. Górscy ratownicy ochotnicy stanowiący 90 procent składu kadrowego GOPR i TOPR, 10 procent to ratownicy zawodowi. Nie mają najlepszego zdania o ludziach, którzy chodzą po górach.

„W dawnych czasach turysta, który nie przygotował się do wycieczki górskiej, ponosił tego konsekwencje. (...) Teraz jeszcze się dobrze nie ściemni, a turyści już wyjmują komóreczki i dawaj dzwonić do TOPR-u z prośbą o ratunek, przy czym ratunek ma polegać na oświetleniu im drogi. I to są sytuacje, w których my dostajemy szału - przyznają ratownicy - bo to jest dokładnie tak, jakby ktoś, komu uciekł w nocy autobus, zadzwonił na pogotowie ratunkowe z żądaniem odstawienia go do domu z racji tego, że jest ciemno, zimno i żona się niepokoi" - pisze Beata Sabała-Zielińska. I dalej cytuje ratowników TOPR-u, którzy podzielili turystów na grupy. Ich nazwy mówią same za siebie: roszczeniowy żółtodziób, profesjonalny leń, meteorolodzy telefoniczni, przemądrzali gapie.

Polskie morze też staje się coraz atrakcyjniejsze zimą. Tu zostają spacery, zwiedzanie, relaks w nadmorskich SPA.

Ci, którzy tęsknią za słońcem, wyjeżdżają dalej. Jak mówią właściciele biur podróży, na liście zimowych hitów czy miejsc najchętniej odwiedzanych przez Polaków w styczniu i lutym są Egipt, Wyspy Kanaryjskie, Malta, Cypr.

Marta, mama nastoletniej Elizy, zawsze szuka cenowych „perełek" i zimą, w czasie ferii jest ich całkiem sporo. Obie z córką uwielbiają zimowe wyjazdy tam, gdzie ciepło i bez śniegu.

- To nie musi być wyjazd na dwa tygodnie, zazwyczaj lecimy gdzieś na tydzień. Tak ostatnio byłyśmy w Egipcie, a wcześniej na Teneryfie. Wracamy z takich wyjazdów naładowane słońcem i dobrą energią - tłumaczy.

Nie wszystkich jednak stać nawet na tygodniowy wyjazd w góry, nad morze czy za granicę. Dlatego w każdej właściwie miejscowości na czas ferii zimowych kina, teatry, ośrodki i domy kultury przygotowały dla młodych ludzi spektakle, warsztaty czy spotkania z ciekawymi gośćmi. Otwarte są lodowiska, baseny, hale sportowe. Wiele szkół decyduje się na organizację półkolonii, chociaż tu o miejsce trzeba zawalczyć dużo wcześniej.

Anna, 44 lata, księgowa, matka dwóch córek w wieku szkolnym.

- Nie wyjeżdżam z córkami na ferie zimowe, ale na rozszerzony weekend w ich środku. Biorę dwa dni wolnego, ruszamy w piątek rano, wracamy w poniedziałek po południu. Najczęściej w góry, ale zdarzało nam się jechać nad morze. W pozostałe dni ferii córki chodzą na półkolonie do szkoły, są bardzo zadowolone - opowiada. - Ale mamy też inne pomysły na ten czas. W zeszłym roku jedna z córek pojechała ze swoją szkolną koleżanką do mojej siostry, która mieszka we Wrocławiu, a potem koleżanka zabrała ją do swojej babci na wieś, w ten sposób minęły jej całe ferie - opowiada. Takie koleżeńskie wymiany doskonale się sprawdzają. Druga córka też je przetestowała.

A że zima i śnieg, nawet lepiej. Bo do saneczkowych zjazdów nadają się nawet niewielkie górki, a na nartach biegowych można szusować także po nizinach.

FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO

Wróciły dawno zapomniane atrakcje: kuligi i przejażdżki saniami zaprzężonymi w konie

Zimno już było

Bo umówmy się, takie zimy jak obecna, a nawet dużo, dużo sroższe już się w Polsce zdarzały. Jedną z najbardziej ekstremalnych była ta na przełomie 1928/1929 roku, gdy termometry w Żywcu spadły poniżej minus 40 st. C, a w wielu miejscach notowano jeszcze niższe, nieoficjalne odczyty. Zaspy śnieżne sięgały 2 metrów, komunikacja miejska została sparaliżowana, zdarzały się przerwy w dostawach prądu. Podobnie było na przełomie 1939/1940, gdy w Siedlcach zanotowano rekordowe minus 41 stopni, a mróz utrzymywał się przez ładnych kilka tygodni.

W grudniu 1962 roku „Gazeta Krakowska" donosiła: „Prawdziwy najazd świątecznych gości przeżywają górskie miejscowości wypoczynkowe. Nie obyło się jednak bez trudności i komplikacji. Siarczysty mróz i zaspy śnieżne były przyczyną licznych zakłóceń komunikacyjnych. Wszystko zakończyło się dobrze i w przeddzień świąt nasze wczasowiska rozbrzmiewają wesołym gwarem".

To był jednak zaledwie przedsmak tego, co nastąpiło w całej Polsce po Nowym Roku. Sypnęło tak mocno, że już w noworoczny wieczór ruch na wielu drogach praktycznie ustał. Opóźnienia w dostawach węgla z kopalń do elektrowni zagrażały paraliżem energetycznym.

Polska nie była wyjątkiem. We Francji Boże Narodzenie roku 1962 było najmroźniejsze od 83 lat. W Madrycie termometry wskazywały minus 6 stopni, a w Barcelonie leżało 10 cm śniegu. W USA zima zaatakowała już w połowie grudnia. Nawet Florydę ścisnął kilkunastostopniowy mróz, a plantacje cytrusów znalazły się pod śniegiem. Mandarynki przeznaczone na świąteczny zbiór przymarzły do drzew.

W Polsce taka zima trzymała przez cały styczeń i luty. Na kolei tory pękały od mrozu, rwały się sieci trakcyjne, pługi śnieżne grzęzły w zaspach. Najstarsi kolejarze nie pamiętali takiej zimy.

Zawiadowca z Płaszowa mówił: „Kto tego nie widział, nie uwierzy. Dwa parowozy nie mogły uciągnąć dwóch wagonów. Na mrozie stwardniały smary, koła grzęzły w zaspach". Po dwóch dniach sytuacja została opanowana, to znaczy, że np. pociąg z Berlina spóźnił się 300 minut, a nie 500, jak dwa dni wcześniej, a szczeciński tylko 3 godziny.

Podobne sytuacje powtarzały się w ciągu tej zimy kilkakrotnie. Śnieżyce były tak intensywne, że państwowe służby nie dawały sobie rady. Do akcji wkraczało więc społeczeństwo. „Na front zimy" rzucano nie tylko załogi zakładów pracy, ale też uczniów, studentów i zwykłych mieszkańców.

W 1978 roku, czyli 16 lat wcześniej, znowu z odsieczą przybyło pospolite ruszenie. Ówczesna prasa przedstawiała to oczywiście jako solidarny zryw ludzi pracy. W rzeczywistości stojąca już na skraju zapaści „dziesiąta gospodarka świata" nie była w stanie poradzić sobie z żywiołem. Ludzie musieli sami złapać za szufle, bo inaczej po prostu nie dałoby się żyć.

Prasa donosiła, że w całym kraju „trwa wytężona batalia o przywrócenie normalnego rytmu życia". Efekty tej batalii nie były jednak imponujące, bo choć mrozy dokuczały dużo mniej niż w roku 1963, to jednak i tym razem nad cały kraj co kilka czy kilkanaście dni nadciągały fale śnieżyc, o czym dobitnie świadczyły choćby same tytuły z gazet: „Znowu opady śniegu", „Rekordowe opady śniegu", „Zima ponowiła atak", „A zima nie chce ustąpić".

Zadowolona była jedynie młodzież szkolna. „GK" informowała: „Zakłócenia w komunikacji kolejowej i drogowej spowodowały podjęcie przez ministra oświaty i wychowania decyzji o wstrzymaniu powrotu młodzieży przebywającej na zimowiskach. W Nowosądeckiem na przedłużonych feriach pozostało ponad 1300 dziewcząt i chłopców z różnych stron kraju. Ich wyjazd będzie możliwy dopiero za kilka dni, gdy skutki kolejnego ataku zimy zostaną przezwyciężone".

MOŻNA NAWET POWIEDZIEĆ, ŻE W NASZYM KLIMACIE MNIEJSZE LUB WIĘKSZE ZIMY STULECIA ZDARZAJĄ SIĘ CO KILKA LUB KILKANAŚCIE LAT

Kiedy w marcu przyszedł czas na podsumowania, zauważono przytomnie, że zima 1978/1979 była wprawdzie nieco chłodniejsza i dużo bardziej śnieżna, zwłaszcza na północy Polski, niż zimy poprzednie, jednak szczególnie się nie wyróżniła. Przypomniano zimę 1928/1929, uważaną za najchłodniejszą w XX wieku, i wojenną zimę 1939/1940. Również po roku 1980 mrozy i śnieżyce bynajmniej nie odeszły do historii. Do surowych należały zimy 1984/1985 i 1995/1996.

Można więc powiedzieć, że w naszym klimacie mniejsze lub większe zimy stulecia zdarzają się co kilka lub kilkanaście lat.

Cieszmy się białym śniegiem

W tym roku najgorzej było chyba 30 grudnia. Tego dnia, na wysokości Rychnowa w woj. warmińsko-mazurskim, trasę S7 zablokowały w obu kierunkach tiry, które nie mogły podjechać pod wzniesienia. Ludzie utknęli w kilometrowych korkach. W portalach społecznościowych pisali, że nie mogą skorzystać z toalet, nie mają co jeść i pić. Niektórym kończy się paliwo. Policja i służby drogowe stworzyły korytarz życia, którym samochody osobowe mogły z obu stron dotrzeć do Ostródy. Tam, w Urzędzie Miasta, przygotowano dla kierowców i pasażerów posiłki, pomieszczenia, w których mogli odpocząć. Tym, którzy zostali w swoich autach, policjanci dowozili ciepłą herbatę.

Mniej więcej w tym samym czasie wieś Dylewko koło Ostródy została odcięta od świata. Spadło tam około 50 cm śniegu, wiatr tworzył miejscami metrowe zaspy. We wsi nie ma sklepu, najbliższy punkt z zakupami jest oddalony o dwa kilometry.

- Sytuacja poprawia się, ale wciąż jest poważna. Słyszałem, że ktoś próbował iść do tego sklepu na piechotę. Do Dylewka dojeżdżał też mężczyzna sprzedający pieczywo, nikt go tutaj nie widział od poniedziałku. Ludzie jedzą jeszcze to, co zostało ze świąt, mają zamrożony chleb - mówił w mediach jeden z mieszkańców miejscowości.

Inny przyznał, że nie wychodził z domu przez trzy dni, ale w końcu musiał się przekopać i jechać odebrać siostrę ze szpitala.

Mieszkańcy Dylewka porównywali obecną zimę do lat 60. i 70., ale przyznawali: wtedy zaspy bywały jeszcze wyższe. Nie narzekali.

Bo nie ma co narzekać, trzeba cieszyć się białym śniegiem. Nie wiadomo, ile spadnie go za rok. W dzielnicy, w której mieszkam, za łopaty chwytają nie tylko gospodarze osiedli, ale i właściciele domów jednorodzinnych. Agata pomaga mamie, która prowadzi mały osiedlowy sklep. Razem z mężem odśnieżają podwórko i chodnik przed posesją. Obok biega dwóch małych chłopców, to synowie Agaty.

- Antoś nie wchodź w zaspy, bo śnieg wpadnie ci do butów - to Agata.

- Mamo, mamo! Śnieg! - woła malec i kładzie się w zaspie. Za chwilę dołącza do niego brat. Tarzają się w białym puchu, biją śnieżkami, ślizgają na butach.

Agata macha ręką. Dzieciaki takiej zimy jeszcze nie przeżyły, więc niech szaleją!

eprasa.pl 7b340cc89a

Reporterskie podróże Jacka Pałkiewicza

PODRÓŻ W DUCHU JACKA LONDONA

Jedną z największych przygód mojego życia przeżyłem 37 lat w Jakucji, kierując wyprawą na biegun zimna, gdzie niegdyś zanotowano najniższą temperaturę (-71,2°C). Pokonanie problemów biurokratycznych i uzyskanie zgody do samodzielnego poruszania się po terytorium ZSSR w ostatnich dniach jego egzystencji, wymagało nie lada zachodu. Przedsięwzięcie było niezwykle trudne na etapie organizacyjnym, a potem, z każdym dniem, było już tylko trudniej i trudniej. Znalezienie reniferów, uszycie odzieży, jaką noszą w tundrze autochtoni, zakup map topograficznych, nawiązanie współpracy naukowej, oraz dziesiątki innych spraw związanych z przygotowaniem pionierskiej wyprawy, to wszystko pochłonęło ponad rok czasu. Ziemia tragiczna i tajemnicza, na której niepodzielnie króluje ekstremalny klimat, surowa przyroda, piętno Archipelagu Gułag, ale także i przestrzenie, malownicza tajga i wolność dziewiczej ziemi, tajgi i tundry w objęciach polarnego zimna, gdzie łatwiej jest spotkać wilka i niedźwiedzia niż istotę ludzką.

Jacek Pałkiewicz, dziennikarz, utytułowany podróżnik i odkrywca. www.palkiewicz.com

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Jakuck-Ojmiakon w 30 dni w surowym środowisku

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Uroczysty start w Jakucku

REKLAMA 0011460131

4 Design Days 2026 – dekada rozmów o architekturze i przyszłości miast

W dniach 22–23 stycznia 2026 r. Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach ponownie stanie się stolicą polskiej architektury, designu i debaty o jakości przestrzeni. Jubileuszowa, 10. edycja 4 Design Days będzie nie tylko okazją do świętowania dekady istnienia wydarzenia, ale także momentem podsumowania zmian, jakie zaszły w podejściu do projektowania miast, budynków i wnętrz od pierwszej edycji w 2016 roku. Przez dziesięć lat 4DD konsekwentnie budowało przestrzeń dialogu pomiędzy architektami, projektantami, inwestorami, samorządowcami i przedstawicielami biznesu – środowiskami, które realnie wpływają na wygląd i funkcjonowanie naszych miast.

Goście specjalni i merytoryczne wyzwania

Tegoroczną odsłonę wydarzenia uświetnią dwie międzynarodowe osobowości świata architektury. Do Katowic przyjedzie David Sim – szkocki architekt i urbanista, autor głośnej książki „Soft City" („Miasto życzliwe"), uznawanej za jedną z najważniejszych publikacji ostatnich lat poświęconych projektowaniu miast przyjaznych człowiekowi. Sim od lat przekonuje, że dobra architektura zaczyna się od skali człowieka, relacji społecznych i jakości codziennych doświadczeń użytkowników przestrzeni.

Drugim gościem specjalnym będzie Jonas Norsted, współzałożyciel norweskiej pracowni Atelier Oslo, znanej z realizacji opartych na adaptacji i przekształcaniu istniejących budynków. W jego dorobku znajdują się m.in. nagradzana Biblioteka Deichmana w Oslo czy przebudowy ważnych obiektów publicznych. Norsted w swoich wystąpieniach często podkreśla, że przyszłość architektury leży nie w burzeniu, lecz w mądrym przetwarzaniu tego, co już istnieje.

Obaj architekci wezmą udział w kluczowych debatach poświęconych jakości przestrzeni, odpowiedzialnemu projektowaniu i wyzwaniom, przed jakimi stoi współczesne miasto.

Program skupiony na realnych problemach

Program jubileuszowej edycji skoncentruje się na najbardziej aktualnych tematach branży: zrównoważonym budownictwie, kryzysie klimatycznym, odpowiedzialności społecznej projektantów, innowacjach technologicznych oraz nowych kierunkach w architekturze i projektowaniu wnętrz. Dyskusje będą dotyczyć m.in. tego, jak projektować budynki odporne na zmiany klimatu, jak tworzyć przestrzenie dostępne dla różnych grup użytkowników oraz jak łączyć estetykę z funkcjonalnością.

Wśród potwierdzonych prelegentów znaleźli się czołowi polscy twórcy i eksperci, m.in. Tomasz Konior, Robert Konieczny, Przemo Łukasik, Agnieszka Kalinowska-Sołtys, a także przedstawiciele świata biznesu, administracji i rynku nieruchomości. Łącznie program obejmuje już ponad 100 nazwisk z różnych obszarów branży.

Wieczór najlepszej architektury

Integralnym elementem 4 Design Days będzie finał konkursu Property Design Awards. 22 stycznia o godz. 19.00 odbędzie się uroczysta Gala, podczas której poznamy laureatów nagród w kategoriach architektonicznych i wnętrzarskich oraz zdobywców specjalnych tytułów dekady, podsumowujących ostatnie dziesięć lat polskiej architektury. Drugiego dnia wydarzenia wręczone zostaną także nagrody w konkursie Dobry Design, promującym projekty łączące estetykę, funkcjonalność i odpowiedzialność środowiskową.

W ramach wydarzenia zaplanowano również Property Forum: Pomysł na Miasto – spotkanie poświęcone kierunkom rozwoju polskich miast, w którym udział wezmą deweloperzy, samorządowcy, urbaniści i eksperci rynku nieruchomości. Dyskusje dotyczyć będą m.in. transformacji terenów poprzemysłowych, jakości przestrzeni publicznych oraz roli inwestycji w budowaniu atrakcyjnych i funkcjonalnych metropolii.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days potwierdza, że Katowice na początku roku ponownie staną się miejscem ważnych rozmów o przyszłości przestrzeni, w której żyjemy i pracujemy. Rejestracja uczestników trwa na stronie organizatora.

eprasa.pl 7b340cc89a

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Krótka przerwa w podróży

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Na mecie pionierskiej wyprawy

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Poranny zbiór renów

FOT. JACEK PAŁKIEWICZ

Otwarcie szlaku w głębokim śniegu

REKLAMA 0011461217

Wybieramy najpiękniejsze zdjęcia miast w dobroczynnym konkursie „Świeć się z Energą". Głosujcie i pomagajcie, to już ostatnie dni!

Miejscowości w całej Polsce wciąż są rozświetlone i pełne blasku. Możecie je podziwiać także w naszej świątecznej galerii fotografii i głosować. Bo w konkursie „Świeć się z Energą" nie chodzi tylko o piękne iluminacje. Chodzi o coś znacznie ważniejszego - o rodziny, seniorów, dzieci... O potrzebujących, którzy dzięki Waszemu zaangażowaniu już wkrótce mogą otrzymać wsparcie.

Każdy głos ma znaczenie, każdy głos to szansa dla miasta na wygraną w dobroczynnym plebiscycie. Wasze zaangażowanie może odmienić codzienność wielu osób, które znalazły się w trudnej sytuacji. Pokażcie, że lokalna społeczność to ogromna siła i do 21 stycznia codziennie oddajcie na stronie internetowej naszego dziennika 10 bezpłatnych głosów. Mobilizujcie rodzinę, zachęcajcie do tego znajomych, koniecznie udostępniajcie plebiscytowe posty w mediach społecznościowych!

Dwa etapy konkursu z wyjątkowymi nagrodami

Do wojewódzkiego etapu konkursu trafi 16 miejscowości, a każda z nich otrzyma od Energi nagrodę o wartości 10 tys. zł na zakup sprzętu AGD: lodówek, pralek, zmywarek, blenderów... Ten zaś zasili miejsca, w których jest najbardziej potrzebny - trafi do domów pomocy społecznej, placówek edukacyjnych i opiekuńczych, a także do osób zmagających się z codziennymi wyzwaniami. Zwycięskie samorządy zdecydują, gdzie dokładnie popłynie ta pomoc.

W kolejnej odsłonie - już w wielkim finale - miasta będą się ubiegały o tytuł Świetlnej Stolicy Polski. A stawka jest naprawdę wysoka: to dodatkowe 50 tys. zł wsparcia dla mieszkańców i lokalnych instytucji!

„Świeć się z Energą". Razem możemy więcej

Od lat włączamy w tę akcję całe miasta - od największych po najmniejsze. Wspólnie budujemy więzi, wzmacniamy poczucie wspólnoty i przypominamy, że w świątecznym i noworocznym czasie szczególnie warto być razem.

- Przez ponad 15 lat przekazaliśmy już pomoc o wartości ponad 2 milionów złotych. To piękna, wspólna energia. I bardzo konkretna dobroczynność. Jako Energa i Fundacja Energa robimy oczywiście dużo więcej, bo Energa włącza dobroczynność i prospołeczne działania przez cały rok - mówi Magdalena Marszałkowska, dyrektor Departamentu Marketingu Energi SA.

Świeć się

Energa | GRUPA ORLEN

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

– Pokrywa śnieżna to świetna sprawa dla przyrody, wód gruntowych i uwilgotnienia gleby. Ale najważniejsze pytanie brzmi: kiedy i jak będzie topniał, bo od tego zależy zarówno ryzyko roztopów, jak i wiosenny zapas wody – mówi klimatolog Rafał Maszewski

Anita Czupryn

RAFAŁ MASZEWSKI: WYŻ ROSYJSKO-SKANDYNAWSKI MOŻE NAS JESZCZE TEJ ZIMY MOCNO ZMROZIĆ

Mamy zimę jak za dawnych lat, czy jednak coś ją odróżnia od dawniejszych zim?
Meteorologiczna zima zaczęła się w grudniu, a grudzień był miesiącem cieplejszym od normy. Ochłodziło się dopiero pod koniec miesiąca, w trzeciej dekadzie; zima przyszła w święta i po świętach. Generalnie przez większą część grudnia nie było za bardzo zimowo, było dość ciepło. Teraz mamy mróz, miejscami sporo śniegu. To nie jest na razie żadna zima stulecia. Temperatura jest co prawda poniżej normy wieloletniej z okresu 1991-2020, zarówno w III dekadzie grudnia, jak i dotychczas w styczniu. Niektóre doby przyniosły temperaturę nawet 8-10 stopni poniżej normy. To wyraźna ujemna anomalia, która w tym naszym już cieplejszym klimacie nie zdarza się często. Zobaczymy, co będzie dalej, bo dopiero zbliżamy się do połowy zimy, a druga połowa jeszcze przed nami. Jeżeli ta druga część okaże się bardzo ciepła, to ta dotychczasowa zima pójdzie trochę w zapomnienie, ale na razie poczekajmy. Jesteśmy też przed statystycznie najzimniejszym okresem roku, czyli III dekadą stycznia i początkiem lutego; wtedy średnio przypadają najniższe temperatury. Zobaczymy, jak będzie w tym roku, ale obecnie skłaniam się do dominacji przynajmniej do końca stycznia bardziej mroźnej zimy, do której przyczyni się wyż rosyjsko-skandynawski.

Media ogłaszają, że temperatury dochodzą do nawet minus 20 stopni i to nie w górach, tylko na nizinach, na Warmii, na Pomorzu. Jak pan jako klimatolog patrzy na takie komunikaty? To sensacja czy ważny sygnał?
Sensacja na pewno to nie jest. Gdyby to był październik albo kwiecień, to pewnie byłaby. Ale jest styczeń i temperatury rzędu kilkunastu stopni mrozu, nawet minus 20, w naszym klimacie, mimo że jest on cieplejszy, mogą się jak najbardziej zdarzać. Co kilka lat takie wartości mogą się pojawiać. Nawet minus 30 może się pojawić. W 2006 roku mieliśmy w Toruniu minus 32 stopnie, więc nie zdziwiłbym się, gdyby znów pojawiły się zbliżone wartości.

Ale to było jednak dwadzieścia lat temu.
To całkiem niedawno, patrząc na klimat. Wtedy też już się ocieplało, może nie w tak agresywnej formie jak teraz, ale jednak. Na pewno to jest anomalia, czyli temperatury poniżej normy, tej średniej z lat 1991-2020. Ale nie ma powodu robić z tego sensacji: jest styczeń, zima. Śnieg nawet 20-30 centymetrów i temperatura minus 15, minus 20 na nizinach są możliwe i po prostu się zdarzają. Coraz rzadziej, to prawda, ale się zdarzają. My też się odzwyczailiśmy, bo od 2013 roku praktycznie większość zim była bardzo ciepła. Jakieś ataki mrozu się pojawiały, ale rzadko. I dlatego trudno nam to dziś przyjąć jako normalność.

Ostatnie zimy były bez śniegu, prawda?
Tak. W niektórych sezonach śniegu prawie nie było. W sezonie zimowym 2019/2020 w wielu miejscach Polski zachodniej/południowo-zachodniej nie pojawił się nawet jeden centymetr. Teraz miejscami na Warmii, Mazurach i wschodnim Pomorzu mamy 30-50 centymetrów śniegu, są zamiecie i zawieje śnieżne. To przypomina takie minizimy stulecia, jak je kiedyś pamiętamy. Ale to nadal nie jest wielka sensacja; u nas to jest możliwe. Jeśli ktoś uwierzył niektórym politykom czy komukolwiek innemu, że zim już nie będzie, że śniegu już nie będzie, a rosnące palmy to kwestia niedalekiej przyszłości, to teraz widzi, że to nieprawda. Prawdą jest, że mroźnych i śnieżnych zim jest coraz mniej.

Skąd ta zima się wzięła? Co było jej silnikiem: wyże, niże, napływy powietrza? I czy nie upraszczamy, mówiąc po prostu: nadeszła zima?
W naszym kraju główny czynnik to cyrkulacja atmosferyczna. W chłodnym okresie roku ona ma największy wpływ, bo tak jesteśmy położeni. W zimie, gdy wieje z południa czy z zachodu, zwykle mamy wyższe temperatury, takie bardziej jak w Wielkiej Brytanii. Natomiast gdy powieje z północy albo ze wschodu, to w tym chłodnym okresie, od listopada do marca, bardzo często pojawia się mróz, śnieg i zima w klasycznym wymiarze. Większość poprzednich zim charakteryzowała się cyrkulacją zachodnią: niże znad Atlantyku atakowały Europę, nasuwały się nad Skandynawię i Europę Środkową, a z zachodu i południowego zachodu kierowały do nas stosunkowo ciepłe, wilgotne masy powietrza polarnego, a nawet zwrotnikowego znad Atlantyku. Zimne powietrze było blokowane daleko na północy, nad Azją, nie miało szans się u nas zadomowić, bo Atlantyk był aktywny, wir polarny silny. Dodatkowo, co istotne, nie było wyżu, który zatrzymałby te niże, wyżu nad Skandynawią czy nad Rosją. A takie wyże często przynoszą mroźne masy powietrza. Moje badania nad cyrkulacją atmosferyczną wskazują, że w okresie zimy słabnie mroźna cyrkulacja wschodnia, a wzmacnia się łagodna termicznie zachodnia. W tym roku jest inaczej i tej zimy jest inaczej, bo pojawia się wyż rosyjsko-skandynawski i może on nas jeszcze tej zimy mocno zmrozić... „Atlantyk" jest spokojniejszy. Na północno-wschodnim Oceanie Atlantyckim częściej rozbudowują się wyże, czyli tam, gdzie o tej porze roku najczęściej powinny być niże. Nawet jeśli znad Atlantyku przebiją się w naszym kierunku niże, to są one blokowane przez wspomniany wyż na wschodzie Europy. Cyrkulacja jest w 2025 i na początku 2026 r. nieco inna, preferująca niższe temperatury. Zresztą rok 2025 był inny pod względem pogody. Był chłodniejszy od 2024 roku, który z kolei był rekordowo ciepły. Mimo to rok 2025 i tak był cieplejszy od normy...

CORAZ RZADZIEJ ZDARZAJĄ ŚNIEŻNE ZIMY. MY TEŻ SIĘ ODZWYCZAILIŚMY, BO OD 2013 ROKU PRAKTYCZNIE WIĘKSZOŚĆ ZIM BYŁA BARDZO CIEPŁA

Czytałam, że klimatolodzy mówią tu o blokadzie, czyli pogodzie, która stoi w miejscu.
O blokadzie możemy mówić właśnie na Atlantyku i okresami na wschodzie Europy. Ten wyże blokują niże, które kiedyś sunęły nad Europę, przynosząc ciepło i deszcz. Taka blokada wyżowa bywa długotrwała. I wtedy zależnie od tego, po której stronie układu jesteśmy, możemy znaleźć się w cieplejszym albo chłodniejszym powietrzu. Zresztą nie tylko u nas się ochłodziło. To są sytuacje, które zdarzają się co kilka/kilkanaście lat: lata, kiedy...

... kiedy Polska znalazła się po właściwej stronie tego układu?
Można tak powiedzieć, chociaż każdy ma subiektywne odczucia i preferuje ciepłe atlantyckie zimy lub bardziej skandynawskie. W tym roku niże znad Atlantyku trudniej do nas dochodzą, stąd ciepłego powietrza jest mniej. Na najbliższe kilka dni cieplejsze powietrze może się pojawić, przynajmniej do piątku/soboty, bo niż z zachodu trochę się zbliży i je do nas skieruje. Ale cały czas podkreślam: ta zima przebiega przy innej cyrkulacji. W prognozach długoterminowych nadal umacnia się wyż nad Rosją i nad Skandynawią. Zobaczymy, co z tego wyniknie, ale jest coraz bardziej prawdopodobne, że najmroźniejszy okres zimy jest jeszcze przed nami.

To zawsze taki moment, kiedy trudno wytłumaczyć czytelnikom, którzy mówią: „No dobrze, a gdzie to ocieplenie, skoro mamy mróz?".
Po pierwsze: wiele osób, czasem celowo, a czasem z niewiedzy, myli pogodę z klimatem.

Jak wytłumaczyć różnicę między pogodą a klimatem?
Kiedy rozmawiamy o tej zimie, mówimy o pogodzie: w tym sezonie częściej napływa zimne powietrze, więc dominuje bardziej zimowy typ aury. Wyjątek, jak wcześniej wspomniałem, stanowiły dwie pierwsze dekady grudnia. Pogoda to chwilowy stan atmosfery: jest ciepło, pada, jest burza, słońce, mróz; to tu i teraz. Natomiast klimat, czyli warunki klimatyczne, to uśrednione warunki pogodowe w długim czasie. Najczęściej przyjmuje się co najmniej 30 lat, a im dłuższa perspektywa, tym lepiej: 100 czy 120 lat daje jeszcze pełniejszy obraz. Jeśli spojrzymy na ostatnie trzydzieści zim, zobaczymy wyraźnie, że średnia temperatura rośnie, śniegu jest coraz mniej i ten trend się nie zatrzymuje. Owszem, co kilka, kilkanaście lat trafiają się zimy mroźniejsze: można wskazać 2001 rok, potem 2006, 2010, 2011, 2012, a wcześniej 1995 i 1996. Tyle że zim ciepłych jest dziś dużo więcej niż chłodnych. Ta zima może się okazać chłodniejsza, ale wciąż nie mamy pewności, jak będzie wyglądała jej druga część, a zwłaszcza luty.

eprasa.pl 7b340cc89a

FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

Rafał Maszewski: Gdy napływa zimne powietrze z północy, sprzyja to obfitszym opadom śniegu na północy Polski, bo cieplejsza woda oznacza większe parowanie

Kiedy klimat się ociepla, rośnie prawdopodobieństwo ekstremów pogodowych. Czy tę zimę też można uznać za takie ekstremum, może rzadsze, ale mocniejsze?
Zgadza się. Ocieplenie zwiększa prawdopodobieństwo różnych ekstremalnych zdarzeń pogodowych. Zmienia się pole temperatury, w Arktyce jest mniej lodu, maleje różnica temperatur, między obszarami zwrotnikowymi a polarnymi, a prąd strumieniowy zwalnia i bardziej meandruje, wygina się w jednym miejscu daleko na południe, a w innym na północ, spychając zimne powietrze na południe, a wpychając ciepłe do Arktyki. To dzieje się coraz częściej i w ocieplającym się świecie nie jest niczym nadzwyczajnym, choć bywa trudne do zrozumienia: że podczas ocieplenia klimatu w miejscach, gdzie nie spodziewamy się mroźnej i śnieżnej zimy, taka się pojawia. Natomiast to, co mamy teraz, wygląda na normalny epizod zimowy. Na razie nie ma tu nic szczególnie nadzwyczajnego. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden element: wody Bałtyku są cieplejsze niż dawniej. Gdy napływa zimne powietrze z północy, sprzyja to obfitszym opadom śniegu na północy Polski, bo cieplejsza woda oznacza większe parowanie.

O Bałtyk jeszcze zapytam, ale najpierw: co dobrego robi dla nas śnieg i mróz? Zacznijmy od śniegu. Pamiętam rozmowę z panem wiosną, gdy susza była wiązana m.in. z brakiem pokrywy śnieżnej. Czy ten dzisiejszy śnieg może być magazynem wody na wiosnę? I czy może przy szybkich odwilżach stać się zagrożeniem powodziowym?
Pokrywa śnieżna w naszym klimacie to świetna sprawa dla przyrody, wód gruntowych i uwilgotnienia gleby. Śnieg, topniejąc spokojnie, nawadnia glebę, szczególnie dobrze, jeśli grunt nie jest mocno przemarznięty. Obecnie miejscami ziemia jest mocniej zamarznięta, miejscami, tam gdzie dłużej leży śnieg, znacznie mniej i to w tych miejscach gleba i wody gruntowe najwięcej zyskają. Jest też ważna dla ozimin i roślin: już około 10 centymetrów śniegu skutecznie chroni przed wymarzaniem.

Czyli śnieg działa jak kołdra?
Tak. To zamarznięta woda, a pomiędzy płatkami śniegu mamy też powietrze, więc izoluje i ogranicza wymrożenia. Gleba przemarza słabiej, a wtedy może wsiąknąć więcej wody z roztopów. Istotne pytanie brzmi jednak, jak i kiedy ten śnieg będzie topniał. Jeśli stopnieje szybko za tydzień czy dwa i wszystko zdąży spłynąć do końca lutego, efekt magazynu będzie mniejszy. Wody gruntowe trochę przybędzie, ale najlepiej byłoby, gdyby topnienie rozłożyło się tak, by wilgoć została na marzec i kwiecień. Nie wiemy też, czy pojawi się powódź roztopowa, której dawno nie było, ponieważ do tego potrzeba skorelowania kilku czynników.

Czyli dziś liczy się nie tylko to, ile spadnie śniegu, ale i jak stopnieje?
Dokładnie. Jeśli śnieg zacznie topnieć przy wysokiej temperaturze i opadach deszczu, bez nocnych przymrozków, wzrosty stanów wód mogą być znaczne. Jeśli jednak topnienie będzie dzienne, a nocą wrócą przymrozki, przy słonecznej pogodzie i bez większych opadów, proces będzie spokojniejszy, rozłożony w czasie. Może być też tak, że będzie kilka krótkotrwałych odwilży przeplatanych okresami mrozu, wówczas spływ wód roztopowych będzie rozłożony w czasie. Zwróciłbym też uwagę na zjawiska lodowe na rzekach, już dość zaawansowane, zwłaszcza w dorzeczu Wisły, ale miejscami także na dolnej Odrze. Przy roztopach, gdy rzeka jest zalodzona, dochodzi ryzyko zatorów i powodzi zatorowych, zarówno przy tworzenie się zlodzenia, jak i podczas jego zaniku. W cieplejszych zimach te problemy często w ogóle się nie pojawiały. Jeśli teraz na kilka dni zrobi się cieplej, potem wróci mróz i znów dopada śniegu, sporo wody zgromadzi się w zlewniach rzek. Luty i marzec mogą być pod tym względem różne. Na razie jednak w rzekach mamy bardzo mało wody, dominują stany niskie, więc jest gdzie tę wodę przyjąć. Stany wysokie pojawiają się, ale głównie z powodu tworzenia się pokrywy lodowej i blokowania przepływu przez lód. Zdecydowanie za wcześnie, by mówić o ewentualnej powodzi i jej skali.

Słyszę też takie przekonania: „Mróz wymrozi wirusy", „Wymrozi komary", „Będzie mniej szkodników". Czy dłuższy mróz i śnieg naprawdę pomagają ograniczyć szkodniki?
Nie jestem wirusologiem, ale ogólnie wiadomo, że wirusy dobrze czują się w niskiej temperaturze, więc mróz nie stanowi dla nich problemu, a nawet może sprzyjać. Co innego bakterie: one w mrozie mają trudniej. Z komarami to też nie działa tak prosto. Gdybyśmy mieli zimę naprawdę potężną, nietypową jak na nasze warunki, z bardzo silnymi, długimi mrozami, wtedy można by oczekiwać większego ograniczenia m.in. liczebności owadów. Ale przy normalnej zimie, a zwłaszcza gdy jest śnieg, on w znacznym stopniu chroni wszelkie formy życia. Proszę pamiętać: na Syberii komarów i innych owadów jest mnóstwo, a jakie tam są temperatury! Przyroda potrafi się do takich przeciętnych, jak obecnie, warunków przystosować. Przyroda jest do takich warunków przygotowana; większe zaskoczenie te warunki stanowią dla kierowców. Zwierzęta mogą mieć trudniej, ale nie dzieje się nic spektakularnego, co pozwalałoby powiedzieć, że masowo zmniejszyło ich liczebność. Zobaczymy jednak co przyniesie dalsza część zimy, bo może ona się jeszcze zaostrzyć.

Chciałabym wrócić do tego, co dzieje się na Pomorzu, nad Bałtykiem, bo najstarsi rybacy mówią, że takiej zimy nie pamiętają. Co musiało się wydarzyć nad morzem, żeby sypało tak konkretnie, żeby były zamiecie i śnieżyce właśnie w Pomorskiem?
Potrzebny jest dość specyficzny układ wyżów i niżów nad europejskim obszarem synoptycznym. Najlepiej, gdy centrum niżu ustabilizuje się na północny wschód od Polski, w rejonie Litwy, Łotwy, Estonii, zachodniej Rosji , a jednocześnie wyż rozlokowany jest na Atlantyku u zachodnich wybrzeży Europy. Wtedy z północy, praktycznie prosto z Arktyki, spływa do nas zimne powietrze, które „przelatuje" nad stosunkowo „ciepłymi" wodami Bałtyku, pobiera parę wodną, która skraplając się, zwłaszcza podczas początkowej fazy przepływu nad zimnym lądem, powoduje silne opady śniegu pochodzenia konwekcyjnego na północy Polski. Zimne powietrze napływające nad cieplejszą wodę sprawia, że wilgotne powietrze gwałtownie się unosi, woda intensywnie paruje, tworzą się chmury i opad. Ten proces potrafi się jeszcze wzmocnić, gdy chmury i wilgotne powietrze wślizguje się nad lokalne wzniesienia na Pomorzu czy na Warmii : powietrze zaczyna się tam silniej unosić i zwiększa się skraplanie pary wodnej - czasem w takiej sytuacji pojawiają się nawet burze śnieżne. Można powiedzieć, że spada nam na głowę woda, która wcześniej odparowała z Bałtyku. To trochę przypomina sytuacje znane z rejonu Morza Śródziemnego: gdy zimne powietrze napływa nad rozgrzane wody, powstają głębokie układy niżowe, które potrafią przynieść bardzo intensywne opady i powodzie. Również w rejonie Wielkich Jezior w Stanach Zjednoczonych mamy tzw. efekt jeziora, podobny jak na polskim Wybrzeżu

A czy temperatura wody w Bałtyku i obecność lodu wpływają na przebieg zimy w pasie nadmorskim?
Tak. Z jednej strony: im cieplejsza woda zimą, tym przy napływie mroźnego powietrza opady śniegu mogą być potężniejsze. Gdy woda jest chłodniejsza, potencjał do tak intensywnych opadów jest nieco mniejszy. Z drugiej strony Bałtyk w chłodnej porze roku zwykle działa na wybrzeże ocieplająco; nad morzem rzadziej utrzymują się ujemne temperatury, a mrozy nie są tak silne jak np. na Pomorzu.

Wyobraźmy sobie Polskę za dwadzieścia-trzydzieści lat. Za czym będziemy tęsknić? Za śniegiem? Czy bardziej za stabilną pogodą?
Jeśli trendy się utrzymają, a modele to sugerują, podobnie jak moje badania cyrkulacji atmosferycznej: zimą pewnie będziemy tęsknić za śniegiem, za nartami, za malowniczym przymrozkiem, za normalną zimą. Już dziś bywa, że tęsknimy za śniegiem w święta albo podczas ferii, w tym roku mniej, ale w poprzednich latach bardzo często. A od wiosny do jesieni, coraz częściej możemy tęsknić za wodą, za opadami. Susza może nas dotykać częściej i być jeszcze bardziej dotkliwa niż współcześnie. I jeszcze jedno: jeśli fale upałów będą dłuższe i bardziej intensywne, to będziemy też tęsknić za chłodniejszymi latami np. takimi jak ubiegłoroczne, kiedy dni upalnych było wyraźnie mniej. Czyli możliwe, że nasze tęsknoty się rozdzielą: zimą za śniegiem, a w ciepłej połowie roku za deszczem, burzą i temperaturą bardziej sprzyjającą, w okolicach 20-25 stopni. Jeśli oczywiście te trendy zmian w pogodzie się utrzymają i np. nie ulegnie zaburzeniu cyrkulacja prądów morskich w północnej części Oceanu Atlantyckiego.

CV

FOT. AUTOR

Dr Rafał Maszewski
Klimatolog. Autor i pomysłodawca czasopisma elektronicznego pogodawtoruniu.pl, gdzie można przeczytać analizy dotyczące pogody w całej Polsce. Absolwent geografii (specjalizacja klimat i ochrona klimatu) na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Popularyzuje naukę o pogodzie i klimacie w mediach.

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

Skąd nazwa Cobi? Robert Podleś, pomysłodawca i twórca firmy, mówi, że odpowiadał na to pytanie wielokrotnie i... za każdym razem odpowiedź jest inna. – A prawda jest taka, że to nic nie znaczy – przyznaje z rozbrajającą szczerością

Andrzej Pięs

JAK POLSKIE COBI NIE DAŁO SIĘ DUŃSKIEMU LEGO I ZAWOJOWAŁO ŚWIAT

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Firma od połowy lat 90. ub. wieku działa w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Mielcu

Nazwa miała być krótka, łatwa do zapamiętania, miała brzmieć dobrze i mile dla ucha. - I taka jest. Wcześniej nazywaliśmy się Ertrob, anagram imienia Robert - nazwa za trudna, zbyt twarda. Rok po zmianie nazwy okazało się, że maskotką olimpiady w Hiszpanii będzie stwór o imieniu Cobi, ale to my byliśmy pierwsi - zaznacza Robert Podleś.

Burzliwa droga od flipperów do klocków

Wujek prowadził warsztat samochodowy, specjalizował się w naprawie trabantów. Nawet w schyłkowym PRL władza na „prywatną inicjatywę" patrzyła kusym wzrokiem, ale niespełna dwudziestoletni Robert z początkiem lat 80. wymarzył sobie, że też będzie prowadził warsztat samochodowy, bo życiowej „małej stabilizacji" na etacie sobie nie wyobrażał.

Zaczął do wycieczek kolejowych: nocą wsiadał w Kutnie do pociągu, który z Budapesztu zmierzał do Warszawy, tu skupował od podróżnych to, co nabyli w relatywnie bogatej wówczas Hungarii, z niedostępnym w Polsce towarem pędził do budek na warszawskim bazarze, gdzie towar zostawiał, a po wszystkim - do szkoły, z lekkim zazwyczaj spóźnieniem. To wciąż było za mało, by skompletować kapitał na wymarzony warsztat samochodowy, więc ruszył „na saksy" do Szwecji. Za zarobione tu pieniądze kupił na miejscu swój pierwszy automat do gier zręcznościowych, ledwie za 5-10 proc. jego pierwotnej wartości. To był absolutny impuls, tego w planach nie było. Rozłożył mocno wysłużony i zdezelowany sprzęt, zapakował do równie mocno wysłużonego i zdezelowanego „malucha", którym przyjechał, wrócił do Polski, tu reanimował, potem kupował kolejne, które też poddawał technicznemu zmartwychwstaniu. Skompletował takich tuzin - część pracowała dla niego w lokalach, reszta zarabiała na siebie w barakowozie, który też kupił. Interes nie bez formalnych komplikacji.

- Wtedy, w 1982, nie można było prowadzić takiego biznesu jako przedsiębiorca - tłumaczy. - Można było go mieć, ale nie prowadzić, więc zapisałem się do Stołecznej Estrady. W ten sposób w wieku lat 21 zostałem rejestrowanym artystą i agentem artystycznym i jako taki mogłem prowadzić salon gier zręcznościowych. Władza takiego biznesu szczególnie nie kochała, bo to prawie hazard, w dodatku brzydko pachnący wrażym imperialistycznym Las Vegas.

- Mimo wszystko to były dla mnie dobre czasy, bo jako agent Stołecznej Estrady płaciłem tylko 6 procent podatku, żadnego VAT, żadnej składki zdrowotnej i tym podobnych - mówi dziś Robert Podleś.

Kilka lat „żarło", ale z końcem lat 80. obliczył, że - by zrobić z tego „small biznes" naprawdę duży biznes - musiałby zarządzać setkami takich automatów do gier. W kraju, w którym nie było w sklepach niczego, produkcja - wydawało mu się - dawała nieograniczone możliwości. Zaczął drukować gry planszowe i puzzle. Sprzedaż takiego asortymentu była czystą rozkoszą: pakował gotowy produkt w ledwo zipiącą nyskę „na pych", bo rozrusznik nie działał, jechał na targi, „szło jak woda". Sklepy też przyjmowały, ile mogły. Za to produkcja była koszmarem - już zdobycie kartonu było wyzwaniem. I z takim interesem wkroczył z ery gospodarki socjalistycznej w dziki kapitalizm. I to z przytupem, bo jego planszówka „Komandosi", stworzona do spółki z kolegą z ławki szkolnej, zdobyła tytuł „Gry roku 1990" w plebiscycie organizowanym przez tygodnik „Razem" i młodzieżowy „Świat Młodych". Pomogli Terminator (Schwarzenegger) w duecie z Rambo (Stallone) na pudełku, bo wręcz wpychali grę do rąk klientów. Dziś kolekcjonerzy płacą za nią na platformach sprzedażowych ponad 320 zł. „Komandosi" byli tematem pierwszej bodaj reklamy w Telewizji Polskiej. Ledwie trzy emisje, ale jak na tv, która dysponowała wtedy dwoma programami, to i tak był sukces.

Narodziny Cobi i próby eutanazji przez „gang Olsena"

Zaczynał osiadać w branży zabawkarskiej, wybrał się nawet na zabawkarskie targi do Hongkongu, i tam zobaczył dziecięcy raj: zabawki firm zachodnich z całego świata, bo dotychczas oglądał na ogół te enerdowskie. Nawiązał kontakty, wszedł w przedstawicielstwo firm zachodnich na kraje Europy Wschodniej, w końcu uznał, że czas iść na swoje. Do spółki z przyjacielem zarejestrowali firmę Cobi, od razu z myślą o produkcji klocków konstrukcyjnych, więc kupili nieco maszyn produkcyjnych. Produkowali „na Polskę", trochę na wschód, na rynki zachodnie nie mieli jeszcze wstępu, ale i tak dostrzegł ich duński gigant tej branży.

- Zaczęło się nękanie, także pozwami o stosowanie nieuczciwej konkurencji, które trwało lat kilkanaście - wspomina pan Robert. - Żądali od nas nie tylko zaprzestania produkcji, ale zniszczenia stanów magazynowych, oprzyrządowania i maszyn. Siedzieliśmy po uszy w kredytach, bo stale byliśmy w procesie inwestycji, więc w konfrontacji z takim przeciwnikiem było się czego obawiać.

A już zaczęli się rozpychać na rynkach pozakrajowych, co

eprasa.pl 7b340cc89a

FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Robert Podleś: Składając nasze klocki, każdy może dotknąć historii. Nasze zestawy nawiązują do takich wydarzeń historycznych, jak bitwa pod Monte Cassino, bitwa pod Stalingradem czy bitwa pod Grunwaldem

tylko zwielokrotniło determinację duńskiej firmy. W efekcie z licznych procesów, jakie konkurent im wytoczył przed sądami w wielu krajach, przegrali tylko jeden: na Węgrzech.

- Pewnie dziełem przypadku jest, że w dniu, kiedy ogłoszono tam niekorzystny dla nas werdykt, węgierskie media podały triumfalnie, że duński producent klocków konstrukcyjnych zainwestuje w ich kraju miliony dolarów - wspomina Robert Podleś.

Za to z satysfakcją wspomina to, co stało się przed sądem szwedzkim. Dziewięcioosobowy skład sędziowski poświęcił na rozpatrzenie tego sporu cały dzień, co już było ewenementem. Tego dnia na sali sądowej pojawiła się ok. 70-osobowa delegacja strony duńskiej firmy, w tym dwie dziesiątki adwokatów. Przylecieli dwoma samolotami, zainstalowali się na kilka dni w najlepszych hotelach Sztokholmu, tymczasem sąd uświadomił stronom, że ta przegrana będzie musiała zapłacić wygranej koszty udziału w procesie. Wystarczy, żeby przed prezesem Podlesiem nogi ugięły się pod ciężarem finansowych skutków przegranej. A to był tylko kolejny kłopot w serii.

- My mieliśmy problemy ze znalezieniem prawnika, dziewięć na dziesięć szwedzkich kancelarii prawnych nie mogło się podjąć reprezentowania nas, bo w wielu innych sprawach obsługiwała naszych przeciwników procesowych - tłumaczy. - W końcu trafiliśmy na prawnika, który przyjął naszą sprawę wręcz entuzjastycznie. Też się zdziwiliśmy, ale wyjaśnił, że nasz duński konkurent niegdyś zagroził wytoczeniu jemu i jego rodzinie sprawy sądowej z żądaniem, że mają zmienić nazwisko. A pan mecenas Lego udowodnił, że jego i jego przodków nazwisko pochodzi z czasów, kiedy duńskiej firmy jeszcze „nie było na świecie". Chyba jakaś zadra w nim została, bo przyjmując naszą sprawę, ucieszył się, że będzie miał okazje raz jeszcze im „dołożyć". I „dołożył", bo wygraliśmy, choć z naszej strony na sali sądowej było nas włącznie z mecenasem Lego trzech, a po drugiej stronie około 70 osób. I wygraliśmy.

Pamięta inny proces, też wygrany, i w dodatku wiedzą techniczną. Sąd mocno zagłębił się w sprawy techniczne dotyczące także budowy klocków.

- Z moim wykształcenie bez trudu byłem w stanie udowodnić, że klocki konstrukcyjne muszą mieć odpowiednie parametry, budowę, przekroje, żeby spełniały swoją rolę, a twierdzenie, że można to robić inaczej, zostało w sądzie obalone. Prawnicy drugiej strony nie mieli pojęcia o zabawkach, konstrukcji klocków - ograniczali się do twierdzeń, że nasze to nieuczciwa konkurencja i podróbka. Druga strona na takie ujęcie problemu kompletnie nie była przygotowana.

I dodaje, że klocki konstrukcyjne wymyślił Brytyjczyk Hillary Page dla swojej firmy Kiddicraft, opatentował je w 1947 roku na Anglię, Francję i Szwajcarię, ale nie na Danię, więc tutejsza, jeszcze mała firma zabawkarska skopiowała pomysł, opatentowała na Danię, uznając, że kwestia własności intelektualnej w branży zabawkarskiej nie jest traktowana przesadnie poważnie.

Klocek po klocku budujemy historię i... inżynierów

Potężnym podmuchem w żagle firmy była „Small Army": samoloty, czołgi, okręty, wozy bojowe, artyleria, wojskowe wozy transportowe, nawet okręty żaglowe, jak Victory. Duńska konkurencja unikała tematyki wojennej, ograniczając się co najwyżej do kopiowania futurystycznych środków transportu ze „Star Wars". Dla sympatyków klocków konstrukcyjnych Small Army stała się prawdziwym rarytasem, pomysł podchwycili pasjonaci.

- Nasz slogan reklamowy mówi: „Buduj historię klocek po klocku" - przypomina Robert Podleś. - Składając nasze klocki, każdy może dotknąć historii. Nasze zestawy nawiązują do takich wydarzeń, jak bitwa pod Monte Cassino, bitwa pod Stalingradem, D - Day, bitwa pod Grunwaldem i wiele innych historycznych wydarzeń. Nasze zestawy są w zasadzie dla trzech pokoleń: dla dzieci, ich rodziców i dziadków. Składając dany model, na przykład czołgu, dziecko zaczyna interesować się celem jego powstania, jego przeznaczeniem, okresem wykorzystania, wydarzeniem historycznym, w którym odegrał szczególnie istotną rolę, zaczyna szukać informacji, kontekstów dziejowych. To zupełnie inny i chyba bardziej efektywny sposób przyswajania wiedzy niż podczas, może czasem nudnej, lekcji historii w szkole.

Z NASZEJ STRONY NA SALI SĄDOWEJ BYŁO NAS WŁĄCZNIE Z MECENASEM LEGO TRZECH, PO DRUGIEJ STRONIE OKOŁO 70 OSÓB. I WYGRALIŚMY

Podkreśla, że propozycja firmy nie tylko buduje zainteresowanie historią, ale też „produkuje" przyszłych inżynierów.

- Wymusza aktywność wyobraźni, rozumienie trójwymiarowości, patrzenie na obiekt z perspektywy klocka, ale widzenie całości, na które pojedyncze klocki się składają, szukanie korelacji konstrukcyjnych pomiędzy nimi - analizuje. - To czasem niełatwe: nasz model czołgu Tiger to 11 tysięcy klocków. Tego nie da się złożyć w dzień, dwa - na to trzeba tygodnia, a niektórzy mówią, że dwóch.

Historyczny kontekst chwycił rynkowo. Wkrótce pojawiła się seria o kultowych samochodach, można rozszerzyć swoją kolekcję „wszystkiego, co lata" o modele statków powietrznych, produkowanych w PZL Mielec. Obiekty specjalne dla firmy, która swój dział konstrukcyjny, planistyczny, magazyny i dystrybucję i oczywiście całą produkcję osadziła w połowie lat dziewięćdziesiątych w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Mielcu.

- Byliśmy podajże dwunastą firmą, która zdecydowała się skorzystać z propozycji mieleckiej SSE - przypomina sobie założyciel firmy.

Dziś zabawkarsko-edukacyjna oferta mieleckiej firmy ma niezliczonych sympatyków, szczególnie aktywnych w Cobi Funs na Instagramie i Mecie, komentujących tematycznie podcasterów. Prezes Podleś podkreśla, że to niewyczerpalne źródło pomysłów, kreatywności, ale też najlepsza kontrola jakości.

- Szczególnie ci z zacięciem historycznym potrafią wyłapać w modelu mikrodetal, który być może nie zgadza się z oryginałem - wspomina. - A prezentujemy wersje przedprodukcyjne, czekając na ich uwagi, bo mamy jeszcze czas, aby je poprawić. I jesteśmy im za to wdzięczni. Jak i tym, którzy podpowiadają nam, jakich serii oczekują, jakich modeli, toczą między sobą dyskusję.

Nie miej ważne dla planowania przyszłości i projektowania kolejnych serii jest umiejętność wyczuwania, podbudowana rozpoznaniem, „na co zanosi się" w branży na Zachodzie.

Wciąż jest na trasie

Mimo dominacji w tej branży marek o rozpoznawalności globalnej, mielecka firma zdobywa kolejne przyczółki na świecie.

- Naszym największym odbiorcą są rynki amerykański i niemiecki, nie zawsze w tej kolejności - zastrzega Robert Podleś. - Mocno tkwimy na rynku norweskim, istniejemy na brytyjskim, francuskim, czeskim, wiele eksportujemy do państw azjatyckich, głównie do Chin, a i w Afryce można nas znaleźć. W sumie ponad 80 procent produkcji eksportujemy.

Był pomysł, aby część swojej produkcji zainstalować w USA, by mocniej wejść w tamten rynek. Zgasł nie tak dawno między innymi ze względu na politycznie kreowane perturbacje na amerykańskim rynku i niemal wszechmoc tamtejszych związków zawodowych - koszmar każdego inwestora spoza USA. Prezes opowiada, jak to podczas uczestnictwa w targach za wielką wodą nie wolno im było na własnym stoisku wkręcić żarówki, bo to praca zastrzeżona przez związki dla tamtejszych pracowników - 50 USD, bo „człowiekowi z zewnątrz" nie wolno wejść na drabinę w celach zawodowych. Przetransportowanie palety wózkiem widłowym - 170 USD, jakby nikt z polskiej obsługi polskiego stoiska nie mógł tego zrobić. Biznes nie lubi przewlekłych w czasie procesów decyzyjnych, toteż firma właśnie zainwestowała w kolejne przestrzenie produkcyjnie w mieleckiej strefie ekonomicznej.

Prezes Podleś przyznaje, że działa w chimerycznej, szarpiącej nerwy, bardzo zależnej od mody, ale jednocześnie ekscytującej branży.

- Mieliśmy kilka takich serii, które były bardzo popularne i nagle, jak ręką odjął, przestały się sprzedawać - wspomina. - Frustrujące jest, że musimy emitować krótkie serie, bo zainteresowanie rynku daną serią szybko gaśnie - on oczekuje wciąż nowych i nowych.

Pytany, czy zdobywszy już tyle wciąż czuje głód biznesowego sukcesu, sam pyta: co to jest sukces? Bo jeśli chodzi o rozwój i ekspansję firmy, to...

- Tak, wciąż jestem głodny, jeszcze nawet podwieczorka nie zjadłem - przyznaje. - Nie czuję zmęczenia. Bo wie pan, ja kiedyś biegałem w ultramaratonach, zmęczenie przychodzi dopiero w nocy, po wszystkim. Kiedy biegnie się 30 godzin, to nie czuje się zmęczenia, bo adrenalina napędza i w głowie kręci się motorek, że trzeba osiągnąć cel. A ja biznesowo cały czas jestem na trasie.

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

– Największą dźwignią zmiany w firmie są zasady. Jeśli ustalimy, że po godzinach nie ma e-maili, albo że spotkanie nie może się odbyć bez celu i agendy, zmienia się planowanie dnia, odpowiedzialność i komfort pracy. Zasady mogą wspierać ludzi, albo ich „zużywać" – mówi psycholożka i liderka HR Iwona Krasoń-Forkasiewicz

Anita Czupryn

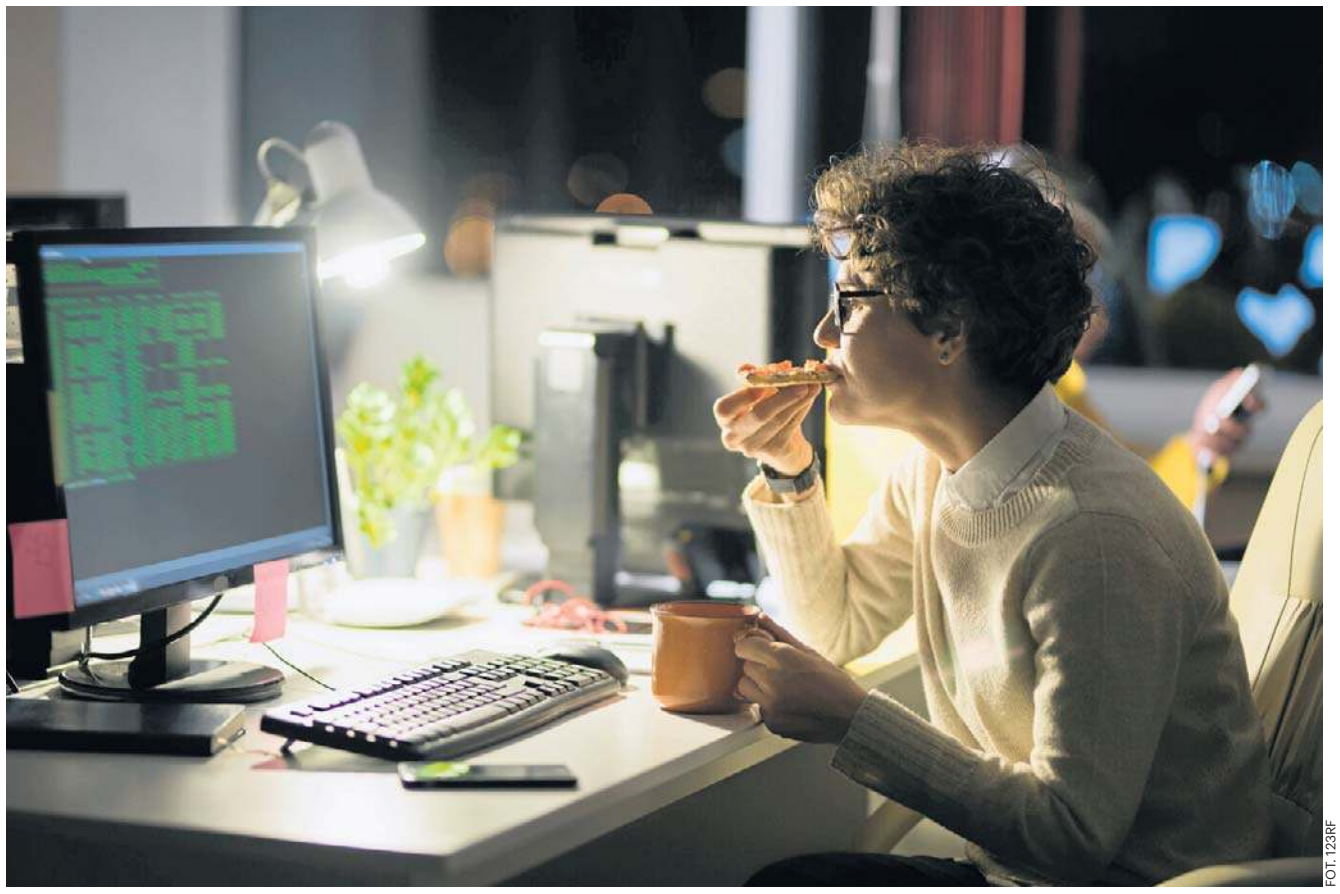

FOT. 123RF

Iwona Krasoń-Forkasiewicz: Chodzi o takie tempo, które nie niszczy poczucia sensu tego, co robimy

IWONA KRASOŃ-FORKASIEWICZ: JAK PRACOWAĆ, ABY SIĘ NIE WYPALIĆ

Mam przed sobą pani książkę „Slow work. Jak pracować mniej i mądrzej" i chciałam zapytać, co to dla pani znaczy slow work?
Kiedy zaczęłam się temu przyglądać, nie znalazłam jednej, konkretnej definicji, takiej, która jasno by porządkowała, czym jest slow work. Mam też poczucie, że w pewnym sensie sama ukułam tę nazwę, bo byłam zafascynowana ideą slow life, czyli bardziej świadomego życia. Potem zobaczyłam, że określenie slow work też funkcjonuje i pewnie mogłabym przywołać tu kilka różnych definicji. Ale ta, która jest mi najbliższa, to podejście do siebie w pracy z miłością i szacunkiem. Za tym kryje się wiele elementów, bo żeby w ogóle mieć do siebie miłość i szacunek, trzeba mieć świadomość tego, co mi służy, a co nie, jakie mam zasoby, co jest dla mnie ważne. Dopiero wtedy mogę podejmować decyzje, które są dla mnie dobre. Tak bym to ujęła: to podejście do siebie w pracy z miłością i szacunkiem. Czasem spotykam się z określeniem, że to wolna praca.

Niektórym może się kojarzyć z włoskim strajkiem, czyli że wszystko robimy wolno.
Tak, powoli pracuję, czyli siedzę z kawą, natchniona… I faktycznie, docierają do mnie też takie skojarzenia. I jasne, może się zdarzyć, że pracujemy wolniej, ale nie do końca o to chodzi. Chodzi o takie tempo, które nie niszczy naszego zdrowia, nie niszczy ważnych dla nas relacji i nie niszczy poczucia sensu tego, co robimy. Tempo, które mieści się w naszym życiu, a nie wypiera nasze życie. Praca jest częścią naszego życia, ale nie jest fundamentem, nie jest jedyną rzeczą w naszym życiu. Warto też podkreślić, że taki sposób pracy skupia się na efektywności dzięki priorytetom i na jakości, bo wybieramy to, co naprawdę istotne.

Jak to się zaczyna? Po czym się poznaje, że już się przekroczyło granice i stało się pracoholikiem?
Zaczyna się zazwyczaj bardzo łagodnie. Najpierw zostajemy dłużej w pracy, z myślą: „To tylko chwilowo, muszę to dokończyć, bo deadline, bo projekt…". I tak powoli granice się przesuwają. W pewnym momencie praca przestaje być tylko obowiązkiem - staje się też sposobem regulowania emocji. Daje ulgę, pomaga opanować napięcie, czasem wypełnia poczucie pustki, które czujemy w innych sferach życia. Stopniowo zaczyna się coś, co można nazwać uzależnieniem od samego bycia w pracy. Człowiek zaczyna czuć, że tylko tam - przy zadaniach, projektach, obowiązkach - jest w porządku, że tylko wtedy jego emocje są „w normie", albo że wtedy czuje się ważny. Granica między życiem zawodowym a prywatnym zaczyna zanikać. Praca przestaje być narzędziem, a staje się sposobem na funkcjonowanie, na poczucie sensu czy bezpieczeństwa. I nie jest to kwestia braku silnej woli, tylko mechanizmu, który może nas wciągnąć, jeśli nie mamy świadomości, co się dzieje.

Zdarza się, że po rozwodzie albo po tym, jak umiera partner czy partnerka, ludzie rzucają się w pracę. Bo wtedy przychodzi ulga, a praca daje też poczucie wartości?
Tak, praca może przynosić chwilową ulgę, odwracać uwagę od straty i zapewniać poczucie sprawczości oraz wartości. Choć tego typu doświadczenia najlepiej przepracować. Zaniżone poczucie własnej wartości sprzyja również nadmiernemu inwestowaniu w sferę zawodową. Wartość własna bywa wtedy budowana głównie w oparciu o efektywność, realizację celów i zewnętrzne oceny. Tożsamość zawodowa zaczyna pełnić funkcję kompensacyjną: stanowisko, osiągnięcia i status stają się podstawą poczucia „bycia kimś". Dobrze ilustruje to przykład osoby przechodzącej na emeryturę (znany mi z życia), która wraz z zakończeniem aktywności zawodowej traci codzienną strukturę, rytm dnia oraz istotne źródło sensu. W przypadku braku alternatywnych ról, zainteresowań czy pasji, taka zmiana może prowadzić do dezorganizacji funkcjonowania i zwiększać ryzyko rozwoju objawów depresyjnych, wymagających interwencji terapeutycznej.

Mnie zdarzało się dzwonić do bliskiej osoby i słyszeć w słuchawce tylko: „Oddzwonię do ciebie, teraz nie mam czasu". I tak przez całe lata: „Nie mogę teraz rozmawiać, oddzwonię". A potem mnie samej się to przydarzyło. Dlatego poruszyła mnie scena, o której pisze pani we wprowadzeniu do książki: kiedy przyjechał do pani tata, a pani siedziała nad raportami i nie miała dla niego czasu. Kiedy nastąpił ten moment, że zorientowała się pani, że nie było warto siedzieć nad raportami tylko pójść z tatą do kina? I czy dzisiaj czuje pani żal, czy sobie przebaczyła?
Jeśli dobrze pamiętam, było to około 14 lat temu. I od tamtego momentu zaczyna się cała moja droga: od pracoholizmu i wypalenia do slow work, czyli do wspierania ludzi w bardziej świadomej pracy. W każdym razie wtedy, w tamtym czasie, nie czułam, że to jest coś złego.

Praca była dla pani nadrzędna, była wartością?
Dokładnie. Pyta mnie pani, czy mam żal, czy sobie przebaczyłam i nie mam tu łatwej odpowiedzi. Chyba żadnej z tych emocji nie czuję. Raczej czuję smutek. Smutek, kiedy myślę o tamtej sytuacji, i smutek do siebie z tamtego okresu. Mój tata już nie żyje, a był taką ciepłą, dobrą i mądrą osobą. To wspomnienie dziś akceptuję: było bolesne, ale bardzo cenne, bo nadało mi priorytety. I teraz, kiedy czasem mam tak, że praca mnie ciągnie i mogłabym jeszcze w niej być, ale ktoś mnie gdzieś zaprasza albo potrzebują mnie moje dzieci, to wybieram relację, nie pracę po godzinach czy w wolne dni. Ta sytuacja stała się dla mnie drogowskazem. Nie da się wszystkiego cofnąć. Ale to mi też uświadomiło, że czasu z bliskimi nie mamy na zawsze.

Co to znaczy, kiedy oddajemy się pracy, że ona nas pochłania? Czym ona dla nas jest albo czym się staje w naszej drodze ku pracoholizmowi?
Można powiedzieć, że praca jest nadrzędna. Może dawać poczucie wartości i pewną iluzję kontroli. Może stać się odpowiedzią na pytanie „Kim ja jestem". Zaczynamy definiować siebie wyłącznie poprzez pracę, a to jest już niebezpieczne. Jest takie amerykańskie powiedzenie, żeby nie wkładać wszystkich piłek do jednego kosza. Dla naszego szczęścia i dobrostanu praca jest ważna, ale tak samo istotne są relacje, czas po pracy, hobby i zainteresowania. W długoletnim badaniu na Uniwersytecie Harvarda obserwowano 456 chłopców, a potem mężczyzn, przyglądając się źródłom szczęścia. Jednym z kluczowych wniosków było to, że relacje odpowiadają za satysfakcję i poczucie szczęścia z życia. Praca może być istotna, ale nie może nas zdominować tak, że

eprasa.pl 7b340cc89a

tracimy ogląd innych obszarów. I jeszcze jedna ważna rzecz: doświadczenia ostatnich lat, jak pandemia, pokazały, że jeśli wszystkie zasoby skupimy w jednym miejscu - np. w jednej pracy - i nagle tracimy to źródło dochodu, jesteśmy w trudnej sytuacji. Dlatego warto mieć plan B, drugą nogę, coś, co daje poczucie bezpieczeństwa i odporności w niepewności.

Chciałabym wrócić do tego momentu, kiedy człowiek zaczyna zauważać, że chyba w tym swoim pracoholizmie poszedł za daleko. Jakie są te pierwsze sygnały? Świadomość, że przez rok nie miało się ani jednego weekendu? Pojawiające się zmęczenie? Albo, że człowiek staje się cyniczny, obojętnieje na inne rzeczy?
Myślę, że pierwsze objawy są raczej niewinne; to takie wczesne sygnały ostrzegawcze. Cynizm to już bardziej zaawansowane stadium. Na początku to bywa psychiczne i emocjonalne wciągnięcie: ciągle myślimy o pracy po godzinach, w weekendy; nie jesteśmy obecni w życiu poza pracą. Pojawia się poczucie winy, kiedy nie pracujemy albo odpoczywamy, bo wydaje się nam, że powinniśmy pracować. Może pojawić się rozdrażnienie, kiedy nie mamy dostępu do telefonu czy e-maila. I jeszcze coś: zaczynamy uzależniać własną wartość od wyników pracy. Zostawanie po godzinach staje się normą, bo wciąż mamy poczucie, że jeszcze coś trzeba zrobić.

Co się wtedy traci? Kiedyś do kina zaprosił mnie mężczyzna, ale zamiast oglądać film, cały czas sprawdzał komórkę i nadchodzące wiadomości, bo coś się działo w jego firmie i musiał to kontrolować. Pomyślałam: jaki biedny człowiek, nie umie się wyluzować.
Dokładnie. I nie zauważał pani, bo myślami cały czas był w pracy. A jeśli pyta mnie pani, co ja straciłam, to myślę, że straciłam obecność - obecność w życiu poza pracą. Część tej obecności utraciłam: nieustannie byłam myślami w pracy, a swoim zachowaniem sygnalizowałam, że „jeszcze coś trzeba", że coś jest ważniejsze niż osoby i zadania, które były wówczas w moim życiu.

W książce pisze pani także o poczuciu bycia niezastąpioną, o tym, że „Ta firma beze mnie nie istnieje". Oczywiście wiemy, że to złudzenie, ale u pani moment ciąży pokazał, że jednak da się pani zastąpić. Czy to było bolesne, że firma sobie radzi bez pani?
Tak, to mnie zabolało. I potrząsnęło mną. Miałam poczucie, że daję z siebie tak dużo i że jestem właśnie niezastąpiona. Ten moment uświadomił mi, że jestem zastępowana i że swojej wartości nie mogę budować tylko na tej jednej roli.

Wśród ludzi z mojego pokolenia często powtarza się termin, że zostaliśmy wychowani, mówiąc łagodnie, w kulturze zapieprzania. Dziś, zwłaszcza dla pokolenia ZET, brzmi to jak żart, a jednocześnie my wiemy, że to w praktyce bywa przemocowe. Chciałam zapytać o inne przykłady z życia, o sytuacje, które ładnie się nazywa, ale praktyka pokazuje, że to jednak jest przemoc w pracy.
Często przemoc w pracy jest bardzo subtelna, ukryta pod ładnymi nazwami. Myślę, że wciąż dużym wyzwaniem jest konstruktywna komunikacja - feedback zamiast oceniania, krytyka w formie wsparcia, a nie publicznego upokarzania. Mamy też „kulturę wyników", która w praktyce może oznaczać wymuszanie nadgodzin, rywalizację między pracownikami, a czasem sytuacje, w których kogoś 'rzuca się na głęboką wodę'. Przydziela się mu więcej obowiązków niż jest w stanie udźwignąć, zostawia bez wsparcia, a słowa 'dasz sobie radę' w rzeczywistości oznaczają: 'radź sobie sam'. Jeśli po takich doświadczeniach nie jesteśmy w stanie funkcjonować w żadnej innej sferze życia - bo jesteśmy tak wyczerpani, że jedyne, na co nas stać, to paść na kanapę i sięgnąć po wino - to znak, że równowaga została zaburzona. Zdrowa praca powinna zostawiać przestrzeń na życie - na kino, teatr, czas z bliskimi. Chodzi o to, by praca nie pochłaniała całego naszego zwyczajnego życia.

Jako liderka HR, czego dzisiaj już by pani nie zrobiła, a co, pracując w HR i zgodnie z procedurami kiedyś pani wykonywała?
Pracuję w HR od 18 lat i myślę, że procedury nie mogą przykrywać człowieka. Kiedyś ważne były dla mnie procedury i procesy, żeby wszystko sprawnie funkcjonowało. Dzisiaj traktuję je bardziej jako narzędzie, które ma służyć ludziom. Nasze człowieczeństwo jest w cenie i to jest cena, którą warto zapłacić.

Jest jedna taka rzecz, którą można w korporacjach systemowo zmienić, żeby zapobiegać pracoholizmowi i temu, co się z nim wiąże, czyli wypaleniu zawodowemu?
Myślę, że warto przyjrzeć się zasadom, które funkcjonują w firmie, tym formalnym i nieformalnym. Byłam niedawno na konferencji dotyczącej strategii biznesowej i był tam Rami Baitiéh CEO Morrisons. Bardzo trafnie opisał to, jak zwykle myślimy o zmianach w firmach. Powiedział, że często uważamy, iż zmiana kultury organizacyjnej odpowiada za 65 procent realnych zmian, zmiana procesów za 25 procent, a zasady tylko za 10 procent. Jednak wskazał on, że jest zupełnie odwrotnie: największą dźwignią zmian są właśnie zasady. To mnie trochę zasmuciło, bo ja lubię myśleć o kulturze pracy, ale jego pointa była jasna: zasady odpowiadają nawet za 65 procent zmiany. I tu naprawdę można dużo zmienić. Na przykład: jeśli w firmie jasno ustalimy zasadę, że po godzinach pracy nie wysyłamy e-maili ani wiadomości, bardzo szybko zmienia się sposób planowania dnia, odpowiedzialność zespołu, poczucie komfortu pracowników. Albo inny przykład: jeśli ustalimy, że żadne spotkanie nie może się odbyć bez celu, agendy i informacji, jakie materiały trzeba przeczytać wcześniej, to ludzie zaczynają szanować czas i energię. Nie robią dziesięciu tysięcy spotkań, tylko podchodzą do tego inaczej. Warto więc sprawdzać, jakie zasady naprawdę obowiązują w firmie i czy one wspierają pracowników, czy powodują, że, kolokwialnie mówiąc, ludzie się „zużywają".

No właśnie, dość często się słyszy: „U nas panują takie zasady". Ale te zasady tworzą przecież ludzie. To nie jest coś danego odgórnie, tylko coś, co sami ustalamy i kształtujemy. Wróćmy do książki i do tego, jakie było pani zamierzenie? Co ta książka ma dać czytelnikom, jak pani sama to widzi?
Ta książka jest połączeniem nauki z praktyką. Chciałam w niej pokazać drogę, którą sama przeszłam. Zależało mi na realnej pomocy i na tym by przyśpieszyć budowanie świadomości. Nikt nas nie przygotowuje do funkcjonowania w świecie pracy. Firmy mają swoje polityki, zasady, regulacje, a my wchodzimy w ten system bez mapy. Rzadko zastanawiamy się nad tym, co nam służy, a co nie; po co pracujemy, co lubimy, a czego nie lubimy robić. Po prostu zaczynamy pracę i trwamy w niej. Tymczasem praca zajmuje ogromną część naszego życia - zwykle zaczynamy ją po studiach, około 24. roku życia i często pracujemy aż do 60 lub 65. roku życia. To większość naszego dorosłego życia. Dlatego zależało mi na tym, by pokazać, jak nie wypalić się zawodowo i jak sprawić, by praca była nie tylko obowiązkiem, lecz także źródłem sensu i satysfakcji.

Jak tę książkę czytać, żeby nie była kolejnym poradnikiem mówiącym: „Musisz naprawić samą siebie"? Jakie ćwiczenia wskazałaby pani osobom, które są naprawdę przemęczone, wypalone, nie mają siły na wielkie zmiany i od czego mają w ogóle zacząć?
Proponuję, żeby czytać tę książkę powoli, z przerwami, dając sobie czas głównie na ćwiczenia. Oczywiście można ją przejrzeć w jeden wieczór, ale co to zmieni, jeśli tylko przeczytam? Jeśli natomiast naprawdę przerobimy ćwiczenia, zyskamy sporą dawkę samoświadomości. A świadomość daje wybór. To trochę jak w psychoterapii: mamy rzeczy nieuświadomione, które nami kierują. Kiedy wydobywamy je na światło dzienne, zaczynamy podejmować decyzje świadomie. Nawet jeśli czasem wybieramy coś, co nam nie służy, to nadal jest to nasza świadoma decyzja. I o to samo chodzi mi tutaj: żeby nie być wyłącznie w trybie reagowania na to, co dzieje się w pracy, ale zacząć też kreować swoją drogę. Oczywiście nie wszystko da się zmienić. Slow work nie oznacza, że jak zacznę pracować w taki sposób, to ominą mnie trudności i wyzwania. To byłaby fikcja. Trudności i wyzwania będą. Spotkamy ludzi, którzy nam nie pasują, czasem kultura w firmie będzie trudna. Ale kiedy mamy świadomość, co jest dla nas ważne, łatwiej podejmować decyzje, łatwiej stawiać granice, łatwiej rozmawiać z przełożonym. Jeśli miałabym wskazać jedno ćwiczenie dla osoby naprawdę przemęczonej, to: zatrzymać się i odpowiedzieć sobie na pytanie, co mnie teraz najwięcej kosztuje? Czy mam na to wpływ, czy nie mam? Jeśli mam wpływ, to co mogę z tym zrobić? Jaki jeden mały krok mogę wykonać? I jaki on ma być? Nie polecam rzucania się na głęboką wodę. Jeśli ktoś pracuje 10 godzin, to raczej niech nie zaczyna, że od jutra będzie pracował 8 godzin. Może zacznę od tego, że kończę pracę 15 minut wcześniej i przez tydzień próbuję te 15 minut utrzymać. Potem w kolejnym tygodniu dokładam kolejne 15. Krok po kroku. Albo zastanawiam się: czy ja naprawdę muszę robić wszystko sama? Czy mogę coś delegować? Czy mogę porozmawiać z przełożonym o obciążeniu? Czy da się część pracy rozdzielić na inne osoby?

Zwróciłam uwagę na proste kroki, które proponuje pani w książce: żeby zapisać, co nas regeneruje, co nas wypala, co nas wciąga w strefę przetrwania. Jakie dwie-trzy rzeczy najczęściej naprawdę ludzi regenerują, a co jest taką fałszywą regeneracją, bo niby wyjeżdżam na weekend, żeby poczuć luz i odpocząć, ale w praktyce jadę do spa z laptopem?
Może to banał, ale myślę, że warto zwrócić uwagę na sen. Taki prawdziwy: 7-8 godzin porządnego snu. Druga rzecz to relacje, w których czujemy się dobrze; takie, gdzie możemy być sobą, gdzie się śmiejemy, ale też potrafimy porozmawiać głębiej. Nie te relacje, w których się męczymy, udajemy albo robimy coś z powinności. Trzecia rzecz to hobby, coś, co resetuje głowę. Niedawno zaczęłam grać w tenisa i to mi totalnie pomaga: skupiam się na piłeczce tenisowej, nie myślę o niczym innym. No i bycie offline, wyłączanie się. Czasem wystarczy prosty gest: na koniec dnia pracy zamknąć wszystkie okna przeglądarki, te pięćdziesiąt zakładek i wyłączyć komputer. To jest drobiazg, ale działa. Jeśli chodzi o fałszywą regenerację, to myślę, że jest nią scrollowanie social mediów. To często bardziej zabiera energię, niż ją daje: po przeglądaniu bywa, że jesteśmy jeszcze bardziej zmęczeni, przebodźcowani, już nie wiemy, co i jak, bo tych informacji jest za dużo. To jest złudzenie odpoczynku. Dobrym pomysłem jest kontakt z naturą: spacer, park, wyjazd nad morze, ale naprawdę z odłączeniem się od Internetu. Nie mówię o przejściu z dnia na dzień ze 100 procent bycia w online na 0 procent. Raczej o tym, by robić sobie krótkie przerwy, na przykład 30 minut bez powiadomień. Fałszywą regeneracją może być też siedzenie przed telewizorem po pracy. Nie mam nic przeciwko, sama czasem tak robię, ale jeśli to jest chroniczne, codzienne padanie przed ekranem, to w dłuższej perspektywie nie regeneruje. Alkohol i używki również: to bardziej otępienie niż odpoczynek. Nie dają prawdziwej regeneracji.

Wyobraźmy sobie człowieka, który mówi: „Nie mogę zmienić pracy, bo dzięki tej pracy płacę rachunki i kredyt, ale czuję, że ona mnie niszczy". Co wtedy? Czy najlepszym wyjściem jest rzucić pracę i wyjechać w Bieszczady?
Nie uważam, że trzeba podejmować radykalne kroki. Raczej warto zatrzymać się i zastanowić, co konkretnie mnie w tej pracy niszczy. Dobrze jest wypisać to sobie na kartce, a następnie rozróżnić: na co mam wpływ, a na co nie mam. Jeśli na coś mam wpływ, warto zapytać siebie, jaką drobną zmianę mogę wprowadzić już teraz. Druga ważna kwestia jest taka, że zmiany zaczynamy od siebie. Myślenie, że przełożony albo współpracowniczka się zmieni, to jest w dużej mierze myślenie życzeniowe. Nie mamy na to realnego wpływu. Możemy rozmawiać, możemy dawać informację zwrotną, ale najlepiej robić to, odnosząc się do własnych doświadczeń: do tego, jak ja się czuję w tej relacji i czego potrzebuję, a nie poprzez ocenianie drugiej osoby. Jeśli chcemy zmiany, zaczynamy od siebie i bierzemy odpowiedzialność za to, jak funkcjonujemy w pracy i w relacjach zawodowych.

Na koniec chciałam panią zapytać: co dziś robi pani inaczej niż kilka lat temu? Co z pani kalendarza zniknęło? Jakich zasad w pracy pani sama pilnuje, żeby ten slow work naprawdę działał?
Moje dni mają jasno określoną rutynę. Już w niedzielę wieczorem planuję i porządkuję najważniejsze sprawy na cały nadchodzący tydzień. Mam też wypracowane nawyki związane z aktywnością fizyczną i medytacją. Dzięki temu, wchodząc w tydzień pracy, wiem, co jest dla mnie kluczowe i mam jasno określone priorytety. Na koniec dnia robię krótkie podsumowanie: co się udało, co się nie udało, i co będzie najważniejsze następnego dnia. Kieruję się także trzema zasadami. Po pierwsze - zależy mi na tym, by ludzie w kontakcie ze mną czuli się szanowani; to jest dla mnie fundament. Po drugie - jasne priorytety, na których koncentruję się danego dnia i w danym tygodniu. Po trzecie - konsekwencja w realizacji tego, co zaplanowałam. Dodatkowo staram się unikać multitaskingu i nie robić kilku rzeczy jednocześnie. Wolę skupić się na jednym zadaniu i doprowadzić je do końca z pełną uważnością. A jeśli coś nie wyjdzie jednego czy drugiego dnia, nie krytykuję siebie - analizuję sytuację, wyciągam wnioski i wracam do ustalonych założeń. No i odpoczynek - nie możemy traktować go wyłącznie jako nagrody. Urlop i wolne dni są równie ważną częścią pracy i naszego dobrostanu.

CV

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Iwona Krasoń-Forkasiewicz
Psycholożka, certyfikowana coachka, doświadczona liderka w obszarze HR. W styczniu nakładem wydawnictwa RM ukazała się jej książka „Slow work. Jak pracować mniej i mądrzej".

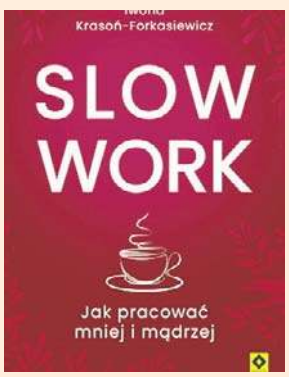

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

BOIMY SIĘ, BO ICH NIE ROZUMIEMY. ZAGLĄDAMY ZA MURY SZPITALA PSYCHIATRYCZNEGO W KOBIERZYNIE

Czym jest choroba psychiczna i jak cienka bywa granica między „normalnością" a załamaniem? Z Krystyną Rożnowską, autorką książki „Można oszaleć", rozmawiamy o miejscu, które przez lata było symbolem wykluczenia, i o ludziach, którzy „więcej czują i więcej cierpią".

Jolanta Tęcza-Ćwierz

FOT. MARCIN BANASIK

Szpital Specjalistyczny im. dr. Józefa Babińskiego w Krakowie - współcześnie

W latach 80. uciekła pani do Kobierzyna przed polityką. A przecież to szpital psychiatryczny. Co sprawiło, że tam się pani znalazła?

Stan wojenny brutalnie przerwał mój dotychczasowy porządek życia. Kiedy się rozpoczął, ogarnął mnie lęk i poczucie odpowiedzialności za rodzinę. Pracowałam wtedy w redakcji „Gazety Krakowskiej", miałam tam ugruntowaną pozycję... i nagle wszystko się zawaliło. Redakcję zamknięto, nikt nie wiedział, co będzie dalej. Baliśmy się wejścia wojsk radzieckich i wojny domowej. Byłam przerażona i zaczęłam się zastanawiać, jak zabezpieczyć przyszłość. Wróciłam wtedy do pomysłu, który wcześniej tylko przelotnie pojawiał się w mojej głowie. Schowałam do szuflady dyplom magistra historii i złożyłam podanie do dwuletniej pomaturalnej szkoły pielęgniarskiej. To były dwa niezwykle trudne lata nauki i praktyk w krakowskich szpitalach, ale dały mi solidne podstawy z psychologii, psychiatrii i całej medycyny. Kiedy wróciłam do Gazety Krakowskiej, pisałam już wyłącznie o tematyce medycznej. Wtedy postanowiłam pojechać do Kobierzyna i z bliska przyjrzeć się życiu pacjentów. Dziś mówię wprost: Kobierzyn był dla mnie formą ucieczki od sytuacji politycznej, która wówczas w Polsce stała się nie do zniesienia.

Jak wtedy wyglądało to miejsce?

Kobierzyn, który zobaczyłam, był miejscem zrujnowanym, smutnym, zaniedbanym i dramatycznie niedoinwestowanym. To był dla mnie wstrząs. Pamiętam przetarte koce, znoszone buty pacjentów, metalowe miski. Chorzy siedzieli stłoczeni przy kaloryferach i jedli - ten obraz do dziś kojarzy mi się bardziej z więzieniem niż z placówką leczniczą. Szczególnie zapadło mi w pamięć pierwsze wejście na oddział męski. Były tam dwa duże pomieszczenia. W jednym spało około trzydziestu mężczyzn, często na siennikach rozłożonych na podłodze. W drugim spędzali całe dnie. Niektórzy przez lata nie wychodzili nawet do parku otaczającego budynek. Byli stale zamknięci. Proszę sobie wyobrazić trzydziestu mężczyzn w różnym wieku, w różnym stanie zdrowia, zmuszonych do nieustannego przebywania w jednym pomieszczeniu. Gdy tylko ktoś otwierał drzwi, natychmiast próbowali mówić, prosić, opowiadać o swoich problemach, nawiązać kontakt z lekarzem, z pielęgniarką, z kimkolwiek. Tymczasem personel zazwyczaj wpadał na chwilę, rozdawał leki i... uciekał, zostawiając ich samych. Kiedy uświadomiłam sobie, jak naprawdę wygląda życie tych ludzi, ogarnęło mnie przerażenie. Tym większe, że w tamtych czasach nie istniały jasno określone terminy pobytu, tak jak dziś. Wielu pacjentów trafiało do Kobierzyna na zawsze i już nigdy go nie opuszczało. Choroba psychiczna była wtedy szczególnie straszna, gdyż mogła oznaczać wyrok dożywotniego zamknięcia, bez perspektyw, bez nadziei na powrót do normalnego życia.

Na czym polegało leczenie i codzienna opieka nad pacjentami?

Leczenie i opieka zależały w ogromnym stopniu od indywidualnych wartości, wrażliwości i morale lekarzy oraz pielęgniarek. Bywało bardzo różnie. Sama byłam wstrząśnięta tym miejscem - nędzą pacjentów i przytłaczającą, ponurą atmosferą. A jednocześnie, paradoksalnie, byłam tymi ludźmi zauroczona. Wielu pacjentów było niezwykle interesujących. Poznałam tam artystę, którego obraz mam do dziś, spotkałam ludzi wykształconych, wrażliwych, kulturalnych. Uderzyło mnie, jak bezlitośnie choroba - całkowicie niezawiniona - strąciła ich do świata bez perspektyw i bez nadziei. Do piekła zamknięcia i zapomnienia. Wtedy zaczęłam pisać cykl artykułów zatytułowany „Można oszaleć". Poznałam tam emerytowaną pielęgniarkę, która przepracowała w tym szpitalu całe zawodowe życie, panią Janinę Srokę, która opowiadała mi o tym, jak Kobierzyn wyglądał przed wojną - jako jeden z najnowocześniejszych szpitali psychiatrycznych w Polsce był znakomicie utrzymany i prowadzony. Nie istniały jeszcze leki psychotropowe, więc opieka nad chorymi była niezwykle wymagająca i opierała się głównie na stałej obecności personelu. W tamtych czasach choroba psychiczna była powodem wstydu. Rodziny ukrywały chorych przed światem, zamykały ich w domach, a czasem wręcz izolowały w stajniach, komórkach czy klatkach - jak zwierzęta. Do Kobierzyna przywożono ludzi w strasznym stanie: wyniszczonych, brudnych, zawszonych. Aby ich uspokoić, nalewano do wanny ciepłej wody i trzymano ich tam godzinami, pilnując bez przerwy. Nie istniały też kaftany bezpieczeństwa. Zdarzało się więc, że chorzy demolowali sale, atakowali personel, wybijali szyby. Dopiero tuż przed wojną wprowadzono pasy - były to mokre prześcieradła, którymi owijano pacjenta niczym mumię i pozostawiano na około dwie godziny, przykrywając go poduszkami, by się nie przeziębił. Czasem prześcieradła posypywano solą.

Szpital w Kobierzynie powstał przed wiekiem. Komu w czasach zaborów, kiedy Polski nie było na mapie i panowała powszechna bieda, przyszedł do głowy pomysł, by zadbać o chorych psychicznie?

Idea budowy Zakładu dla Nerwowo i Umysłowo Chorych w Kobierzynie pod Krakowem narodziła się już w 1903 roku. Zasady funkcjonowania tej placówki opracowali wybitni polscy psychiatrzy: docent Jan Mazurkiewicz, pierwszy dyrektor szpitala, oraz profesor Jan Piltz, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ich wizja opierała się na przekonaniu, że chorzy psychicznie zasługują nie tylko na leczenie, ale również na godne warunki życia, opiekę i szacunek. Szpital miał leczyć nie tylko ciała i umysły, ale również oddziaływać przestrzenią, światłem i otoczeniem. Zakład w Kobierzynie został otwarty po zakończeniu I wojny światowej i przez lata uchodził za jeden z najnowocześniejszych ośrodków psychiatrycznych w Polsce.

Skąd bierze się nasz lęk przed osobami chorymi psychicznie?

Boimy się ich dlatego, że ich nie rozumiemy. Między naszym sposobem myślenia a ich doświadczeniem świata istnieje głęboka przepaść. Chorzy psychicznie są dla nas nieprzewidywalni, a nieprzewidywalność rodzi lęk. Nie potrafimy sobie wyobrazić, że osoba chora może mieć urojenia, że się boi i uważa, że to my jesteśmy dla niej zagrożeniem. Właśnie dlatego jej reakcje wydają nam się irracjonalne i niepokojące. Dopiero z czasem zaczęto oswajać społeczeństwo z tematem chorób psychicznych i tłumaczyć, na czym one polegają, ale nawet dziś nie jest to łatwe do zrozumienia. Zresztą człowiek od zawsze bał się inności. Ten sam mechanizm uruchamia się choćby w stosunku do imigrantów. Czujemy się bezpiecznie wtedy, gdy potrafimy przewidzieć zachowanie drugiego człowieka, gdy w jakimś stopniu znamy jego intencje i sposób myślenia. Tymczasem chorzy psychicznie to ludzie, którzy często przeżywają stany skrajnie intensywne, zwłaszcza w ostrych fazach psychozy. Te emocje widać w ich oczach, mimice, napięciu ciała. Kiedy stajemy naprzeciw kogoś, kto zachowuje się w sposób, który uznajemy za irracjonalny, i nie wiemy, co zrobi za chwilę, pojawia się naturalny lęk.

Pani się nie bała?

Bałam się, zwłaszcza na początku. To był lęk wynikający z nieznajomości tego świata i z własnych wyobrażeń. Ale jednocześnie mam w sobie silną potrzebę przełamywania strachu, mierzenia się z trudnymi sytuacjami, obalania obaw i uprzedzeń. Ta potrzeba okazała się silniejsza niż lęk i pozwoliła mi zostać w tym świecie na dłużej.

eprasa.pl 7b340cc89a

Jak radziła sobie pani z etycznym ciężarem opowiadania o czyimś cierpieniu? Czy zdarzyło się pani poczuć, że upublicznia coś, co powinno pozostać prywatne?
Właściwie nie podawałam nazwisk, nie chciałam ludzi obnażać. Nie interesowało mnie piętnowanie konkretnych osób. Szukałam prawd, które istnieją poza nimi - prawd systemowych, ludzkich, uniwersalnych. Zdarzyło się, że podałam kilka nazwisk, ale były to wyjątki. Pan Jerzy Olszak, malarz, sam chciał, abym o nim napisała. Był niezwykłą postacią, do dziś pamiętam go bardzo wyraźnie. Cierpiał na schizofrenię i spędził w Kobierzynie około dwudziestu lat. Opowiadał mi, że bardzo czekał na żonę. Wyobrażał sobie jej przyjazd. Mówił o tym z takim przekonaniem, że początkowo myślałam, iż żona rzeczywiście go odwiedziła. Dopiero kiedy w opowieści pojawił się samolot, z którego żona wysiadła na terenie szpitala i szła po czerwonym dywanie, zrozumiałam, że to świat jego wyobraźni. Przypomniał mi, jak cienka jest granica między rzeczywistością a urojeniem i jak łatwo można ją przekroczyć.

Kogo jeszcze zapamiętała pani z tamtych lat?
Pamiętam inżyniera Wojtka. Człowieka inteligentnego, impulsywnego, boleśnie wrażliwego na absurd rzeczywistości. Opowiadał o urzędniczkach, które nic nie robiły, o kierowcach nierozliczanych z czasu pracy, o ówczesnym systemie, któremu się sprzeciwiał. Pewnego dnia, doprowadzony do szału wszechobecną biurokracją, spalił całą dokumentację zakładu pracy na oczach brygadzisty. Pamiętam też ludzi, którzy trafiali do Kobierzyna z powodu alkoholizmu, często po latach prób radzenia sobie z życiem w inny sposób. I pamiętam piękną kobietę, tancerkę występującą w nocnych lokalach na Zachodzie. Po powrocie do Polski stała się dla rodziny ciężarem, bez pracy, bez perspektyw, nawet bez prawa do zasiłku. Jej historia była dla mnie jednym z przejmujących przykładów tego, jak szybko człowiek może zostać pozbawiony miejsca w świecie.

Obcując tak blisko z chorymi psychicznie miała pani kiedyś myśl, że sama mogłaby znaleźć się po drugiej stronie bramy szpitala - nie jako reporterka ale pacjentka?
Utwierdziłam się w przekonaniu, że każdy może zachorować psychicznie. Że to nie jest coś, co przydarza się „innym", ale może dotknąć każdego z nas. Właśnie dlatego moja książka nosi tytuł „Można oszaleć", bo naprawdę można. Choćby z nadmiaru wrażeń, przeciążeń, doświadczeń. To spotkanie z Kobierzynem było dla mnie jak odsłonięcie kolejnego fragmentu świata, którego wcześniej nie znałam. Dziś w Kobierzynie się bywa, ale kiedyś to miejsce było zamknięte, owiane tajemnicą, omijane szerokim łukiem. Jeżdżąc tam, poznałam innych ludzi i inny sposób istnienia, i uważam to doświadczenie za głęboko wzbogacające. Oczywiście przeżywałam to wszystko bardzo mocno. Ale bez własnych emocji nie da się napisać nic prawdziwego i wartego czytania. Tekst pisany z dystansu, bez empatii, jest martwy. On musi być przeżyty. Musi dotykać czegoś głębiej odczutego. Zrozumiałam wtedy, że moje emocje mają swoją cenę - są kosztem tej pracy, ale mają też wartość. To one nadają sens temu, co piszę.

FOT. NAC
Orkiestra złożona z pracowników i pacjentów, ok. 1930

FOT. NAC
Wnętrze Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Kobierzynie

FOT. NAC
Wnętrze sypialni oddziału kobiecego, 1927 rok

A dziś uważa pani, że granica między „normalnością" a chorobą psychiczną jest znacznie bardziej płynna i cienka, niż zwykliśmy myśleć?
Człowiek jest istotą niezwykle skomplikowaną. Nie da się go szybko diagnozować, nie można łatwo uogólniać jego zachowań. Bardzo często zaskakuje - także samego siebie. Czy ta granica jest dziś cienka? Zawsze taka była. Różnica polega raczej na tym, że dziś być może bardziej zbliżyliśmy się do jej rozpoznania, do próby zrozumienia, gdzie przebiega. Psychiatria wciąż poznaje człowieka i nadal jest to proces otwarty. Jedno się nie zmieniło: człowiek nie stracił swojej indywidualności. Każdy przypadek jest inny, każda historia osobna. I właśnie ta niepowtarzalność sprawia, że nie da się zamknąć ludzkiego doświadczenia w prostych definicjach ani ostrych granicach.

Czy treści urojeń pacjentów odzwierciedlają świat, w którym żyją?
Nie mam wątpliwości, że tak jest. Dało się to wyraźnie zauważyć w rozmowach z pacjentami. Ich urojenia bardzo często były osadzone w aktualnych wydarzeniach i w świecie, który ich otaczał. Choroba psychiczna jest chorobą duszy, ale nie oznacza całkowitego zerwania z rzeczywistością, to raczej inny sposób jej odbierania, w który wplatają się codzienne doświadczenia, lęki i przeżycia. Było to szczególnie widoczne po wojnie, kiedy do szpitala trafiało wielu ludzi straumatyzowanych wojennymi doświadczeniami. Te przeżycia powracały w ich wyobrażeniach, snach i urojeniach. Podobnie jest i dziś. Żyjemy w niespokojnych czasach i nie mam wątpliwości, że lęk przed wojną jest obecny w głowach wielu ludzi, także tych chorych psychicznie. Wszyscy się boimy, ale osoby chore przeżywają te lęki z dużo większą intensywnością. Bardzo trafnie ujął to Antoni Kępiński w „Schizofrenii": „Tym, którzy więcej czują i inaczej rozumieją i dlatego bardziej cierpią...". To zdanie zostało ze mną na długo, bo oddaje istotę tej szczególnej wrażliwości, która bywa jednocześnie darem i ciężarem nie do udźwignięcia.

Jakie czynniki decydują o tym, że jedni potrafią zmierzyć się z chorobą psychiczną, a inni jej ulegają?
Czynników jest bardzo wiele. To, czy ktoś dotknięty chorobą psychiczną daje się chorobie zawładnąć, czy ją pokonuje, zależy m.in. od indywidualności człowieka, od tego, czy jest z natury samokrytyczny, czy potrafi przyjąć myśl, że coś złego dzieje się z jego psychiką. Pomaga również pewna wiedza medyczna, choćby podstawowa, pozwalająca nazwać to, co się przeżywa. Ogromne znaczenie ma też otoczenie. Jeśli chory ma wokół siebie ludzi, którym ufa, takich, którzy potrafią spokojnie wytłumaczyć, że potrzebne jest leczenie, i jeśli on jest w stanie im uwierzyć, wtedy istnieje szansa, że uda się chorobę oswoić, a nawet pokonać. Problem polega na tym, że w wielu przypadkach choroby psychicznej ten samokrytycyzm po prostu znika. Wtedy urojone widzenie świata przez chorego staje się silniejsze i trudniejsze do zmiany niż realne u osoby zdrowej. Przekonanie chorego bywa absolutne: widzę to, co widzę i nic innego nie istnieje. I właśnie w tym miejscu pojawia się trudność, bo nie sposób zakwestionować odbioru rzeczywistości chorego, ani nawet pojąć.

Pisze pani, że do Kobierzyna ludzie przyjeżdżają po to, by „uporać się z samymi sobą". Co to znaczy?
Znam osobę chorującą na schizofrenię, która miewa nawroty choroby zwykle raz w roku, najczęściej na wiosnę. Wtedy pakuje walizkę, bierze skierowanie od swojego psychiatry i jedzie do Kobierzyna na jakiś czas. Poza tym pracuje, funkcjonuje i żyje normalnie. To przykład kogoś, kto świadomie wybiera pobyt w szpitalu, żeby się leczyć i odzyskać równowagę. Dziś wielu ludzi przyjeżdża do szpitala psychiatrycznego właśnie z taką intencją, by uporać się z samymi sobą, z chorobą, z nawrotem objawów. Dawniej bywało inaczej. Zdarzało się, że do takich miejsc trafiali również ludzie, którzy nie byli chorzy psychicznie, ale z różnych powodów zostali tam umieszczeni. Pamiętam rozmowy z psychiatrami, którzy opowiadali mi, jak walczyli o to, by nie można było każdego zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, by konieczna była zgoda chorego. To nie jest jednak sprawa prosta. Są chorzy, którzy w czasie nawrotu choroby tracą samokrytycyzm, najczęściej wtedy, gdy przestają brać leki, bo uważają, że są już zdrowi. W takich sytuacjach może dojść do tragedii, bo bardzo trudno umieścić ich w szpitalu bez ich zgody. Psychiatrzy coraz częściej stają dziś po stronie pacjentów, reprezentując ich prawa. Uznano bowiem, że zamykanie człowieka w szpitalu psychiatrycznym bez jego zgody jest naruszeniem wolności osobistej. I ten dylemat: gdzie kończy się ochrona, a zaczyna przymus, pozostaje aktualny do dziś.

Nie zaprasza pani do lektury łatwej i przyjemnej. Są w niej opisy hitlerowskiej eksterminacji pacjentów psychiatrycznych, dramatyczne losy ludzi chorych i odrzucanych, ale też momenty nadziei, gdy Kobierzyn przestaje być miejscem izolacji, a staje się nowoczesnym ośrodkiem leczenia. Co chciałaby Pani, aby czytelnik wyniósł z tego kontrastu?
Mam czasem pretensje do samej siebie, że piszę o sprawach smutnych, a nawet tragicznych, że wciąż wracam do szpitala i innych miejsc naznaczonych cierpieniem. Bywałam w Kobierzynie wiele razy; czasem musiałam się do tych wizyt zmuszać, pokonywać własny opór. Pisałam także wywiady z zabójcami, odwiedzałam więzienia - to również nie były łatwe doświadczenia. Nie potrafię do końca powiedzieć, dlaczego to robię. Wydaje mi się jednak, że kieruje mną jakiś rodzaj obowiązku moralnego, choć wiem, że brzmi to może naiwnie. Lubię pisać o tym, co mnie zdumiewa, dziwi, a czasem przeraża. O tym, co zmusza do myślenia i nie daje spokoju. Chciałabym, żeby po lekturze tej książki czytelnicy mieli lepsze wyobrażenie o Kobierzynie, o chorobach psychicznych i o ludziach, których one dotykają. Może to kogoś uwrażliwi, może ułatwi kontakt z osobami chorymi, bo przecież jest ich wokół nas bardzo wielu. Jeśli ta książka choć trochę przyczyni się ich większego zrozumienia i empatii, to uznam, że było warto ją napisać.

NASZA ROZMÓWCZYNI

FOT. ARCHIWUM
Krystyną Rożnowską, krakowska dziennikarka, autorka książki „Można oszaleć"

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

TOMASZ WŁOSOK: KIEDY ODKRYŁEM AKTORSTWO, ODNALAZŁEM SENS ŻYCIA

Nie tak dawno zbierał pochwały za główne role w filmach „Kulej. Dwie strony medalu" czy „Piosenki o miłości". Teraz można go oglądać w kinach jako polskiego Tarzana w przygodowej produkcji „Dziki". Nam Tomasz Włosok opowiada, jak poradził sobie z zagraniem bohatera, który prawie w ogóle nie mówi

Paweł Gzyl

Media nazywają Cię aktorskim kameleonem, bo w każdym filmie odsłaniasz inną twarz. Zgadzasz się z tym określeniem?
Trudno samemu o sobie mówić. To na pewno bardzo miłe. Jeśli tak jest naprawdę, to tylko mogę się cieszyć. Ja po prostu lubię swoją robotę i staram się ją wykonywać jak najlepiej, żeby się potem nie wstydzić.

Teraz oglądamy Cię w filmie „Dziki" o polskim Tarzanie. Takiego bohatera jeszcze nie było w naszym kinie. Dlatego zgodziłeś się go zagrać?
Nie rozpatruję tego w takich kategoriach. To była przede wszystkim świetna postać do zagrania i fantastyczne zadanie aktorskie. Do tego niezwykła przygoda, którą można było przeżyć, choćby przez samo obcowanie z dziką naturą w górach. Generalnie lubię trudne wyzwania. Łatwo mnie zachęcić do pracy, kiedy ktoś przychodzi i mówi: „Stary, będzie skrajnie niewygodnie i ciężko". Wtedy z automatu zaczyna mi się chcieć bardziej. (śmiech)

Twórcą filmu jest Maciej Kawulski, z którym pracowałeś przy wszystkich jego wcześniejszych produkcjach. Łączy was wyjątkowe porozumienie?
Myślę, że tak. Wypracowaliśmy je przez ten cały okres naszej współpracy. Mam 35 lat, a znam go już 10 lat. Z mojej perspektywy to szmat czasu i dużo to dla mnie znaczy. Zawsze z przyjemnością z nim pracuję.

Maciej dał Ci dużo przestrzeni na własne pomysły przy wykreowaniu postaci Dzikiego?
Zawsze tak się dzieje, kiedy razem pracujemy. Ale to nie jest tak, że Maciek daje pełną wolność i w ogóle nie ingeruje. Zawsze jest świetnie przygotowany i dokładnie wie, czego chce. Dlatego w momentach, w których czułem jakąś niemoc w zetknięciu z materiałem czy warunkami atmosferycznymi, które często dawały się nam we znaki, zawsze przychodził z pomocą, aby mnie podeprzeć. Ale jeśli pytasz o wolność twórczą, to dostaję ją od Maćka za każdym razem.

Dziki to postać, która wymagała od Ciebie wyjątkowego przygotowania fizycznego, pewnie jeszcze bardziej niż „Kulej". Jak sobie z tym poradziłeś?
To było zupełnie inne przygotowanie. W przypadku „Kuleja" zajęcia na siłowni musiały się połączyć z opanowaniem umiejętności bokserskich i zbudowaniem kondycji. Tutaj w dużej mierze skoncentrowaliśmy się na rzeźbieniu sylwetki i przygotowaniu ciała na gorsze warunki pogodowe. Maciek zakupił mi dużą zamrażarkę na mięso, wstawił na balkon i kazał w niej... morsować. (śmiech) Na tym polegała główna trudność przygotowania fizycznego do tej roli.

Kiedyś powiedziałeś w jednym z wywiadów: „Lubię konkurować ze sobą i swoimi słabościami". Tak było i na tym planie?
Przede wszystkim. Pewnie można to stwierdzenie podpiąć pod wszystko, ale w tym przypadku, gdzie poza jedną sekwencją cały czas biegam w samych spodniach, przepasany skórzanym pasem, to była regularna walka ze słabościami. Ale bardzo satysfakcjonująca. Takie boksowanie się z samym sobą daje mi dużą radość, dlatego bardzo lubię ten element pracy na planie.

Twój bohater jest uznawany za niemowę i nie odzywa się prawie przez cały film. Jaki miało to wpływ na Twoją grę?
Początkowo miałem taki plan, aby nie odzywać się w ogóle do nikogo na czas realizacji tego filmu i przejść w kompletnej ciszy przez ten plan, ale dość szybko zrozumiałem, że byłoby w tym coś narcystycznego i utrudniającego pracę innym, czego w tak trudnych warunkach przyrody nikt by nie potrzebował. I tak co rusz dostawaliśmy kolejną lekcję pokory ze strony natury. Dlatego zrezygnowałem z tego pomysłu niemal zaraz po tym, jak na niego wpadłem. Szybko okazało się, że to milczenie, które musiałem zachować w poszczególnych scenach, to bardzo trudne zadanie. Początkowo myślałem, że będzie fajnie, ponieważ nie trzeba się specjalnie przygotowywać tekstowo, ale okazało się, że mowa pomaga nam w wyrażaniu siebie. Dlatego mocno odczuwałem te ograniczenia. Martwiłem się, że sceny pozbawiane dialogu są nudne i nie sprawdzą się. Że za mocno na pewne rzeczy reaguję, nie mogąc wyrazić emocji za pomocą słów, bo zazwyczaj do tej pory je werbalizowałem. To było naprawdę trudne zadanie.

Dziki jest trochę człowiekiem, trochę zwierzęciem. Żeby zagrać taką postać, musiałeś dokopać się w sobie do tej dzikości?
To już muszą ocenić widzowie. Mnie to trudno stwierdzić. W mojej głowie mogłem dojść do wielu wniosków, ale czy one okazały się skuteczne? Na pewno próbowałem i bardzo mi zależało na tym, żeby ten bohater, na tym etapie, w którym ja się w niego wcielam, kiedy jest już najbardziej uczłowieczony, zachowywał jednak w sobie cechy i pierwotne zachowania nabyte z obcowania z naturą. Kiedy szukałem pomysłów na reakcje Dzikiego w niektórych scenach, odrzucaliśmy te, które uznawaliśmy za nazbyt ludzkie i ucywilizowane i jakby z automatu wybieraliśmy te, które były dla nich opozycją. W tym celu oglądaliśmy filmy przyrodnicze, podpatrując w nich, jak zachowują się w różnych sytuacjach zwierzęta. W ten sposób staraliśmy się znaleźć tę dzikość w tym moim obytym już nieco z ludźmi bohaterze.

Kręciliście w górach w Polsce i na Słowacji. Obyło się bez przygód na planie?
Każdego dnia mieliśmy jakieś starcia z naturą. Są w filmie sceny, które rozgrywają się w gęstej mgle. Tymczasem plan na nie był taki, że mieliśmy kręcić w pełnym słońcu. Znaleźliśmy bowiem piękną osadę drewnianych domków na szczycie góry, które tworzyły niesamowity klimat. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Kiedy przyjechaliśmy ze sprzętem na miejsce, to, co wydawało się poranną mgłą, okazało się wielką chmurą, która zalegała tam przez trzy dni. No i trzeba było sobie poradzić z tymi warunkami atmosferycznymi. To oczywiście stworzyło inną jakość, coś, co działa w tej scenie, ale była to dla nas duża lekcja pokory ze strony natury. Zresztą dostawaliśmy ją codziennie: film opowiada przecież o górach, a te wymagają od człowieka wielkiego szacunku.

Kiedy byłeś mały, pewnie biegałeś po lesie z patykiem i walczyłeś z wymyślonymi potworami. Zagranie w takim filmie jak „Dziki" było dla Ciebie powrotem do dziecięcych fantazji i emocji?
Oczywiście. Ja kocham takie kino. Nazywamy je z moim przyjacielem „rycerskim". Bo jest tam tragiczny bohater, walka o honor i braterstwo, zmaganie się ze swoimi słabościami. Ja się też wychowałem na takich filmach i do dzisiaj je kocham. Marzy mi się robienie takiego kina, a w Polsce nie tworzy się go zbyt często. Dlatego „Dziki" był dla mnie wyjątkową okazją do spełnienia takiego marzenia. Czułem się więc zaszczycony, mogąc brać udział w tym przedsięwzięciu.

Jesteś z pokolenia wychowanego na „Władcy Pierścieni" i „Harrym Potterze". Sporo czasu spędzałeś też pewnie, grając w gry komputerowe. To te rozbudzające wyobraźnię historie sprawiły, że zamarzyło Ci się aktorstwo?
Bardzo lubię do dzisiaj to medium, jakim są fabularne gry, bo to superuzupełnienie dla kina. Ostatnio wiele z nich jest inspiracją do powstawania filmów czy seriali – choćby „The Last Of Us". To gry mocno nastawione na opowiadaną historię, mające szansę podejmowania różnorodnej tematyki. Kiedy ja zaczynałem swoją przygodę z grami komputerowymi, były one jeszcze dosyć skromne. Nie była to więc jakaś inspiracja do tego, aby zostać aktorem. Ale ja ciągle wierzę w takie wymyślone światy. Dlatego nigdy nie chciałbym zapomnieć o tym przysłowiowym patyku, z którym ganiałem po lesie.

Początkowo planowałeś zostać dziennikarzem telewizyjnym. Aktorstwo miało Ci w tym pomóc?
To koleżanka z roku zachęciła mnie do wzięcia udziału w kursie aktorstwa. Pomyślałem, że to dobry pomysł, bo nie wiem czemu, ale kiedy stawałem przed kamerą, bardzo mnie to paraliżowało i traciłem zmysł klarownego przekazywania informacji. Stwierdziłem więc, że taki kurs może mi w tym pomóc. Wziąłem w nim udział i spodobało mi się, że aktorstwo daje poczucie mniejszej odpowiedzialności za to, co się mówi, bo aktor ukrywa się za tekstem kogoś, kto jest mądrzejszy od ciebie i można mówić o ważnych rzeczach, nie biorąc do końca odpowiedzialności za wypowiadane słowa.

Aktorską wiedzę zdobywałeś w Krakowie: najpierw w L'art. Studio, a potem w Akademii Teatralnej. Jak Ci było pod Wawelem?
To bez wątpienia jeden z cudowniejszych etapów mojego życia. Mieszało się wtedy we mnie wiele emocji, dojrzałość z niedojrzałością. To był ciekawy czas.

Więcej czasu imprezowałeś czy spędzałeś na uczelni?
Szkoła aktorska ma taki program, że spędza się na uczelni cały dzień od rana do nocy przez prawie cały tydzień. Przychodziliśmy na zajęcia na ósmą, a kończyliśmy o dwudziestej drugiej, a czasami nawet później. Dlatego cały dzień mijał nam w dużej mierze na nauce. Ale żebym jakoś stronił od imprez i skupiał się tylko na szkole – to nie powiem. (śmiech) Zakosztowałem więc Krakowa tak jak się go powinno zakosztować.

Jakiś czas później wyznałeś: „Kiedy odkryłem aktorstwo, świat nabrał kolorów". Co to oznacza?
Pod koniec liceum nie miałem większych planów na swoją przyszłość. Moje życie do matury i jeszcze chwilę później polegało na zwykłym odbębnianiu rzeczy i spraw. Nie miałem

MARTWIŁEM SIĘ, ŻE SCENY POZBAWIANE DIALOGU SĄ NUDNE I NIE SPRAWDZĄ SIĘ. TO BYŁO NAPRAWDĘ TRUDNE ZADANIE

eprasa.pl 7b340cc89a

FOT. KAMIL KUŁAGOWSKI/MATERIAŁY PRASOWE

Tomasz Włosok: Na tym etapie, w którym ja się wcielam w Dzikiego, kiedy jest już uczłowieczony, zachowywał jednak w sobie cechy i pierwotne zachowania

sprecyzowanych zainteresowań i żadnych perspektyw na ciekawą przyszłość. Kiedy odkryłem aktorstwo, odnalazłem sens życia i zacząłem z niego dużo więcej czerpać. Tak było oczywiście na tamtym etapie. Teraz moje priorytety się pozmieniały i czerpię z życia jeszcze więcej. Ale wtedy było to bardzo ważne, bo odnalazłem jego sens.

Od razu po studiach zwróciłeś się w stronę filmu. Teatr Cię nie pociąga?
To było trochę inaczej. Zaraz po szkole pojechałem do Częstochowy i zrobiłem tam spektakl. Równolegle grałem już w serialu „Pierwsza miłość". Kiedy byłem na próbach w Częstochowie, okazało się, że zagram w „Powidokach" Andrzeja Wajdy. Za chwilę pojawił się Maciek Pieprzyca z „Jestem mordercą". I w naturalny sposób zwróciłem się w stronę filmów i seriali. Nie było to jakoś wymyślone przeze mnie, bo ja raczej staram się nie kalkulować, tylko daję się ponieść życiu. Los mnie tak popchnął, ale oczywiście po drodze musiałem podjąć jedną czy drugą decyzję. I jedną z nich była rezygnacja z potencjalnego etatu w Częstochowie. Dziś mniej może rozumiem świat teatru, bo po prostu mniej do niego należę. Brakuje mi jednak trochę tej ekscytacji związanej z wyjściem na scenę, ale nie ma co cierpieć w życiu na nadmiar.

Po raz pierwszy zwrócono na Ciebie uwagę w „Kruku", gdzie zagrałeś wyrazisty „czarny charakter". To była dobra rozgrzewka na początek kariery?
Kocham tę serial i tę postać. Uwielbiam pracować z Maćkiem Pieprzycą. To nie jest żadna tajemnica. Bardzo dobrze wspominam tę produkcję, za którą odpowiadała firma Opus Films. Pracują tam wspaniali ludzie. To był plan marzeń. Kiedy dostałem informację, że jest bardzo znacząca rola w „Kruku", którą mógłbym zagrać, zadzwoniłem do Maćka, żeby dał mi jakieś wskazówki, co mogę na ten casting przygotować. Pozwoliłem sobie na to, bo pracowaliśmy już wcześniej razem. A on mówi: „Ty już to dostałeś. Nie musisz nic przygotowywać". (śmiech) To było wspaniałe – pierwsza rola, którą dostałem w prezencie jako wyraz pewnego kredytu zaufania wobec mnie ze strony reżysera. Nie sądziłem, że to wyewoluuje w serial, który doczekał się aż trzech sezonów. Dlatego jestem do dziś za to Maćkowi bardzo wdzięczny.

Głośno stało się o Tobie, kiedy dostałeś nagrodę w Gdyni za „Jak zostałem gangsterem". Świat polskich dresiarzy na pewno był ci obcy. Co sprawiło, że tak sugestywnie wcieliłeś się w Waldena?
Czy obcy? Cóż, przyjrzałem się w życiu różnym sytuacjom i ludziom. (śmiech) Widziałem kilkakrotnie ten typ osobowości, jaki reprezentował Walden. Kiedy kręcę film i wcielam się w jakąś postać, podłapuję jej cechy od różnych osób, które poznałem w prawdziwym świecie. W ten sposób buduję swego bohatera i potem, choć nigdy nie miałem styczności ze światem przestępczym, ktoś, kto się z niego wywodzi, widząc moją pracę na ekranie, mówi: „No patrz, ten Walden jest dokładnie taki sam jak ten czy ten". Już scenariusz „Jak zostałem gangsterem" podpowiadał mi, że będę miał do czynienia z budowaniem osobowości kogoś, kto potrzebując ojcowskiej atencji, dostanie ją od człowieka, który jest bandziorem, i to sprawi, że trafi do przestępczego świata. Kilka razy w życiu zobaczyłem, jak działa podobny mechanizm, dodałem do tego predyspozycje do szaleństwa, jakie miał w sobie Walden, i udało się stworzyć wyrazistą postać.

Na przeciwnym biegunie do Waldena jest Robert z „Piosenek o miłości". Zagranie takiego skupionego i wyciszonego chłopaka było trudniejsze?
Trudno to określić. To było zupełnie inne zadanie. Mam ogromne szczęście do ludzi, których spotykam na swej zawodowej drodze. Szczególnie do reżyserów, którzy nigdy nie zostawili mnie samego z moją pracą. Mając zabezpieczenie w postaci tego koła ratunkowego, czuję zawsze, iż to, co robię, ma głęboki sens. I tyle. Nigdy nie zastanawiam się nad tym, co to robi dla mnie, budując tę czy inną postać, bo mam wrażenie, że mogłoby mi to zabrać kreatywność. Jest tu i teraz i na tym się skupiam. Oczywiście postać Roberta z „Piosenek o miłości" jest zdecydowanie cichsza i mniej ekspresyjna, opiera się więc na innych nutach i na innej psychologii – na toksycznej relacji z ojcem, życiu w jego cieniu, pozostawieniu samemu sobie. Wszystko to sprawia, że ten bohater jest jaki jest. Reżyser Tomek Chabowski bardzo precyzyjnie określał, czego ode mnie oczekuje, i dawał mi bardzo konkretne wskazówki, o czym chce opowiedzieć w każdej scenie. Ja musiałem się tylko w nie wsłuchać i pokazać to przed kamerą.

Świetnie odnalazłeś się też w komedii, czyli w serialu „Emigracja XD". To dlatego, że Malcolm jest do Ciebie podobny i zagrałeś trochę siebie z młodości – chłopaka, którego trudno oderwać od komputera?
Tak. Faktycznie, spośród wszystkich postaci, które zagrałem, do Malcolma mi najbliżej. (śmiech)

Spodobało Ci się granie w komedii?
Na pewno dobrze bawiłem się na planie. Ale też najmocniej miałem ciarki na placach, bo zastanawiałem się, czy to będzie śmieszne dla kogoś, kto zaraz będzie ten serial oglądał.

Najważniejszym Twoim film do tej pory jest na pewno „Kulej. Dwie strony medalu". Zagranie autentycznej postaci to wyższa szkoła jazdy dla aktora?
Budowanie roli legendy polskiego pięściarstwa na pewno było naznaczone ponadprzeciętną presją. Ale dotarło to do mnie na szczęście dopiero wtedy, kiedy skończyliśmy ten film. (śmiech) Byłem więc już bezpieczny. Ale faktycznie, to było moje najtrudniejsze zadanie do wykonania. Tym bardziej że marzyłem, aby dostać tę rolę. Postać Jerzego Kuleja była mi dobrze znana, bo interesuję się boksem i sportami walki od dzieciństwa. Do dziś uprawiam je – przede wszystkim, aby wyciszyć głowę. Daje mi to duże ukojenie, stąd jest to dla mnie bardzo ważne.
I z tego względu zrealizowanie tego filmu było dla mnie spełnieniem marzeń. Ale dlatego też, że miałem okazję współpracować z Xaverym Żuławskim. To właśnie do niego przyszedłem na pierwszy casting w swoim życiu, na którym otrzymałem od reżysera szczere wskazówki, co o mnie myśli. Powiedział mi, co zadziałało, a co nie zadziałało. Naturalnie nie dostałem wtedy tej roli. Ale to spotkanie było dla mnie ważne, bo zbudowało w dużym stopniu moją optykę na ten zawód i tę branżę. Marzyłem więc, żeby się z nim ponownie spotkać. I było na co czekać, bo okazało się, że Xavery cudownie prowadzi aktorów. Jest wspaniałym człowiekiem.

„Kulej" pokazuje, że masz też szczęście do partnerek na ekranie. Stworzyliście z Michaliną Olszańską tym filmie prawdziwą „power couple".
To prawda. Bardzo się z Michaliną polubiliśmy. Ona jest cudowną osobą i to był ogromny zaszczyt móc z nią przez ten film przetańcować. (śmiech)

Z kolei w „Zielonej granicy" zagrałeś ze swoją partnerką, również aktorką Malwiną Buss. Jakie to było doświadczenie?
Niezmiennie inspirujące. (śmiech) Bardzo lubimy z Malwiną ze sobą pracować i chcielibyśmy robić to częściej. Moja partnerka jest wspaniałą aktorką, dobrze się znamy, wiemy zatem, czego od siebie oczekiwać i wymagać. I to po prostu w „Zielonej granicy" zadziałało. Bo to zawsze działa.

Dobrze mieć za życiową partnerkę osobę, która uprawia ten sam zawód, co my?
Myślę, że tak. Oczywiście początkowo myślałem o tym różnie, ale teraz skłaniam się ku stwierdzeniu, że człowiekowi spoza branży trudno jest zrozumieć specyfikę pracy aktora. Wiele związanych z nią elementów może się wydawać trudnych do zaakceptowania. Dlatego największą wyrozumiałością dla aktora może się wykazać ktoś, kto też uprawia ten zawód. Ale tu chodzi również o to, aby być ze sobą szczerym i jasno wyznaczać to, że aktorstwo jest tylko pracą i niczym więcej.

Udaje się Wam rozdzielać życie prywatne od zawodowego?
To pewnie zweryfikujemy za jakieś dziesięć lat. (śmiech) Teraz wydaje się nam, że jest spoko. Jak to w życiu bywa, raz są łatwiejsze, a raz trudniejsze momenty. Ale generalnie chyba całkiem mądrze sobie to układamy. Ja mam tylko większy problem z planowaniem rzeczy, w związku z czym wielokrotnie o czymś zapominam lub się spóźniam. Malwina wiecznie się mierzy z moim improwizowaniem, bo nie jestem w stanie dokładnie zaplanować swojego życia. Dlatego to ona jest głową naszej rodziny.

Nie ma między wami ambicjonalnych konfliktów wynikających z zazdrości o sukcesy?
Myślę, że coś takiego występuje nawet w związkach, które tworzą ludzie niezwiązani z tą samą branżą. Dlatego zdarzało się to i u nas, ale nigdy nie miało większego wpływu na naszą relację.

Miałeś taki moment, kiedy sukces i popularność uderzyły Ci do głowy?
To chyba nie pytanie do mnie. Jeżeli z zewnątrz tak to wygląda, to mi to powiedz, wtedy się zmienię. A jeżeli tego nie widać, to bardzo mi miło. Generalnie nie chciałbym, żeby mi odbiła ta przysłowiowa palma i mam nadzieję, że nigdy tak nie było. Moja druga połówka pilnuje mnie i kiedy wykazuję takie tendencje, to sprowadza mnie od razu na ziemię. Mam mądrych ludzi wokół siebie i to chyba mój najcenniejszy dar od losu.

Masz też pięcioletnią córeczkę Jagodę. Na pewno przez ten czas, od kiedy zostałeś ojcem, dojrzałeś emocjonalnie. Miało to jakiś wpływ na Twoje aktorstwo?
Od momentu, kiedy zacząłem realnie odpowiadać za drugiego człowieka, coś zmieniło się chemicznie w mojej głowie. Czy to jest dojrzałość? Chyba daleko mi jeszcze do niej. Po prostu czuję, że inaczej odbieram rzeczywistość. Zmieniła się moja perspektywa patrzenia na życie i świat: jest ten mały człowiek i dopiero potem cała reszta.

eprasa.pl 7b340cc89a

Dziennik Polski
Piątek, 16.01.2026

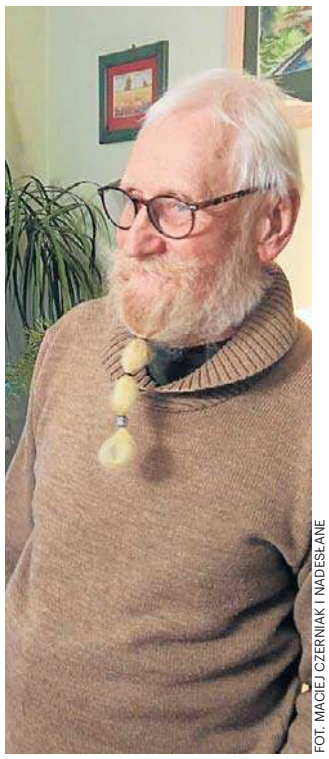

FOT. MACIEJ CZERNIAK I NADESŁANE

- Dla mnie to taka dyskusja bez sensu - mówi Grzegorz Firyn (na zdj. po prawej) o awanturze, czy dziewczynki ratował bardziej Oleksandr Bolotow, czy on. Bo przecież zrobili to razem

BOHATERÓW DWÓCH

Jeden rzucił szal, drugi - gałąź. Wyciągnęli z lodowatej wody 9-latki, pod którymi załamał się lód. Oleksandr ze Słowiańska, Grzegorz z Bydgoszczy. Hejterzy mieli używanie

Maciej Czerniak

Jest sobotnie przedpołudnie 10 stycznia. Zimno, w Bydgoszczy termometry wskazują minus 5 stopni. Do redakcji zgłasza się Czytelnik: - Coś poważnego się wydarzyło, bo trzy samochody straży pożarnej pędziły ulicą Grunwaldzką, minęły Biznes Park Okole i skręciły nad Kanał Bydgoski.

Jest krótko po godzinie 11.30. kilkanaście minut później udaje się ustalić, o co chodzi.

- Otrzymaliśmy sygnał, że w wodzie w Kanale Bydgoskim na wysokości śluzy nr 5 znajdują się dwie dziewczynki - mówi oficer dyżurny stanowiska kierowania z Komendy Miejskiej Państwowej Straży Pożarnej w Bydgoszczy.

- Dzieciom, które wpadły do kanału, pomógł wydostać się na brzeg jeden z przechodniów. 9-letnie siostry bliźniaczki miały znajdować się „po szyję w wodzie". Są już bezpieczne w domu.

Informacja o zdarzeniu pojawia się w serwisach „Gazety Pomorskiej" i „Expressu Bydgoskiego". Tekst okraszony jest garścią porad od policji, jak zachować się, kiedy lód załamie się pod nami. Mundurowi ostrzegają, by nie wchodzić na zamarznięte akweny, bo to śmiertelne ryzyko.

W niedzielę rano pod tekstem o wypadku zaczynają się pojawiać informacje, że mężczyzna, który ratował bliźniaczki to Ukrainiec. W komentarzach wyrazy wdzięczności za szybką reakcję, ale i hejterskie wrzutki, np. „Jedna jaskółka wiosny nie czyni".

„Wolne żarty, Ukrainiec uratował Polaka"

Inna użytkowniczka odpisała: „Na Wołyniu wielu Ukraińców ratowało Polaków przed UPA, narażając swoje życie i całej swojej rodziny".

Niesamowite, dokąd zmierza dyskusja o tym, że ktoś ruszył na ratunek dzieciom w sytuacji zagrożenia ich życia.

Policja nie potwierdza, jakiej narodowości był mężczyzna, który ratował dziewczynki. Dowiaduję się, że mundurowi nie mieli z nim styczności.

Pod tekstem o wypadku jedna z osób informuje, że wie, o kim mowa. Nawiązuję kontakt. - To skromny człowiek. O zdarzeniu powiedział mężowi wczoraj i podkreślał, że to bliźniaczki. Pomógł mu starszy człowiek z dużą brodą, prawdopodobnie bezdomny, który dał mu szalik, dzięki czemu udało się wyciągnąć dziewczynki - mówi.

Mężczyzna zgadza się chwilę porozmawiać przez telefon, ale nie chce się spotkać. Ma na imię Oleksandr i mówi łamaną polszczyzną. Opowiadając w emocjach o zdarzeniu, przechodzi na ukraiński. Po ustaleniu kilku faktów, kończymy rozmowę. Ponownie odbiera telefon, kiedy jeszcze raz proszę o możliwość spotkania. Wzbrania się, ale w końcu zgadza się, ale tylko dlatego, że proszę, by wskazał miejsce, gdzie wpadły dziewczynki.

Pół godziny później czeka na moście przy V śluzie nad Kanałem Bydgoskim.

- Tu byłem, a te dziewczynki, o tam – Oleksandr Bolotow wskazuje miejsce po wschodniej stronie śluzy. Emocjonalnie gestykuluje: - Najpierw pod jedną lód się załamał, potem pod drugą. Ruszyłem biegiem do nich i głoś no wołałem o pomoc.

Zauważył w końcu innego mężczyznę, więc zaczął go przywoływać. Ten zaraz ruszył biegiem.

Oleksandr prowadzi do miejsca na brzegu, z którego do dziewczynek w wodzie było mu najbliżej. Przedziera się przez krzaki. - Potąd były w wodzie, o tak – przykłada dłoń do szyi. Kanał Bydgoski jest na sporej powierzchni zamarznięty, im bliżej środka koryta, tym lód jest cieńszy, a na samym środku niknie pod wodą. Miejsce, które wskazuje, znajduje się jakieś trzy, cztery metry od brzegu.

Mówi, że próbował iść do dziewczynek, ale lód trzeszczał. Podnosi z ziemi gałąź długą na półtora, może dwa metry: - Tym próbowałem je dosięgnąć.

- Ten mężczyzna, który usłyszał wołanie, przybiegł zaraz, zdjął swój szalik - Oleksandr opowiada, że to „dieduszka", taki „po siedemdziesiątce".

Razem jakoś wyciągnęli dziewczynki. Kim był „ten drugi"? Oleksandr mówi, nie wie, zastanawia się, mówi, że może bezdomny. Miał „brodę, taką dłuższą, związaną". Po całej akcji poszedł w swoją stro-nę.

W tym momencie mówi już po ukraińsku, nie wszystko rozumiem. Być może opowiada coś istotnego dla sprawy, ale bariera językowa nie pozwala zrozumieć wszystkiego.

Wracamy na most. Oleksandr zapala papierosa, tłumaczy, że widok dzieci wpadających do wody, pod lód był dla niego wstrząsający.

Jak długo mieszka w Bydgoszczy? Od początku wojny. A tak w ogóle, to był policjantem w Słowiańsku – opowiada. W Polsce pracuje jako kierowca samochodów ciężarowych w firmie z Dąbrowy Górniczej. Do Bydgoszczy ściągnął żonę, teściową. Dzieci są za granicą. Żona zmarła, teściowa też.

Podaję mu rękę. Żegnamy się.

Jeszcze w niedzielę publikuję kolejny tekst. W komentarzach znów gorąco. Pani Anna pisze: „Jakiś pojedynczy przykład. Pozdrawiam, życzę zdrowia i spokoju". I znów ktoś: „Nie znasz przysłowia, że jednak jaskółka wiosny nie czyni? Oni są uszkodzeni na poziomie DNA". Internauta Tadziu: „Trafił się jeden na pięć tysięcy".

Nagle „objawia się" wielu świadków zdarzenia. Piszą, że „ten drugi mężczyzna" to Polak. I dlaczego nie ma informacji o nim?!

Gdzieś poniżej kontra.

Dawid: Mówiłem „Wam" że wsadzacie wszystkich Ukraińców i obcokrajowców do jednego worka a są wyjątki takie jak np: TEN PAN" (pisownia oryginalna, red.).

Natalia: „Och Ludzie! Ile można o narodowości?! A jak jutro będzie pożar w bloku i sąsiedzi będą ratować się nawzajem czy będziemy pytać o obywatelstwa?"

Marek K. Jeleniewski, przewodniczący Komisji Samorządności i Bezpieczeństwa Publicznego Rady Miasta Bydgoszczy, historyk, były rzecznik KWP w Bydgoszczy pisze: „Jestem po rozmowie z Panem z Ukrainy. Ma na imię Aleksander. Bardzo skromny. Zaprosiłem Go na spotkanie do Prezydenta. Pan pracuje poza Bydgoszczą, tu bywa tylko w weekendy. Termin spotkania ustalimy w przyszłym tygodniu".

Dzwoni telefon. Mężczyzna, bardzo poruszony: - Zrobię wszystko, żeby te kłamstwa w artykule sprostować! Doprowadzę do tego, że ten mężczyzna, ten z Ukrainy, co tak się wywyższa, nie spotkał się z prezydentem Bruskim!

Krzyczy, że jeszcze przecież ratował też „drugi mężczyzna, Polak", a „o nim nie ma w ogóle mowy". To nieprawda, w tekście była informacja o pomocy ze strony innej osoby.

Na pytania o to, czy wie, kim jest i czy jest szansa na rozmowę, tak by oddać mu należne zasługi za uratowanie życia dzieci, pada odpowiedź, że nie będzie mi w niczym pomagał, że to rzecz dziennikarza, a nie jego. Ostatecznie deklaruje, że postara się „jakoś popytać" i „może uda się" załatwić jakiś kontakt z drugim bohaterem.

Znów jest informacja od Marka Jeleniewskiego: „Udało się dotrzeć do drugiego Pana, który ratował dziewczynki. Pan Grzegorz mieszka na Okolu. Oczywiście Jego też zaproszę do Ratusza".

„Najlepsze ciuchy włożyłem na spacer!"

Kontakt do drugiego z ratujących przekazała jego bliska osoba, po przeczytaniu informacji w naszych serwisach.

- Usłyszałem krzyk, wołanie, obróciłem się i widzę te dziewczyny, tam w jakimś „przerembiu" – opowiada mi Grzegorz Firyn. - I widzę pana, co krzyczy na brzegu. I jedna myśl: „Kurde, trzeba lecieć". No i biegłem, po drodze ściągnąłem płaszcz, żeby mieć swobodę. Ten pan tam znalazł gałąź. I tą gałęzią tam zaczynał tę całą akcję. A ja miałem długi szal. Człowiek słyszy, że najlepiej to coś takiego podać, najlepiej się położyć na lodzie, żeby się nie załamał. I tak też zrobiliśmy, nie? Ja rzuciłem szal, ten pan podał gałąź i te dziewczyny złapały się. To się działo w jednym czasie. Jedna złapała szal, druga gałąź i żeśmy je wyciągnęli.

- Pytam, skąd są. A one, że na Czarnej Drodze mieszkają. Pognałem je do domu. Chyba się bały reprymendy rodziców, bo jak szliśmy, to kombinowały, że na korytarzu jest grzejnik, to się wysuszą - śmieje się pan Grzegorz. - Weszły do klatki schodowej, a ja poszedłem do Lidla przy Grunwaldzkiej.

Po drodze Grzegorz widział pędzące na sygnale trzy wozy strażackie: - Stoję sobie i patrzę i podszedł do mnie ten pan, co teraz wiem, że ma na imię Oleksandr. On mi podał rękę i podziękował za pomoc. Widać było, że był taki poruszony, że się cieszył, że tak się to skończyło.

- Ale czemu powiedział o mnie, że bezdomny? Trochę śmiać mi się chciało, jak to czytałem – uśmiecha się pan Grzegorz. - No nie znał mnie, ja jego zresztą też nie. Brodę taką mam, ale najlepsze ciuchy włożyłem na spacer! Tylko fakt, że jak biegłem do nich, to już płaszcza nie miałem – powtarza. I dodaje: - Mnie mróz tak przeraża. Jestem zaznajomiony z zimną wodą. 10 lat jak morsuję.

Co sądzi o komentarzach w sieci o narodowości ratujących: - Dla mnie to taka dyskusja bez sensu… Wie pan, zawsze się jakieś świry znajdą.

Pan Grzegorz mieszka na Okolu. - Byłem mechanikiem samolotów odrzutowych, trochę w odlewni pracowałem. Potem montowałem fotele kinowe, w teatrach i filharmoniach. A teraz trochę zajmuję się tapicerowaniem, ale już 15 lat na emeryturze.

Nad kanałem bywa często. Ponad trzydzieści lat temu, pamięta, 25 grudnia również tam spacerował z żoną. Lód załamał się pod jakimś dzieckiem. I też pobiegł od razu, w drodze przypomniał sobie, by położyć się na tafli, ale było już późno. Wpadł do wody. Szczęśliwie złapał jednak grunt pod nogami i wypchnął chłopca na powierzchnię…

Sprawa rangi międzynarodowej

Próbowałem porozmawiać z rodziną dziewczynek. Ich mama nie zgodziła się jednak na przekazanie mi numeru telefonu.

Po opublikowaniu tekstu, kiedy było wiadomo, że na ratunek pośpieszył Oleksandr Bolotow, ale nie znaliśmy jeszcze personaliów Grzegorza Firyna, z redakcją skontaktował się Oleksandr Plodystyi, konsul Ukrainy w Gdańsku. Dopytywał o okoliczności zdarzenia, upewniając się, że chodzi o obywatela ukraińskiego. O tej historii zamierzał poinformować oficjalnie Minister Spraw Zagranicznych Ukrainy.

„Takie czyny przypominają o tym, co najważniejsze" – napisał potem Andrii Sybiha, szef ukraińskiego MSZ – „o człowieczeństwie".

Odpowiedział polski Minister Spraw Zagranicznych, Radosław Sikorski: „Jako Bydgoszczanin, dziękuję panu Ołeksandrowi. Nie pozwólmy ruskiej propagandzie podważyć solidarności polsko-ukraińskiej wobec wroga, który zagraża obu naszym narodom".

eprasa.pl 7b340cc89a

Ryszard Tadeusiewicz, profesor AGH

CZEGO NAUCZAĆ UCZNIÓW ZE SMARTFONAMI?

Studenci, dla których prowadzę wykłady, a także uczniowie szkół średnich oraz podstawowych, stali się trudni do nauczania, bo mają smartfony, pozyskują z ich pomocą mnóstwo wiadomości (nie zawsze prawdziwych) i trudno ich przekonać, że tradycyjne nauczanie ma nadal sens. A jednak tradycyjny cel edukacji pozostał niezmieniony: dążymy do tego, żeby ludzie zdobyli umiejętność podejmowania trafnych decyzji. Do tego celu potrzebne jest posiadanie: wiedzy, umiejętności rozumowania oraz systemu wartości.

Wiedzę kiedyś zdobywało się z dużym trudem, ale obecnie można ją pozyskać w każdej chwili z internetu. Żeby jednak tę wiedzę we właściwy sposób wykorzystać, trzeba przeprowadzić rozumowanie, na które składa się: kojarzenie faktów, dedukcja (wyciąganie konkretnych wniosków na podstawie ogólnych przesłanek) oraz indukcja (budowa ogólnej reguły na podstawie znanych szczegółowych faktów). Tu potrzebna jest mądrość, którą zdobywa się w trakcie edukacji, bo nie można jej „wygooglać"

Dodatkowo potrzebne jest wartościowanie prowadzące do decyzji. Koncepcja wartościowania jest złożona i jest w sposób ogólny przedmiotem badań dyscypliny naukowej, która się nazywa aksjologią, jednak w praktyce sprowadza się do rozstrzygnięć kilku dylematów. Na przykład czy to, co oceniamy jest ważne - czy nieważne? Albo patrząc z innej perspektywy: czy to jest cenne - czy mało wartościowe? A także biorąc pod uwagę element etyczny: czy to jest dobre - czy złe?

Wartościowanie jest ważne, bo internet zawiera wszystko - i zaprzeczenie wszystkiego. Prawdę i fałsz. A uczeń czy student musi wiedzieć, co jest czym!

Nie jest to łatwe, bo motywacje tych, którzy dostarczają wiadomości do internetu, bynajmniej nie polegają na tym, żeby dostarczyć treści o wysokiej wartości i jakości. Treść jest dla nich tylko wabikiem do reklam, a korzyści uzyskują oni generując ruch w sieci. Treść ma więc być krótka, żeby uzyskać większą gęstość reklam, oraz atrakcyjna, to znaczy raczej skandalizująca, a nie wartościowa, w szczególności prawdziwa. Co więcej, ta treść ma być dostępna natychmiast!

Ale poza cyberprzestrzenią oczekiwanie natychmiastowości jest naiwnością. W szczególności nie można natychmiast nabyć umiejętności!

Tymczasem rynek pracy wymaga umiejętności. Pracodawca nie poszukuje ludzi do wynajęcia. On potrzebuje kompetencji do wynajęcia!

Pożądane cechy decydujące o karierze zawodowej to samodzielność w rozwiązywaniu problemów, umiejętność współpracy w zespole, stała aktualizacja wiedzy, innowacyjność i kreatywność. Takie cechy wypracowuje dobra edukacja. Ze smartfona tego wyssać nie można!

Edukacja opiera się na roli nauczyciela. Mało komu i mało kiedy udaje się zrealizować edukację na zasadzie „mistrz - uczeń". To jest możliwe na przykład na studiach doktorskich, gdzie promotor może przemierzać ścieżki odkryć naukowych wraz z doktorantem. Typowy jest jednak układ: wielu specjalizowanych mistrzów i uczniowie, z których każdy korzysta z mądrości owych nauczycieli na swój unikatowy sposób. To działa na dobrych uczelniach i w dobrych szkołach

Natomiast nieefektywny jest układ, gdy uczeń usiłuje się edukować, mając do dyspozycji praktycznie nieskończoną liczbę mistrzów w postaci osób lub instytucji wypełniających internet swoimi wiadomościami. Taki model oznacza zagubienie ucznia i przypadkowość wyniku edukacji!

Używam określenia „mistrz" dla podkreślenia roli nauczyciela w procesie edukacji. Nauczyciele przestali już być źródłem wiedzy, bo tę uczeń łatwo pozyska z internetu. Muszą jednak pomagać odróżniać wiedzę prawdziwą od fałszywej, powinni być animatorami różnych działań i przewodnikami w ich realizacji oraz arbitrami wartościującymi działania.

INTERNET ZAWIERA WSZYSTKO – I PRAWDĘ, I FAŁSZ. A UCZEŃ CZY STUDENT MUSI WIEDZIEĆ, CO JEST CZYM!

HUMOR

- Kochanie, co byś powiedział, gdybyśmy wzięli ślub w Boże Narodzenie?
- Daj spokój! Po co mamy sobie psuć święta?

●

Ksiądz chodzący po kolędzie, dzwoni do drzwi mieszkania.
- Czy to ty, aniołku? - pyta kobiecy głos zza drzwi.
- Nie, ale jestem z tej samej firmy!

●

W Wigilię Bożego Narodzenia Kowalscy słyszą u sąsiadów straszny hałas. Kowalska komentuje:
- Albo synek Nowaków dostał na gwiazdkę bębenek, albo Nowak zaczął śpiewać kolędy.

●

Na biegunie północnym spotykają się dwaj Święci Mikołajowie.
- Dlaczego jesteś taki smutny?
- Bo w tym roku znów wypadło na mnie, że mam roznosić prezenty w Polsce.
- Przecież Polacy to wspaniali ludzie!
- Możliwe, ale jak wrócę od nich, to znów przez cały rok będę miał kaca!

●

- Tato, w tym roku chciałbym na święta pieska.
- Nic z tego, jak co roku będzie karp.

●

Na lekcji dzieci mówią, że chciałyby zostać aktorkami, piosenkarzami, strażakami, instagramerkami... Jasio mówi, że chciałby zostać Świętym Mikołajem.
- Czy dlatego Jasiu, że sprawia innym radość, roznosząc prezenty? - pyta nauczycielka.
- Nie. Dlatego, że pracuje tylko w grudniu.

NASZE SMAKI

FOT. EWA LENCZYK-CHMIELARSKA

Już jutro Światowy Dzień Pizzy. Margherita, pepperoni, hawajska... już same nazwy wystarczą, żeby poczuć się głodnym!
Ponoć pierwsza współczesna pizza powstała w 1889, kiedy Neapol odwiedziła Małgorzata Sabaudzka, królowa Włoch w latach 1878-1900. Niejaki Raffaele Esposito przygotował na jej cześć specjalną potrawę – pizzę, w której podstawowymi składnikami były: pomidory (czerwień), ser mozzarella (biel) i bazylia (zieleń). Składniki te reprezentowały narodowe barwy Włoch. Esposito nazwał ją Margherita na cześć królowej. Do dziś jest to nazwa najpopularniejszej i najprostszej wersji pizzy.

Domowa pizza margherita

Składniki na ciasto
1/2 opakowania suchych drożdży
2 szklanki ciepłej wody
1/2 łyżeczki cukru
4 szklanki mąki
1 łyżeczka soli
oliwa z oliwek

Dodatki
2 kule sera mozzarella
1 szklanka przecieru pomidorowego
1/2 łyżeczki suszonego oregano
garść liści bazylii
2-3 ząbki czosnku
oliwa z oliwek
sól i pieprz

W dużej misce wymieszaj drożdże z 1/2 szklanki ciepłej wody i cukrem. Całość odstaw na około 5 minut, do momentu aż na płynie pojawi się piana. Po tym czasie dodaj pozostałe 1 i 1/2 szklanki wody, całą mąkę i sól. Wyrabiaj ciasto do momentu aż wszystkie składniki połączą się. Jeżeli ciasto za bardzo się klei, możesz dodać jeszcze odrobinę mąki. Wyrobione ciasto skrop lekko oliwą. Miskę zakryj folią spożywczą i włóż do lodówki na noc. Następnego dnia rozgrzej piekarnik do 250 stopni. Wyjmij ciasto z miski. Podziel na połowę (albo na więcej części, w zależności od tego jak dużą pizzę chcesz otrzymać). Na podsypanym mąką blacie rozwałkuj ciasto na grubość około 0,5 cm. Ułóż ciasto na natłuszczonej oliwą blaszce do pieczenia. Do przecieru pomidorowego dodaj 3 rozgniecione ząbki czosnku, 5 drobno posiekanych listków bazylii, oregano oraz sól i pieprz. Rozprowadź równomiernie na cieście sos pomidorowy. Na sosie rozłóż poszarpaną lub pokrojoną w plastry mozarellę oraz pozostałe listki bazylii. Całość skrop oliwą z oliwek. Wstaw pizzę do piekarnika. Piecz przez około 12-15 minut, do momentu aż ciasto przyrumieni się.

Przepis Ewy Lenczyk-Chmielarskiej

AUTOPROMOCJA

Czytaj
„DZIENNIK POLSKI"
w Internecie
wejdź na
www.dziennikpolski24.pl
i wiesz więcej

AUTOREKLAMA

0011456761

eprasa.pl 7b340cc89a

Z PÓŁKI SF

Ijon Tichy poznaje Doktora Łagody Doskonałej

Bohater „Dzienników gwiazdowych", czyli Ijon Tichy, niczym Guliwer obcuje z różnymi istotami pozaziemskmi. Podczas swych licznych wojaży międzyplantetarnych Tichy poznaje rozmaite obce cywilizacje, stworzone tak przez istoty myślące, jaki i przez zaawansowane roboty. Zaskakujące, ale kosmici mieszkający na oddalonych w przestrzeni (czasem także czasie) planetach mają więcej wspólnego z nami, niż mogłoby się wydawać...

Pierwsze opowiadania z cyklu „Dzienników gwiazdowych" zostały opublikowane przez wydawnictwo Iskry w 1954 r. w tomie „Sezam". Dopiero trzy lata później Iskry wydały po raz pierwszy „Dzienniki..." w formie osobnej książki.

Lem i poczucie humoru

„Zawsze pasjonowały mnie sytuacje takie jak ta z »Dzienników gwiazdowych«, kiedy pojawił się dobroczyńca, który wynalazł środek znoszący całą przyjemność związaną z uprawianiem seksu, a widząc brak zainteresowania, nasypał go do studni w miasteczku i był zdziwiony, gdy postanowiono go z wdzięczności za ten wspaniały czyn powiesić (...) To jest chyba typowe dla mnie podejście do tych spraw" – mówił Lem w wywiadzie ze Stanisławem Beresiem „Tako rzecze Lem".

A w liście do Michaela Kandla, z tomu „Sława i fortuna" dodawał: „Gdybym musiał wymienić tylko jedną »Podróż«, wymieniłbym tę o teologii robotów w autobiotycznej cywilizacji, jako rzecz, w której moje „przekonania metafizyczne" dochodzą dość wyraźnie do głosu... w pewnym sensie jedyny Absolut, albo jedyny »model« Boga, jaki mogę serio zaakceptować, jest Bogiem oo. Destrukcjanów z 21. podróży Tichego, bo wyznania wiary tam zawarte są, tj. były pisane z najwyższą powagą, na jaką w ogóle mnie stać".

Tichy woli pozostać w cieniu

Kim w ogóle jest Ijon Tichy, „gwiezdny podróżnik"? Otóż niewiele wiadomo o jego przeszłości (poza anegdotycznymi szczegółami dotyczącymi przeszłości jego rodziny, jego narodzin i nazwiska). W domu, czyli na Ziemi, bywa rzadko, większość czasu spędzając w podróżach. U Lema pojawia się jeszcze w „Kongresie futurologicznym", „Wizji lokalnej" i „Pokoju na Ziemi".

Anonimowość Tichego Lem tłumaczył następująco: „Stylizacja głównego bohatera >>Dzienników<<, Ijona Tichego, na barona Münchhausena, czy Guliwera, nie była świadomym zabiegiem pisarskim, mojej pracy nie poprzedzały żadne teoretyczne założenia, nie szukałem żadnych prefiguracji, wzorców, paradygmatów, tak jak rzeka nie antycypuje swojego koryta. Moje utwory pisały się same, byłem czymś w rodzaju racjonalnie pracującego medium, ale nie przetwarzałem jakichkolwiek przedustawnie powziętych planów".

Tichy, co ważne, jest narratorem we wszystkich historiach z jego udziałem. Są to zazwyczaj opowieści o zabarwieniu satyryczno-groteskowym, w stylu powiastek filozoficznych, tyle że w kostiumie fantastyki naukowej. **margra**

Stanisław Lem, „Dzienniki gwiazdowe", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025, cena 2025

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

MAŁGORZATA SOCHA

Złamała przepisy

W minioną sobotę popularna aktorka odwiedziła program „Halo, tu Polsat". Pod budynkiem stacji czatowali na nią paparazzi „Super Expressu". Dzięki temu wiemy, że po wyjściu z budynku stacji Socha wsiadła do auta i... zaczęła łamać wszelkie przepisy drogowe. „Najpierw postanowiła objechać wszystkie auta stojące na pasie do skrętu. Ruszyła więc pasem do jazdy prosto, a później „wepchała" się między inne samochody. Nie spodobało się to pozostałym kierowcom, którzy od razu nacisnęli klaksony. To przecież groziło kolizją! Później aktorka popełniła jeszcze jeden błąd. Jadąc pasem do skrętu w prawo, nagle skręciła... w lewo" – opisuje gazeta.

RAFAŁ BRZOSKA

Kupił zegarek

Kiedyś roznosił ulotki i składał komputery, a dziś jest jednym z najbogatszych Polaków. Za sprawą wielkiego sukcesu firmy InPost jego majątek wycenia się na 4,8 mld zł. Kiedy niedawno udzielił wywiadu Małgorzacie Rozenek, na jego ręku zauważono nowy zegarek. Modelowi przyjrzał się specjalizujący w tej dziedzinie TikToker, który posługuje się nickiem @stolikpoprostu. „Jest to Patek Philippe Nautilus 5740 Perpetual Calendar w białym złocie, który był wprowadzony w 1977 roku. Ma 4 mm grubości, a dokładnie 3,88 mm. Fenomenalny mechanizm w fenomenalnym zegarku. Z blatu możemy odczytać dni, dni tygodnia, miesiąca, lata przestępne, porę dnia czy fazy księżyca. Ten zegarek kosztuje w okolicach miliona złotych" – napisał.

KATARZYNA WARNKE

Potrzebuje czasu

W październiku 2022 roku aktorka rozstała się z Piotrem Stramowskim. Mimo rozwodu para stara się pozostawać w dobrych relacjach i dzieli się opieką nad córką Heleną. Warnke do tej pory nie pokazała się u boku nowego mężczyzny. Z kolei Stramowski już krótko po ogłoszeniu rozstania związał się z Natalią Krakowską. Kiedy ostatnio Warnke gościła w programie Magdy Mołek, zaprzeczyła doniesieniom, jakoby Stramowski romansował z Krakowską, kiedy był jeszcze wciąż w związku. – My kobiety potrzebujemy długofalowego procesu wyjścia ze związku i mówi się, że to jest zdrowe – sprostowała.

FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Katarzyna Warnke uważa, że kobiety potrzebują długofalowego procesu wyjścia ze związku

BARBARA KURDEJ-SZATAN

Musiała brać

Jakiś czas temu aktorka z mężem kupili w hiszpańskiej Maladze dom. Teraz para odwiedziła studio „Halo, tu Polsat" i opowiedziała o inwestycji. – Jakoś tak wpadliśmy na to ponad dwa lata temu. Trochę spontanicznie. Chyba też za sprawą tego, że dużo Polaków, znajomych tam przebywa. Zachęciła nas chyba ta fala i stwierdziliśmy, że ciekawi jesteśmy tego miejsca, bo nigdy tam nie byliśmy – powiedziała i dodała, że nieoceniona okazała się pomoc znajomego, który mieszka od lat w Costa del Sol i dobrze zna tamtejszy lokalny rynek nieruchomości. Dzięki niemu aktorski duet w krótkim czasie obejrzał kilka inwestycji. – No i jedna okazała się taką okazją, że stwierdziliśmy, nie no... musimy to brać – podsumowała.

ANNA POPEK

Zaleca pośpiech

Prezenterka telewizji Republika chyba jako jedyna stanęła w obronie Viki Gabor, która niedawno w wieku 18 lat wzięła romski ślub. „Uważam, że 18 lat to jest w ogóle superwiek do wychodzenia za mąż. Moja babcia Małgorzata wyszła za mąż, jak miała 18 lat, jak miała 20, już moja mama była na świecie i dziewczyny powinny wcześniej wychodzić za mąż, rodzić dzieci wcześniej, bo to jest zdrowsze dla nich i dla dzieci też. Wtedy kiedy są w sile wieku, mają pełnię możliwości fizycznych i też psychicznych, więc uważam, że powinny wychodzić wcześniej za mąż" – napisała na Instagramie. I podsumowała: „Bo co, że ma 18 lat? A ile ma mieć lat? Są jakieś standardy, a potem chodzą te biedne, nieszczęśliwe, przestarzałe panny młode po trzydziestce i nie mogą znaleźć chłopa".

HELENA ENGLERT

Mogła zarobić

Edwardowi Miszczakowi bardzo zależało, aby córka Jana Englerta i Beaty Ścibakówny wystąpiła w wiosennej edycji „Tańca z gwiazdami". Młoda aktorka mogła ponoć liczyć na gażę między 10 a 15 tys. zł za jeden odcinek. Na drodze do tanecznych sukcesów Helenie stanęła praca w teatrze w spektaklu swego ojca. – Gra w Narodowym w „Hamlecie" i ma od dawna zaplanowane spektakle na niedziele, czyli wtedy, kiedy jest „Taniec z gwiazdami". Nijak nie dało się tego odwołać czy przesunąć, bo już na jeden z marcowych terminów bilety są sprzedane – tłumaczy informator Pudelka. I dodaje: Udział w tym programie ją ekscytował, bo miała super pomysł na siebie i występy.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Energia sprzyja działaniu, lecz zachowaj umiar w słowach, bo horoskop dzienny ostrzega, że szczerość może wywołać zbędne napięcia.

Ryby (19.02 - 20.03)
Horoskop na dziś mówi, że konsekwencja pomoże ci rozwiązać problem, a rozmowa z bliskim doda pewności.

Baran (21.03 - 19.04)
Twoja ciekawość poprowadzi cię do inspirujących spotkań, lecz horoskop dzienny na piątek radzi nie obiecywać za dużo, jeśli brak ci czasu.

Byk (20.04 - 20.05)
Emocje będą intensywne. Horoskop dzienny stanowczo radzi w związku z tym ważyć, co i do kogo mówisz.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Dzień sprzyja ambicjom, jednak horoskop na dziś zapowiada, że współpraca przyniesie więcej niż rywalizacja.

Rak (22.06 - 22.07)
Porządkowanie spraw zawodowych da ulgę. Horoskop dzienny na piątek wróży, że drobny gest życzliwości poprawi relacje z otoczeniem.

Lew (23.07 - 22.08)
Horoskop dzienny mówi, że harmonia jest możliwa, jeśli zdecydujesz się na szczerość - nawet gdy wymaga to trudnej rozmowy.

Panna (23.08 - 22.09)
Intuicja podpowie dobre rozwiązania, ale nie działaj impulsywnie, bo horoskop na dziś mówi, że szczegóły mają dziś znaczenie.

Waga (23.09 - 22.10)
Optymizm pomoże przełamać rutynę. Ale horoskop dzienny na piątek mówi, że warto skupić się na jednym celu, by nie tracić energii.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Obowiązki pochłoną cię bez reszty. Horoskop dzienny mówi, że konsekwencja przyniesie oczekiwane efekty.

Strzelec (22.11 - 21.12)
Horoskop na dziś zapowiada, że nieszablonowe pomysły spotkają się z uznaniem, jeśli jasno je przedstawisz i zadbasz o szczegóły.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wrażliwość będzie atutem, gdy wykorzystasz ją twórczo. Horoskop dzienny na piątek radzi unikać zamykania się w marzeniach.

DZIENNIK POLSKI
www.dziennikpolski24.pl

Redaktor naczelny **Piotr Rąpalski**
Prezes Makroregionu **Dariusz Kołacz**
Redakcja ul. Zabłocie 43A, 30-701 Kraków
tel. 12 688 85 01

sekretariat@dziennik.krakow.pl
redakcja@dziennik.krakow.pl
Reklama/ Ogłoszenia **tel. 12 688 84 44**
Druk Polska Press Oddział Poligrafia 41-203 Sosnowiec Milowice, ul. Baczyńskiego 25a

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.dziennikpolski24.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 7b340cc89a

REKLAMA 0011456411

EPITAFIUM ®

Kompleksowa Obsługa Pogrzebów

DYŻUR CAŁODOBOWY

12 650 97 10

Cmentarz RAKOWICE
ul. Rakowicka 31a
tel. 12 411 67 58

Cmentarz BATOWICE
ul. Reduta 3c
tel. 12 452 31 10

ul. Bochnaka 7
tel. 12 650 97 10

ul. Prądnicka 41
tel. 12 634 38 53

www.epitafium.krakow.pl

REKLAMA 0011456752

KARAWAN GRUPA FIRM POGRZEBOWYCH
TRADYCJE OD 1981 ROKU

CAŁĄ DOBĘ
12 411 11 11
12 658 21 11
również w Niedziele i Święta

www.karawan.pl

Kompleksowe Usługi Pogrzebowe

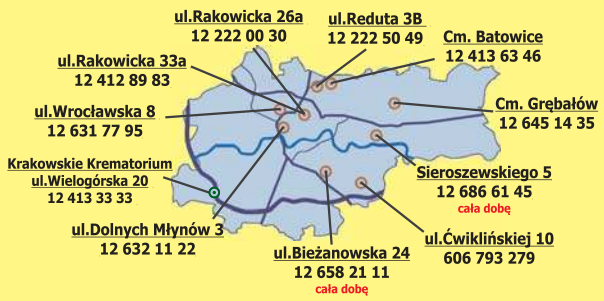

0011463560

Z głębokim żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ś†p

Lucyny Sysło

Naszej drogiej koleżanki,
pracownika Zakładu Diagnostyki Obrazowej
Szpitala Specjalistycznego im. J. Dietla
w Krakowie.

Dyrekcja i Pracownicy
Szpitala Specjalistycznego im. J. Dietla w Krakowie

0011464316

„Szczęśliwe kwiaty! Mogą patrzeć śmiele
I składać życzeń utajonych wiele,
I śnić o szczęściu jeden dzień słoneczny...
Zanim z tęsknoty uwiędną serdecznej"
A. Asnyk

ś†p

TERESA KASZEWSKA

z domu NABIELSKA

KOCHANA MAMA, BABCIA I PRZYJACIÓŁKA

Przeżywszy lat 86, opatrzona św. sakramentami,
zasnęła w Panu dnia 14 stycznia 2026 roku.

MSZA ŚW. ŻAŁOBNA odprawiona zostanie
w środę dnia 21 stycznia 2026 roku o godzinie 12.20
w kaplicy na cmentarzu w Grębałowie,
ul. Karola Darwina 1,
po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłej
na miejsce wiecznego spoczynku,
o czym zawiadamia pogrążona w smutku

RODZINA

REKLAMA 0011456368

Lilia
zakład pogrzebowy

- kompleksowa organizacja uroczystości pogrzebowych
- rozliczenie bezgotówkowe
- całodobowy transport zmarłych
- szeroki wybór trumien i urn
- kwiaty, tabliczki, klepsydry, nekrologi
- kremacje

KRAKÓW, ul. Św. Łazarza 21, tel. 12 421 24 80
KRAKÓW, ul. Bronowicka 19, tel. 12 637 00 07
KRAKÓW, ul. Grota Roweckiego 7G, tel. 507 111 121
CMENTARZ BATOWICE, ul. Powstańców 20, tel. 507 125 130
CMENTARZ RAKOWICE, ul. Rakowicka 39, tel. 507 111 456

www.liliakrakow.pl

DYŻUR CAŁODOBOWY 507 111 211

0011464229

„Nie ma już Ciebie wśród nas,
jednak w sercach naszych pozostaniesz..."

ś†p

Julita Majcher

Najukochańsza Żona, Mama i Babcia
przeżywszy lat 66, po długiej i ciężkiej chorobie,
odeszła od nas na zawsze dnia 13 stycznia 2026 roku.

Msza św. żałobna przy Zmarłej odprawiona zostanie
w czwartek, 22 stycznia 2026 roku o godzinie 13:00
w kaplicy na cmentarzu Batowickim przy ulicy
Powstańców, po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłej
na miejsce wiecznego spoczynku, o czym zawiadamia
pogrążona w głębokim smutku i żalu

Rodzina

DROBNE

Tel.: 508 26 26 84
Kraków, Zabłocie 43a

Zdrowie

STOMATOLOGIA

Akryle, protezy, nylony, szkielety, mosty. Boh. Września 1, 12/645-93-33.

INNE

PENSJONAT SANATO BUSKO-ZDRÓJ-FERIE ZIMOWE POBYTY LECZNICZE I WYPOCZYNKOWE tel: 41 378 19 48/51, www.sanato.com.pl SPYTAJ O PROMOCJĘ

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

MIESZKANIE.LOKAL.GARAŻ. DZIAŁKĘ tylko od właściciela kupię. 510 061 820

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

500-692-371 Kupię każdy samochód

Nauka

KURSY/SZKOLENIA

KOMPUTEROWE kursy 501-179-640.

Usługi

AGD RTV FOTO

NAPRAWIAMY: Thermomix, ekspresy, odkurzacze, kopiarki. 12/421-11-55.

INSTALACYJNE

!!!500-003-103 HYDRAULIK

!!!HYDRAULIK 500-003-103 AWARIE

HYDRAULICY AWARIE 730-066-539

Praca

ZATRUDNIĘ

POSZUKUJEMY osobę do roznoszenia Gazety Krakowskiej i Dziennika Polskiego w godz. wczesnorannych na rej. Krowodrza. Informacja w godz. od 10:00 do 15:00 pod tel. 12/312-53-88.

POSZUKUJĘ opiekunki do starszej 85- letniej kobiety. Tel. 603-720-326.

Turystyka

Beskidy, turnus Wielkanocny, 1400 zł, w górach koło Wadowic, tel.: 501-642-492

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI,881-934-948

Edukacja
w najwyższym stopniu
stronaedukacji.pl

0011463660

„Nie ma już Ciebie wśród nas,
jednak w sercach naszych pozostaniesz..."

Z głębokim żalem i smutkiem zawiadamiamy,
że dnia 12 stycznia 2026 roku, przeżywszy lat 82,
opatrzona św. Sakramentami zasnęła w Panu

ś†p
mgr inż.

Maria Starowicz

Najukochańsza Siostra, Ciocia, Ciocia-Babcia

Msza Święta Żałobna odprawiona zostanie
we wtorek, dnia 20 stycznia 2026 roku o godzinie 10.20
w kaplicy na Cmentarzu Rakowickim,
po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłej
na miejsce wiecznego spoczynku.

Pogrążeni w żałobie
Andrzej i Grażyna, Kasia i Grzegorz,
Wojtek i Magda,
Julian, Matylda i Antoś

0011449270

Bogumiła Boczkowska
STELA
ZAKŁAD USŁUG POGRZEBOWYCH
www.stelakrakow.pl

KOMPLEKSOWA OBSŁUGA POGRZEBÓW - ROZLICZENIE BEZGOTÓWKOWE

DYŻUR CAŁODOBOWY
ul. Powstańców 48 12/413 02 02
również w soboty i święta
ul. Powstańców 48 (cm. Batowicki) czynne 7.30-15.30
Do Państwa dyspozycji również MELEX osobowy

12/410 45 70
12/417 35 35
12/412 77 55

eprasa.pl 7b340cc89a

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie – myśl Gabriela Lauba.

ROZWIĄZANIE: UNIKAĆ TRUDNOŚCI TO CIĘŻKA PRACA.

eprasa.pl 7b340cc89a

Iga, „Hubi” i pozostali Polacy poznali rywali w Melbourne

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **Iga Świątek rozpoczynający się w niedzielę Australian Open rozpocznie od meczu z kwalifikantką, Chinką Yue Yuan. Losowanie drabinek turnieju głównego odbyło się w czwartek.**

Iga Świątek w pierwszej rundzie Wielkiego Szlema w Melbourne trafiła na Yue Yuan, która plasuje się na 130. miejscu w światowym rankingu, ale była w nim niegdyś 36. Iga z 27-letnią Chinką zmierzyła się dotychczas raz: pokonała ją 6:0, 6:3 w drugiej rundzie imprezy WTA w Pekinie. Najlepszym wynikiem Yuan w Wielkim Szlemie pozostaje trzecia runda w Nowym Jorku z 2022 roku.

W przypadku wygranej w drugiej rundzie na Świątek czekać będzie ewentualnie Czeszka Marie Bouzkova (45. WTA) bądź Meksykanka Renata Zarazua (84. WTA).

W „ćwiartce” polskiej wiceliderki światowego rankingu znalazły się między innymi Rosjanka Ludmiła Samsonowa, Japonka Naomi Osaka (prowadzona przez byłego trenera Świątek Tomasza Wiktorowskiego), Szwajcarka Belinda Bencić, z którą kilka dni temu przegrała w trakcie United Cup, ale przede wszystkim rozstawiona z „piątką” Jelena Rybakina z Kazachstanu, która czekać może na Polkę w 1/4 finału.

Najmniej szczęścia w losowaniu miała z reprezentantów Polski Magda Linette. 33-letnia poznanianka, która wciąż uczestniczy w turnieju w Hobart, w Melbourne zacznie od pojedynku z rozstawioną z numerem 15. Amerykanką Emmą Navarro.

Będzie to ich druga konfrontacja; z byłą ósmą tenisistką globu Polka zmierzyła się już w 2. rundzie turnieju w Toronto w 2024 roku i przegrała 2:6, 4:6.

FOT. EPA/PAP

Iga Świątek i Hubert Hurkacz poznali swoich rywali po losowaniu drabinek gier singlowych Australian Open

Najlepsze osiągnięcie Linette w Melbourne i jednocześnie Wielkim Szlemie to półfinał edycji 2023. Navarro to z kolei półfinalistka US Open 2024, a przed rokiem w Australian Open osiągnęła ćwierćfinał, w którym gładko uległa… Świątek.

Z kolei Magdalena Fręch trafiła na 99. w świecie Veronikę Erjavec. Będzie to jej pierwszy pojedynek z grającą po raz trzeci w Wielkim Szlemie 26-letnią Słowenką.

Podopieczna trenera Andrzeja Kobierskiego, która z powodu lekkiego urazu, ale bardziej profilaktycznie, wycofała się z imprezy w Hobart po wygraniu pierwszego spotkania, ma miłe wspomnienia z Melbourne. Dwa lata temu dotarła do 1/8 finału (czwarty etap), a przed rokiem odpadła rundę wcześniej. To jej najlepsze wyniki w zmaganiach wielkoszlemowych - razem z 3. rundą ubiegłorocznego US Open.

W kolejnej rundzie może na Fręch czekać Włoszka Jasmine Paolini (nr 7.).

W czwartek awans do zasadniczej części zmagań wywalczyła pochodząca z Czech, ale reprezentująca od ubiegłego roku Polskę Linda Klimovičova. Krótko przed ceremonią losowania Klimovičova wygrała trzeci mecz w kwalifikacjach i po raz pierwszy w karierze przebiła się do głównej części zawodów wielkoszlemowych.

Po dolosowaniu do drabinki głównej zwyciężczyń kwalifikacji okazało się, że Linda zagra z 25-letnią Brytyjką Francescą Jones, która zajmuje 69. lokatę na liście światowej. Reprezentantka Polski plasuje się 65 miejsc niżej.

Wracający do wielkoszlemowej rywalizacji po półrocznej przerwie Hubert Hurkacz na otwarcie zagra z 43. w rankingu ATP Belgiem Zizou Bergsem. Będzie to ich premierowe spotkanie.

W drugiej rundzie przeciwnikiem Wrocławianina może być Tallon Griekspoor, którego pokonał w United Cup, a na łączny bilans 4-2 składa się między innymi zwycięstwo przed rokiem w Melbourne, kiedy „Hubi” odpadł w drugiej rundzie. Rozstawiony z numerem 23. Holender musi wcześniej pokonać Amerykanina Ethana Quinna.

W Australian Open Hurkacz najdalej - do ćwierćfinału - dotarł w 2024 roku.

Kamil Majchrzak zmierzy się w pierwszej rundzie z Jacobem Fearnleyem. Polak zajmuje najwyższe w karierze, 58. miejsce w świecie, a Brytyjczyk jest aktualnie 77. tenisistą globu.

Do tej pory spotkali się raz: w 2024 r. w kwalifikacjach halowej imprezy w Sztokholmie górą był zawodnik z Worcester, który w czerwcu zeszłego roku na tydzień zagościł w TOP 50 rankingu ATP.

Życiowym sukcesem 30-letniego Polaka w Wielkim Szlemie jest 1/8 finału ubiegłorocznego Wimbledonu. W Melbourne tylko raz - w 2022 roku - dotarł do drugiej rundy.

©℗

Koci finał Pucharu Narodów Afryki 2025: „Lwy Tarangi” kontra „Lwy Atlasu”

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Senegal i reprezentacja gospodarzy zagrają w niedzielnym finale Pucharu Narodów Afryki 2025 w Maroku. Dzień wcześniej w meczu o trzecie miejsce zmierzą się Egipt i Nigeria.**

W pierwszym półfinale Senegal pokonał w Tangerze Egipt 1:0 po trafieniu w 78. minucie Sadio Mane, byłego skrzydłowego Liverpoolu, gdzie grał w ataku u boku napastnika „Faraonów” Mohameda Salaha.

Mane, który ogłosił, że PNA 2025 w Maroku będzie jego ostatnim w karierze, sforsował „autobus”, jaki Egipcjanie postawili przed swoją bramką. „Salah w spotkaniu nie dotknął ani razu piłki w polu karnym „Lwów Tarangi”. Zawiódł także gwiazdor Manchesteru City Omar Marmoush.

Z kolei gospodarze - „Lwy Atlasu” - w Rabacie mieli wyraźną przewagę w starciu z Nigerią. Oddali 16 strzałów, a rywale 2, ale awans wywalczyli dopiero po konkursie rzutów karnych, w którym zwyciężyli 4:2, a dwie „jedenastki” obronił specjalista od karnych Yassine „Bono” Bounou, wybrany MVP meczu. Po 90 minutach oraz dogrywce był bezbramkowy remis.

Obaj finaliści staną przed szansą na swój drugi triumf w tym turnieju. Senegal wywalczył jedyny dotychczasowy tytuł w 2022 roku w Kamerunie, a Maroko czeka na taki sukces od 50 lat.

Co ciekawe, Senegal z Marokiem w PNA zmierzą się ze sobą po raz pierwszy w historii.

Pokonani w półfinałach zagrają w sobotę w Casablance o brązowy medal. Mecz o tytuł odbędzie się dzień później w Rabacie. ©℗

PUCHAR NARODÓW AFRYKI

Półfinał: Senegal - Egipt 1:0 (Mane 78), Nigeria - Maroko 0:0 (karne 2-4).
Mecz o 3. miejce: Egipt - Nigeria (sobota, 17 stycznia, godzina 17).
Finał: Senegal - Maroko (niedziela, 18 stycznia, godzina 20).

FOT. EPA/PAP

Wielka trójka Marokańczyków: bramkarz Yassine Bounou, trener Walid Regragui i kapitan Achraf Hakimi

Bednarek bohaterem klasyku. FC Porto wyrzuciło Benfikę Lizbona

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

FC Porto awansowało do półfinału Pucharu Portugalii po wyeliminowaniu Benfiki Lizbona (1:0). Bohaterem został polski obrońca Jan Bednarek, który zdobył bramkę w pierwszym kwadransie.

Ćwierćfinałowemu hitowi na wypełnionym po brzegi Estádio do Dragão z ławki rezerwowych przyglądał się 17-letni skrzydłowy Oskar Pietuszewski, najdrożej sprzedany piłkarz w historii Jagiellonii Białystok. Dla młodzieżowego reprezentanta Polski mógł to być wymarzony debiut, jednak trener Francesco Farioli najwyraźniej nie chciał rzucać go na (zbyt?) głęboką wodę. Zwłaszcza że FC Porto mierzyło się w klasyku z inną, równie utytułowaną ekipą - Benfiką.

Od pierwszej minuty na murawie oglądaliśmy dwóch czołowych reprezentantów Polski: Jana Bednarka i Jakuba Kiwiora. Wspólnie z legendą brazylijskiej piłki Thiago Silvą nasi reprezentacyjni stoperzy współtworzyli blok defensywny.

Już w 15. minucie Bednarek wpisał się na listę strzelców. Środkowy obrońca najlepiej odnalazł się w polu karnym po dośrodkowaniu z rzutu rożnego i skutecznym strzałem głową pokonał bramkarza Benfiki.

Podopieczni José Mourinho długimi momentami nie potrafili odpowiedzieć - nie tyle golem, co choćby celnym uderzeniem na bramkę Diogo Costy.

Po przerwie z powodu kontuzji plac gry musiał opuścić strzelec bramki - Bednarek. Jedynym Polakiem, który dotrwał do końcowego gwizdka, był zatem Kiwior.

To nie jego na koniec meczu uznano jednak bohaterem, a bardziej doświadczonego reprezentacyjnego kolegę, który zebrał najwyższe noty.

Portugalskie media zwróciły uwagę, że występ Bednarka nie był pozbawiony ryzyka. Już na początku spotkania środkowy obrońca popełnił bowiem błąd, który musiał naprawiać faulem.

„Popełnił poważny błąd w 11. minucie, który naprawił faulem, za co został ukarany żółtą kartką i ryzykował nawet czymś więcej. Później przeszedł w tryb czysto pragmatyczny, skutecznie przerywając wszystkie akcje przed sobą i ostatecznie miał pozytywny wkład w zwycięstwo zespołu z Porto” - ocenił dziennik „A Bola”.

Z kolei Kiwiora media określiły mianem „hojnego dostarczyciela fauli”.

„Wbrew temu, do czego przyzwyczaił, był hojnym »darczyńcą« przewinień. Jego drużyna popełniła łącznie 22 faule w trakcie meczu. Podobnie jak jego rodak i partner z defensywy, Bednarek, nie przejmował się estetyką gry, co pozwoliło Diogo Coście mieć spokojniejszy wieczór. Szczególnie w pierwszej połowie zanotował także kilka udanych prób przy rozegraniu piłki” - podkreślono przy ocenach wystawionych w dzienniku „A Bola”.

©℗

eprasa.pl 7b340cc89a

SPORT

www.sportowy24.pl

SPORT W TV
Piątek: 8 Eurosport 1, skoki narciarskie: **kwalifikacje PŚ w Sapporo**; 12 Eurosport 1, narciarstwo alpejskie: **supergigant PŚ w Wengen**; 14:20 TVP Sport, biathlon kobiet: **sprint PŚ w Ruhpolding**; 17:30 Polsat Sport 1, siatkówka: **Ślepsk Suwałki - Politechnika Częstochowa**; 17:50 Eurosport 1, piłka ręczna (ME): **Islandia - Włochy**; 20:10 Polsat Sport 1, koszykówka: **MKS Dąbrowa Górnicza - Twarde Pierniki Toruń**; 20:20 Eurosport 1, TVP Sport, piłka ręczna (ME): **Węgry - Polska**; 20 Polsat Sport 1, siatkówka: **ChKS Chełm - Warta Zawiercie**.

LOTTO
Środa, 14.01. Multi Multi, 22: 1, 4, 7, 8, 11, 12, 22, 27, 30, 32, 34, 39, 41, 43, 44, 55, [58], 59, 75, 77. **Kaskada, 22:** 1, 2, 6, 7, 8, 12, 14, 16, 19, 20, 21, 22. **Ekstra Pensja:** 1, 5, 6, 15, 25 + 3. **Ekstra Premia:** 10, 14, 21, 24, 31 + 3. **Mini Lotto:** 3, 10, 18, 23, 34.
Czwartek, 15.01. Multi Multi, 14: 2, 3, 5, 7, 13, 14, 20, 22, 27, 28, 30, [40], 45, 48, 49, 60, 65, 66, 75, 78. **Kaskada, 14:** 3, 4, 6, 7, 12, 15, 16, 17, 18, 19, 21, 22.

Puszcza w transformacji, 12 mln zł mniej niż w ekstraklasie

Jacek Żukowski
jacek.zukowski@polskapress.pl

I LIGA PIŁKARSKA. **Prezes Puszczy Niepołomice Jarosław Pieprzyca i trener Tomasz Tułacz odpowiadali na pytania kibiców.**

FOT. KARINA TROJOK

Puszcza zajmuje 14. miejsce w rozgrywkach I ligi po pierwszej fazie rozgrywek

O sytuacji finansowej

Jarosław Pieprzyca: - Wiadomo jaki był poprzedni rok – jeden z najtrudniejszych w naszej historii. Mieliśmy już doświadczenie, jak drużyna po awansie do I ligi spadała po roku i wiem, jak ciężko było się pozbierać. Wiązaliśmy duże nadzieje z powrotem na własny stadion, ale spadliśmy. Mamy inne środki niż w ekstraklasie o 10 – 12 mln mniej. Trzeba mądrze się więc poruszać. Mieliśmy przykłady innych klubów dla których spadek z ekstraklasy spowodował lawinę nieszczęść. Teraz I liga jest inna od tej, w której byliśmy przed awansem, chodzi o finanse. Dla nas jest wielkim splendorem, że firma Man jest naszym sponsorem, mamy od niej autobus - korzystają z niego I drużyna i Akademia. Po spadku była masa problemów do rozwiązania - finansowych, personalnych. Należało zreorganizować zespół. Gdybym mógł cofnąć czas, to można powiedzieć, że można było spaść taniej, ale chcieliśmy dać sobie szansę. Niestety, nie udało się. Stworzyliśmy nowy zespół, który wymaga czasu, by się zgrał. My jesteśmy klubem z małego miasteczka, rywalizacja z rywalami pod względem finansowym jest bardzo trudna. Nie mamy chętnego, myślę tu o firmie prywatnej, która chciałaby się zaangażować w to, by być właścicielem nawet częściowym klubu, jesteśmy więc w 100 procentach klubem miejskim.

O trenerze Tułaczu

JP: - To człowiek, który jest autorem największych sukcesów w historii klubu. Jesienią nie było tematu rozstania się z trenerem. Nie jest tak, że zawsze są same sukcesy. Przez lata były propozycje dla trenera i zawsze z nami zostawał. To co się wydarzyło w Puszczy będzie doceniane po wielu, wielu latach.

Tomasz Tułacz: - Mam ogromną satysfakcję i przyjemność przez tyle lat pracować tutaj, czuję wdzięczność. Za chwilę będzie 11 lat. Doczekaliśmy się tylu sukcesów i czasami niewyobrażalnych sukcesów. Nie mam poczucia, że mimo ważnego kontraktu, jeszcze 1,5 roku, gdy prezes dojdzie do wniosku, że trener jest problemem, to z prezesem mamy taką komunikację, że w minutę rozwiążemy sytuację, jeśli będzie ona lepsza dla klubu. Nigdy nie był i nie będzie problemem klubu trener Tułacz.

O celach sportowych

TT: - To z jednej strony proste, a z drugiej trudne pytanie. Zawsze stawialiśmy sobie wysokie cele, by realizować te podstawowe. Budowa od nowa drużyny, tak, by zafunkcjonowała w realiach, w których nie byliśmy, bo I liga ma teraz większe wymagania, jest bardzo trudna. Próbujemy sobie z tym radzić. Dochodzili do nas zawodnicy po kilku meczach. A nie byliśmy w stanie zatrzymać kapitana, inni też mieli oferty. Budujemy zespół w oparciu o to, co możemy. Nigdy celem nie był awans do ekstraklasy, kluczowym celem jest utrzymanie w I lidze. W roku, w którym awansowaliśmy do ekstraklasy, celem było zajęcie jak najwyższego miejsca i zajęliśmy 5., dało nam to szansę gry w barażach i spełnienie marzeń. Teraz celem jest utrzymanie i żebyśmy mieli poczucie, że działamy w realnej sytuacji organizacyjno-finansowej.

O przyszłości

TT: - Cała filozofia naszego funkcjonowania opiera się na dostosowaniu się do realiów. W II lidze dwóch młodzieżowców musiało być w pierwszym składzie i 4 w kadrze. Dlatego tez szukaliśmy w niższych ligach. Celem maksymalnym zawsze jest to, by być jak najwyżej. Nie zadowalamy się minimalnym celem. Jeżeli forma zespołu pozwoli na coś więcej, to spróbujemy tego. Nigdy nie zadowalałem się minimalizmem i mam poczucie, że tak jest też jeśli chodzi o osoby zarządzające.

O polityce kadrowej

TT: - Jest inna sytuacja niż w lecie, kiedy zawodnicy mieli określone oczekiwania finansowe, a możliwości klubu były jakie były stąd 90 procent odejść. Trzech zawodników odeszło i nie przypuszczam, by ktoś jeszcze ubył, chyba, że pojawi się jakaś oferta satysfakcjonująca klub. Adam Basse wrócił do Rakowa, to 17-letni chłopak, decydowała ilość minut, które rozegrał. Doszliśmy do wniosku, że potrzebuje gry. Odszedł też Radek Kanach do II-ligowego Podbeskidzia gdzie dostanie na pewno więcej minut gry. Nie ma też Emmanuela Francoisa - tu zadecydowały sprawy pozasportowe, to zawodnik o dużym potencjale, zawsze najważniejsza jest drużyna, a to było zachwiane. Wrócił na wypożyczenie Wojtek Hajda. Grał u nas na wszystkich pozycjach środkowego pomocnika - pozycja 6 i 8 to są dla niego kluczowe pozycje. Bardzo liczę na niego też jeśli chodzi o szatnię, to był jeden z kapitanów naszej drużyny. Z kolei Krystian Okoniewski wrócił z wypożyczenia. Plan jest taki, by rywalizował, będziemy go obserwować. Jeśli będzie dawał nadzieję, że stanie się podstawowym zawodnikiem, albo będzie blisko stania się nim to zostanie. Jeśli będzie inaczej to porozmawiamy. Życzę sobie, by okazał się odkryciem okresu przygotowawczego. Zobaczymy, jak pokażą się zawodnicy, którzy są na testach. Na 23 zawodników z kadry 10 to młodzieżowcy, to pokazuje filozofię klubu. W ekstraklasie mieliśmy najskromniejszy budżet, w I lidze też mamy skromne środki. Znajdujemy jednak rozwiązania, staramy się pozyskiwać zawodników. ©℗

Trener Wisły Mariusz Jop cieszy się z pozyskania nowego napastnika

Bartosz Karcz
bartosz.karcz@polskapress.pl

I LIGA PIŁKARSKA. **Wisła Kraków ma za sobą pierwszy sparing na zgrupowania w Turcji. Po remisie 1:1 z FK Mladost Lucani grę zespołu, ale też wydarzenia w klubie podsumował trener Mariusz Jop.**

- Wynik nie był najważniejszy - podkreśla szkoleniowiec Wisły. - Ważne były te elementy, nad którymi pracowaliśmy. Czyli wysoki pressing i budowanie ataków. Myślę, że pod względem motorycznym było to również cenne spotkanie. Oczywiście, to nie jest jeszcze to, co byśmy chcieli osiągnąć jeśli chodzi o płynność gry, o zrozumienie między sobą. Są też z nami piłkarze, którzy dołączyli z rezerw, czyli Szywacz i Ziarko. I oni muszą się wdrożyć w to, czego od nich oczekujemy. Ogólnie jesteśmy zadowoleni z tego meczu.

Jop dodaje również w kwestii drugiej, nieco słabszej połowy w wykonaniu jego drużyny: - Chcieliśmy, żeby te zespoły z pierwszej i drugiej połowy były wyrównane, bo to jest taki czas, gdy bardziej nam zależy na rzeczach motorycznych. Poza tym my też nie znamy na tyle rywala, żeby ocenić, w której połowie teoretycznie mieli lepszy skład. Być może oni mieli w drugiej połowie ten skład trochę lepszy. Przynajmniej tak się wydawało, że kilku piłkarzy miało spore umiejętności indywidualne. Ale zgadzam się z tym, że tej płynności było mniej z naszej strony. Trochę za dużo było prostych strat w budowaniu. Zbyt wolno to robiliśmy. No ale jest jeszcze czas, żeby nad tym pracować.

Trener Wisły był pytany o zdrowie Marko Bozicia, który z kontuzją zakończył sparing. Mariusz Jop bezpośrednio po zakończeniu spotkania powiedział na ten temat: - Nie wiemy tego. Pojechał zrobić trochę rozszerzone badania. Mamy nadzieję, że to nie będzie nic poważnego.

Z kolei zapytany o nowego napastnika Wisły Jordi Sancheza, szkoleniowiec dodaje: - Pewnie większość kibiców pamięta go z Widzewa. On miał tam dobry okres. To piłkarz, który jest szybki, wysoki, dobry w powietrzu, czyli taki profil, o którym mówiliśmy. Cieszę się, że dołączy do nas. Myślę, że da nam więcej możliwości, jeżeli chodzi o aspekty taktyczne, ale też sportowo jego obecność w drużynie to będzie wartość dodana.

W meczu z FK Mladost w kadrze Wisły zabrakło Wiktora Biedrzyckiego, który ma drobne problemy zdrowotne. Trener Mariusz Jop uspokaja jednak: - Wiktor będzie gotowy na sobotę już do grania.

Był też wątek młodych piłkarzy. Wiktor Staszak został wypożyczony do Lecce. Trener Mariusz Jop komentuje to w następujący sposób: - Wiktor to młody piłkarz. Była taka możliwość, żeby pojechał i te pół roku spędził we Włoszech. Myślę, że ma to sens. Na pewno będzie grał na wyższym poziomie niż u nas w III lidze. Tutaj tych minut miał mało ze względu na dużą rywalizację w środku boiska. Liczymy, że ten wyjazd będzie dla niego czasem, w którym się rozwinie.

Padło też pytanie o Filipa Baniowskiego, który nie chce przedłużyć umowy z Wisłą i w związku z tym nie pojechał do Turcji na zgrupowanie. Mariusz Jop nie kryje: - Jest tak, jak to było przedstawiane w mediach. Filip jasno określił, że nie wiąże przyszłości z Wisłą Kraków, więc trudno, żebyśmy inwestowali w tego zawodnika. ©℗

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Mariusz Jop pozytywnie ocenił pierwszy sparing

eprasa.pl 7b340cc89a